RODZINA polska



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY WARSZAWA

ROK XII WRZESIEŃ 1938

Cena egz. 50 gr.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

BĄDŹMY CIERPLIWI!

Z okna werandy mojego letniska otwiera się piękny widok w dal na łany pól, jezioro i lasy. Ale widać i balkon sąsiedniego domu, gdzie jakaś chora dziewczyna, siedząc w fotelu, godzinami wyszywa coś, haftuje. Nie rozróżnię z daleka ani kolorów, ani zarysu jej haftów, ale jedno widzę doskonale. Jej wielką cierpliwość, z jaką pracują te schorzałe ręce, po tysiąckroć, uważnie, starannie przeciągając nitkę.

Właściwie, nie czyni ona nic innego, jak tylko dostraja się do tła otaczającej nas przyrody. Staje się małą, składową jej cząstką. Tak samo bowiem, jak ona, cierpliwie pracują lasy, cierpliwie kołysze swą falę jezioro, cierpliwie rosną łany zbóż na polach. Ziarno posiane kiełkuje i rozwija się w cierpliwości. Listek i kwiat czeka cierpliwie swej pory, zanim rozwinie swój wachlarz zieleni, zanim swym pięknem zadziwi człowieka, zanim owoc wyda.

Dlatego też ludzie, którzy nauczyli się stosować w życiu metodę cierpliwości, naśladują metodę pracy, jaką stosuje Bóg w całej przyrodzie. Stwórca od początku pracuje tu wciąż systemem — wiecznej cierpliwości. A bardzo dobrze robi człowiek, gdy naśladuje Stwórcę nieba i ziemi.

Można rozróżnić dwa tereny działania, na których pracuje cierpliwość Boża i nasza. Jeden w świecie materii, drugi w świecie ducha.

Kiedy artysta zamierzy wykonać jakieś arcydzieło, albo rzemieślnik jakiś sprzęt użyteczny, to pierwszym narzędziem, w jakie uzbroić się musi, jest cierpliwość. Mniejsza o to, jaki materiał weźmie do obróbki. Może być równie dobrze żelazo, jak złoto, brąz czy drzewo, zwykły kamień, czy marmur. Jeśli chce wykonać swą pracę należycie, musi nad materiałem pracować z wielką cierpliwością. Ścieg za ściegiem, jak nasza hafciarka, cios dłuta za ciosem, rzut za rzutem pędzla. A im piękniejsza ma być rzecz, im wspanialsze arcydzieło, tym więcej trzeba cierpliwości. Niecierpliwa sztuka staje się karykaturą — dowodem wyczyny modernizmów dzisiejszych, czy kubizmów — niecierpliwe rzemiosło zamienia się w tandetę.

Podczas remontu pewnej śluzy na kanale augustowskim usuwano starą cegłę sprzed stu lat, by ją zastąpić świeżym materiałem. Robotnicy pracować musieli w pocie czoła, kilof z trudnością łamał głębsze warstwy cegieł. Zapytałem o przyczynę, bo przecież dzisiejsza cegła często rozsypuje się przy zwózce. Odpowiedź doświadczonego majstra brzmiała: „Dawniej tak się nie śpieszyli, jak dzisiaj. Wykopawszy glinę, zostawiali ją szereg lat na działanie mrozu, deszczów, po wielekroć przerabiali ją robotnicy, toteż gdy po dokładnej przeróbce włożyli ją w formy i dali do pieca, wyjmowali nie cegłę, a granit. A dziś — ludzie się śpieszą. Wykopaną glinę po krótkiej przeróbce daje się zaraz do form i do pieca. Przedsiębiorcom zależy na rychłym zarobku — niecierpliwi!"

A oto pierwszy Artysta i pierwszy Pracownik w świecie Bóg od wieków świeci swym stworzeniom przykładem wielkiej, przeogromnej cierpliwości w pracy. Ludzie winni patrzeć na ten niezastąpiony wzór i w zakresie swych prac materialnych winni być cierpliwi... Śladami Stwórcy...

Daleko ważniejszym terenem zastosowania cierpliwości jest teren drugi — świat ducha. Tu przede wszystkim jaśnieje blaskiem niewymownym niewysłowiona dobroć i cierpliwość Boża.

Bóg musi nas znosić cierpliwie. On nie chciał nas mieć takimi, jakimi jesteśmy. Jesteśmy wytworem pokrzyżowanych Jego planów, coś jakby rekonstrukcją wspaniałej budowli w ruinie. Cóż Bóg odnajduje w duszy naszej? Jakąś ustawiczną chwiejbę pomiędzy wiarą a zwątpieniem, pomiędzy bohaterstwem a upadkiem ducha, pomiędzy męstwem a słabością, dobrocią a złością, opanowaniem siebie a lekkoduchostwem, pomiędzy wzlotami ku wyżynom, a czołganiem się po błocie, niczym płazy. Dziś, zdawałoby się, jesteśmy świętymi, a jutro spadamy na dno otchłani człowieczeństwa. Rankiem oświadczamy twardo: „Rzekłem: dziś zacząłem"... (psalm) i zamierzamy postęp nadzwyczajny, a po południu dobre postanowienia rozbijają się o pierwszą nawet niewielką przeszkodę. Czasem łamiemy trudności na drodze. Dumni jesteśmy z odniesionych zwycięstw, ale niebawem lada powiew namiętności spycha nas z toru na bezdroża, gdzie z całym zapałem i rozmachem wykolejamy się... w przepaść. Wówczas dopiero ze łzami, z bólem serdecznym, zdruzgotani i złamani na duchu powracamy, wlokąc się nieśmiało do stóp Stworzyciela. — „Panie, ratuj! Już odtąd inaczej żyć będę!"

A jak bywa potem w rzeczywistości? Nazajutrz? Po miesiącu? Po roku?! Musimy znowu sobie szczerze powiedzieć, żeśmy nie dopisali. Prędko zapominamy znów o dobrych zamiarach i z uczuciami — „moja wina" — apelujemy do cierpliwości i dobroci Stwórcy swego.

A On, istotnie, musi po wszystkie wieki, wszystkim pokoleniom okazywać nieskończone miłosierdzie swoje i cierpliwość bez granic.

I pod tym względem jest dla nas samych niezastąpionym wzorem. Albowiem w stosunku do swych dusz własnych bywamy często nad wyraz niewyrozumiali, stajemy się wysoce niecierpliwi. Chcielibyśmy w jednym momencie wznieść się na szczyty ideału, bez mozołu i trudu, jak orły, na wyżynach.

Tę samą metodę cierpliwości stosować musimy do dusz bliźnich naszych. Tu również należy pamiętać, że życie musi stopniowo układać ścieg za ściegiem, snuć nitkę za nitką. A przygotować się też musimy na możliwe przerwy, zastoje i cofnięcia się z już osiągniętych wysokości.

Jak Bóg względem nas, tak i my względem dusz naszych — musimy być cierpliwi. A wtedy zapewnia nas Chrystus: „W cierpliwości waszej posiądziecie dusze wasze".

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK XII. WARSZAWA, WRZESIEŃ 1938



OSOBLIWI „KATOLICY"

Wybitny publicysta katolicki ks. J. P. na łamach krakowskiego „Głosu Narodu", pisząc o możliwości konsolidacji społeczeństwa w Polsce, zaznacza, iż niewątpliwie większość społeczeństwa tego nie życzy sobie ani totalizmu, który przestaje być modny, ani dyktatury, ani etatyzmu. Zaczyna tryumfować zasada, wygłoszona przed laty przez Romana Dmowskiego: nie małpować zagranicy.

Gdzie indziej walki ideologiczno-ustrojowe przybierają charakter gwałtowny, u nas, Bogu dzięki, mają przebieg spokojniejszy. Poszukujemy własnego programu, własnej ideologii. Ale, jak dotąd, mijają lata, lecz sprawa nie posuwa się wcale naprzód. Czymś swoistym, „polonizmem" miał być grunt Ozonu, ale, jak się okazało, z tej mąki nie doczekaliśmy się chleba. A tymczasem gruntu dla konsolidacji narodowej daleko i żmudnie poszukiwać nie trzeba. Mamy go od dawna, a jest nim program katolicki reform społecznych i ustrojowych.

Ma ks. J. P. bezwzględną słuszność. Myli się tylko co do jednego, iż lekceważy naśladowców i propagatorów obcych wzorów. Wprawdzie nie są oni zbyt liczni, ani też rozporządzają silnymi wpływami, ale są jednak bardzo ruchliwi i hałaśliwi, i starają się propagandę swoją wciskać pomiędzy szerokie masy ludności.

Walka z nimi jest obecnie dość utrudniona, bo społeczeństwo nie zdało sobie jeszcze sprawy z tego, z kim ma do czynienia. Nasi totaliści zapewniają najsolenniej, iż są prawowiernymi katolikami i powołują się na wolność wyznawania takich lub innych zasad społeczno-politycznych. Istotnie Kościół nie narzuca wcale jakichkolwiek przykazów przebudowy świata. Ale mimo to, Kościół, jako stróż Wiary i moralności, wyraźnie podaje zasady, na których winna się oprzeć owa przebudowa. Jeżeli zaś zasady głoszone przez Kościół sprzeciwiają się zasadom tej lub innej grupy politycznej czy społecznej, nie ulega wątpliwości, iż owa grupa popełnia nadużycie zasłaniając się autorytetem Kościoła i powołując się na swój katolicyzm.

Niektórzy rzekomi katolicy odbyli już część swej drogi do pewnego konfliktu z Kościołem. Po poszukiwaniach jakiejś formuły, która by pogodzić mogła doktrynę katolicką w prawach jednostki ludzkiej z uroszczeniami państwa totalnego, po próbach usprawiedliwienia gwałtu — potrzebami natury wyższej i ujawnieniu, dzięki wyręczeniu Kościoła w jego apostolstwie przez państwo — doszło ostatnio do rasistowskich fermentów, wznieconych przez tych kandydatów na apostołów świeckich z ramienia — państwa.

Walka z żydostwem, sprawiedliwa i słuszna, pod wpływem powiewów z bliskiego Zachodu zaczyna przeradzać się w Polsce w walkę rasistowską, opartą na „moralności" nic wspólnego nie mającej z chrześcijaństwem. Ukazują się u nas periodyki, występujące przeciwko władzy kościelnej, o ile jej posunięcia nie podobają się prorokom odrodzenia Polski na wzór sąsiedniej hitlerii.

Ci pseudo-katolicy, zasugestionowani „znakiem bestii" w postaci łamanego krzyża (swastyka) mącą wodę bądź szerząc błędne twierdzenia o prawie kanonicznym, rzekomo nie obowiązującym sumienia katolików, i pozostawionym do swobodnego uznania wiernych, bądź też uderzają już w Stary Testament, wzorem brunatnych reformatorów w Rzeszy, a nawet atakują i samą naukę Chrystusa Pana, jakoby sformowaną przez św. Pawła.

Cóż dziwnego, że podobna literatura zaczyna już przedostawać się do rąk młodzieży szkolnej, która wobec księży prefektów zaczyna manifestować swoją niechęć do Historii Świętej.

Inny znowuż odłam reformatorów nie pochwala rzekomo totalizmu, lawirując nie zawsze zgrabnie pomiędzy Scyllą państwa chrześcijańskiego a Charybdą państwa przemocy fizycznej. Potępia się przy tym dawniejszy nacjonalizm, jako nie dość dynamiczny i wysuwa się pochwałę dyktatur, uszczęśliwiających ludzkość (Niemcy, Włochy).

Można by powiedzieć, że wszystko to piszą ludzie młodzi, rzutcy i ambitni, ujawniający często gęsto niepospolitą ignorancję, ale pamiętajmy, że dziś pod firmą młodzieży i młodego ruchu — występuje nie prawdziwa młodzież, ale ludzie po czterdziestce. Jest to osobliwa zaiste „pajdokracja", lamentująca na upośledzenie młodzieży i pretendująca do jak najrychlejszego objęcia steru w społeczeństwie. Przeciw tej maskaradzie należałoby raz mocno zaprotestować. Młodzież należy widzieć tam, gdzie jest istotnie, ale wyprosić sobie przemawianie w imieniu młodzieży panów z łysinką, monoklem i zarysowującym się brzuszkiem.

Zapewna rola „ambasadorów młodzieży" jest wygodna. Obywatelowi Rzeczypospolitej akademickiej wiele rzeczy ujdzie, ale też obywatele ci naprawdę nie pretendują do roli „ojców narodów". Ale jeśli mamy do czynienia z podszywaniem się pod „enfantylizm" szerzeniem zasad wrogich katolicyzmowi, z powoływaniem się na katolickie uczucia młodzieży — musimy powiedzieć: dość tej komedii.

Jeśli kto jest naprawdę katolikiem, temu zasady społecznej przebudowy świata, głoszone przez Papieży, najzupełniej wystarczą dla opracowania programu, dostosowanego do potrzeb danego kraju, a więc i do warunków Polski.

Polska jest krajem, w którym najwcześniej bodaj w Europie zrodziło się poczucie odrębności narodowej. Nacjonalizm polski, który w walkach o wolność narodu zdobył sobie jak najszczytniejsze świadectwo — nie potrzebuje obcych wzorów. Obejdzie się bez wypożyczanego „dynamizmu", jeżeli uczciwie będziemy naśladować i trud i ofiarę wielkich w Narodzie Polskim...

Nie chciała Polska być „niewolnicą cudzą", gdy chodziło o rządy absolutnych mocarstw zaborczych, nie będzie też niewolnicą cudzych pojęć o państwie i narodzie, sprzecznych przy tym z nauką Stolicy Apostolskiej.

Polska istotnie katolicka musi zrobić porządek u siebie w domu i odgrodzić się drutem kolczastym od fałszywych katolików, wyznawców „ewangelii" nie Chrystusowej i pokątnych czcicieli krzyża, który nie jest krzyżem Zbawiciela świata.

IZA KUŹMIŃSKA

„O KSIĄŻCE POLSKIEJ SŁÓW KILKORO”...

Trzeba nam mówić o książce, o narodzinach jej i byciu w walce, o znojnym trudzie przeobrażeń lotnych, co to się mnożą wielokształtnie nim myśl, doznanie, czy marzenie w cierpliwe sieci słowa się ułowią, nim staną się *znakami* prawdy życia, jego trwania, przemijania, spraw rozlicznych, nim takie *znaki-słowa* staną się ciałem w czynie.

U podstawy książki stoi słowo — to tajemnicze misterium, o którym w innym znaczeniu powiedziano:

„Na początku było Słowo... i Bogiem było Słowo... a bez niego nic się nie stało z tego co się stało”.

I nie dokonało się nic, co by nie poczęło się ze słowa. Posiane zostało w dusze, żeby wydało kwiaty płomienne miłości Ojczyzny i ludzkości, żeby pomogło ludziom i sprawom istnieć wieki, i rozpaliło upragnioną wizję życia bez granic, sięgającego w wieczność.



„Azali z litery nie czytujesz słów przed tysiącem lat skreślonych, o które tysiące lało krew?” [1]) — pyta wielki miłośnik słowa.

Bo czymże jest słowo? Jest ono czynu testamentem. Norwid mówi: czego się w czynie nie dokona, to się testuje w słowie pokoleniom przyszłym. Tak więc słowo to ogniwo, które spaja czyn myśli z czynem urzeczywistnienia jej. Poprzez słowo z „chaosu materii grubej, przez ciała człeczego skorupę uwięziony D u c h się wyświetla”, duch czasów i pokoleń wiekuiście dążący do wyzwolin i zanurzenia się w tym źródle żywym p a m i ę c i dnia dzisiejszego i następnych, toczących się szparko w kolisku stuleci.

Otworzył Polsce żyłę mocy wiekuistej słowa soczystego, jak „źrały owoc” Mikołaj Rej, co to wprawdzie w dwudziestym roku życia dopiero na pańskim dworze „z listów, z rozmów między pisarzami, z czytania, a snadź więcej z natury jął się już był przegryzować potrosze i łacińskiego pisma czytać, a Bóg, a natura ostatka dodała, iż był przyszedł potem *ad iudicium*, iż wżdy już rozumieł, co czarno, a co biało”, ale też powszechności dzban miodu syconego postawił składając „Teksty dziwne a wirsze rozmaite, tak nic się nie rozmyślając”.

Matecznik bujnej mowy Reja prześwietlił drogami natchnień renesansu Jan z Czarnolasu. Chodzili później nimi trzej wieszczowie z żagwiami buntu przeciw tyranom. W głębiach krzaczastych sadzeń językowych ojca naszej literatury odnalazł Wyspiański strumienie prędkie nowej sztuki i pchnął z ich prądem łódź swego artyzmu.

Tak się stawało p i s m o polskie, które niejedną ważką rolę odegrało w narodzie. Kazalnicą Skargi było i ewangelią pod zaborem, szkołą i ustawą społeczną, i przykazaniem moralnym. Boć pismo to —

„Cud wcielonego ducha, to nie żaden kwiatek
Z roślinarni światowej; pismo to opłatek,
Którym łamać się trzeba i od serca życzyć
Dosiego roku prawdy *— nie szermować, krzyczeć,*
Lecz z całą siłą działać, działać w taki sposób,
Jako dawny obyczaj, bez wyborczych osób,
Z bogobojną czeladką wieczerzając społem
Na sianie z własnej łąki i za własnym stołem”.

Uświadomić sobie tylko trzeba, jakie to rozłogi olbrzymie polskiej książki, z ducha wielkiego poczętej, wypełnione są treścią narodu, jego dziejów i walk, i nieustępliwego pochodu w przyszłość zwycięską, mocarstwową; jakim ogniem płonie i wybuchem niezmożonej energii społecznej uderza książka po wielkiej wojnie; ile w niej mocy dla rzuconych na obczyznę, którym tak polska książka potrzebna jak chleb powszedni, bo — „wieczne niebłogosławieństwo tym, którzy znaki nasze rodowite zatracą, mowę ojców zaniedbają i zagubią. Takie narody zginą. Bo wtedy nie poznają się bracia. — Dzieci jednej rodziny przez zaszczepienie politycznych między nimi poróżnień znienawidzą się. I zabijać się będą bez porozumienia sposobu: bez czucia i wiedzy nawet, że własne wytępiają plemię” — jak groził twardo sfrancuziałej Warszawie Staszic.

Czas dzisiaj powtórzyć te słowa gromkie, pełne bólu, bo się znów książce źle dzieje. A nie należy zapominać, że gdy dobrej, pięknej i mądrej książce wyrządza się krzywdę, krzywdzi się tym samym społeczeństwo, bo odbiera mu się karm duchową, zrywa się między nim a postępującym ciągle naprzód światem łącznik książki, niosącej zdobycze nauki, pozbawia się rzesze błogosławieństwa odrodzenia się w odżywczej fali piękna sztuki, niszczy się więź zadzierzgniętą tęczowymi strunami tra-

[1]) C. K. Norwid. Pisma zebrane. T. E. s. 10.

dycji między dniem, który zowiemy naszym, a przeszłością.

Zamknęło się wraz z nią, z tą przysypaną popiołem niepamięci przeszłością, przebogate życie księgi na waganckich drogach, w sercach żonglerów i goliardów narodzonej, w skóry bogato tłoczone oprawnej i na klamry cudnej roboty spiętej, a wewnątrz, cierpliwą, mniszą pracą w sploty „mieczów i różańców, tarcz i lilij", „w gęśli żonglerów, organkowe fletnie i palety z pędzlami", zdobną.

Ukazała się książka skromna, chociaż wcale artystycznie nie uboższa — wystarczy przypomnieć chociażby takich budowniczych jej jak Andriolli, Kossak, Norwid i Wyspiański, i inni — niezbyt domową skarbonkę obciążająca, oddana pracowitej służbie dniom powszednim, szarym, która niesie dobrą nowinę ludziom niecierpliwym, utrudzonym, dorywczo, bez wyboru po napój ochłody do niej sięgających.

Lecz i z tą książką rozmija się jakoś człowiek dzisiejszy.

I dlaczego?

Nieprawdą jest przecież, że następuje zmierzch książki, że się książki nie chce, że się ją odpycha. Przeciwnie pragnie się jej, a przede wszystkim potrzebuje. Więcej nawet, jest ona koniecznością, warunkiem czynnego udziału w biegu życia. Jest także komu czytać. Łaknie książki młodzież, szuka jej rozbudzona i rosnąca w sobie wieś.

Tylko, że ogół nie ma wyrobionego instynktu dobrej książki i wyciągające się po książkę ręce chwytają byle co — a nie to właśnie słowo dobre, kształcące i kształtujące, na które ciągle czeka czyjaś myśl szukająca odpowiedzi na dręczące pytanie, czyjeś serce, spragnione pociechy.

Nie brak również książki, tylko że trzeba nauczyć wielu, jak ją wybrać i jak czytać. Narzeka się, że nie ma książki dla wsi, a z pewnością przyjęłaby się i zakorzeniła mocno w żyznym czarnoziemie dusz prostych, mocno czujących i z całą pierwotnością oddania się bez zastrzeżeń chwytających prądy czasu, nie bacząc na wiry i mielizny — książka Kraszewskiego, Reymonta, Sienkiewicza. Dojrzała już wieś do rozpalających ducha opowieści Żeromskiego. Znalazłby żywy oddźwięk pod strzechą niejeden ze współczesnych pisarzy.

Lecz trzeba ogół w dobrej książce rozmiłować, pamiętając, że jest bardziej niedbały niż obojętny i bardziej leniwy niż książce niechętny, no i słabo, źle z książką zżyty — z dobrą książką oczywiście, bo zła, osłabiająca ducha ciśnie się sama w ręce. Nie stanowią dla niej żadnych przeszkód wschodnie granice. Ujdzie każdemu pościgowi tasiemiec długich, nędznych, głupich i żałosnych historii, wypełniających umysły czadem sensacji i niepokojących tajemnic płci.

Więc trzeba czytać dobrą książkę w domu, w szkole, na obozie, w radio, wszędzie, żeby nie zasłużyć na skargę poety, który się gorzko zwierza księgarzom:

Żebym ja pisać umiał, mój kochany,
Tobym napisał książkę w sześciu tomach,
I dałbym brzeg jej grubo wyzłacany
(Jak te oblaski żółte, co na słomach),
I posadziłbym ducha mego w bieli
Na onych bryłach ksiąg, jak nad grobowcem
Pozasmucani siadają anieli
Z cyprysem, palmą w ręku lub jałowcem.

— — — — — — — — — — — —

Ale cóż? pisze tu, o śmiertelniku!
Kiedy co chmury rozstęp, to łyskanie,
Kiedy co człowiek, to nowin bez liku.
I Ewenement-bóg, *w wielkiej sutanie*
Przechadzający się dziś, z bibułami
Pod pachą, w których przestrachowie sami.

— — — — — — — — — — — —

O Ewenement-bóg *ten Paryżowi*
I Europie dziś zastąpi Pana.
Tak, jak gdy wieśniak się nie zastanowi,
Że dał się w sztuczkę uwikłać cygana,
Tak on dziś zedrze świat, bursę obłowi.
O Ewenement-bóg, *ten nas znarowi,*
Tak, że już, Boże! gdzie ewenementa
W ludzkości... rzadki człowiek to pamięta [2]).

O książce zatem mówić nam trzeba i torować jej drogę do czytelnika, bo to sprawa i kulturalna, i społeczna, i państwowa, i ogólnoludzka.

Porozumiejmy się z książką, przecież to nas samych odbicie i naszych trudów, osiągnięć, rozgoryczeń, wobec dręczących serce żalów, tęsknot, pragnień, dobrych pociech i prawd naszych i wysiłków, jak w tym wierszu Wyspiańskiego:

Pociecho moja, ty książeczko,
Pociecho smutna;
Nad małą siedzę schylon rzeczką,
Z wód igrające falę dziecko,
Żal mroku skrada się zdradziecko
Nad łąkę, rzeczkę, nad mój strumień,
W duszącej mgle nieporozumień
Zapada noc okrutna.

[2]) C. K. Norwid. Pisma zebrane. T. H. s. 331.



Ks. BENOIT LAVAUD O. P.

MIŁOŚĆ I MAŁŻEŃSTWO

Nowoczesne formy małżeństwa i małżeństwo chrześcijańskie.

Najsilniejszy do dnia dzisiejszego atak na małżeństwo przypuszczony został przez komunizm sowiecki, który przedstawia w tej dziedzinie, bardziej niż w jakiejkolwiek innej, krańcowy szczyt indywidualizmu.

Zbędną jest rzeczą analiza kodeksu małżeńskiego w Sowietach i obyczajów, jakie tam wprowadzono. Wszystko to jest zbyt dobrze znane. Olbrzymi eksperyment sowiecki raz jeszcze potwierdzony został faktami o sile niezwalczonej tej prawdy, przez psychologię, socjologię, teologię i historię nauczanej, że małżeństwo nie może żyć bez moralności seksualnej, bez małżeństwa względnie ustalonego i bez rodziny. Nawrot ku tym ideom, który zauważyć się daje od kilku lat, musiał nastąpić pod groźbą katastrofalnych skutków. Po wysiłkach w celu zniszczenia rodziny i małżeństwa, dla wyzwolenia instynktów, dla zastąpienia typu żony i matki — typem robotnicy, towarzyszki i współpracownicy w wielkich planach ekonomicznych i socjalistycznych, po wybudowaniu wielkimi kosztami dla wyemancypowanej kobiety specjalnych klinik „dla poronień", dumy systemu sowieckiego — prowadzi się obecnie energiczną kampanię przeciw rozprzężeniu obyczajów, przeciw zbyt częstym rozwodom, przeciw opuszczaniu dzieci, a także wykazuje się straszne skutki poronienia i maluje się przeraźliwy obraz jego następstw dla zdrowia fizycznego i psychicznego kobiet. Oświadcza się także, że niemożliwością jest w kraju „twórczego socjalizmu" stałe uprawianie poronień i świadome zmniejszanie ludności, wskutek czego ogranicza się przeprowadzanie tego rodzaju operacyj w państwowych klinikach z myślą o zupełnym ich skasowaniu.

Głosy oficjalne i prasa zaczęły na nowo wysławiać ciche cnoty domowe, nazywane dawniej z sarkazmem pozostałością „burżuazyjną". —

Ewolucja nastąpiła tak szybka, że trudno jest za nią nadążyć. Kobiety, które narzekały na to, że po oswobodzeniu ich od ogłupiających prac domowych, pcha się je znowu do garnków i pieluch, a odciąga od pracy społecznej — mogą być oskarżane o agitację kontrrewolucyjną, anarchię i sabotaż.

„Małżeństwo — to sprawa społeczna", pisał Solz w gazecie „Trud" z dn. 28 kwietnia 1936 r. „Dotąd udzielano u nas rozwodów z wielką łatwością, czas już zacząć je utrudniać. Niezbędnym jest ustalenie jasno praw obu stron i zatroszczenie się przede wszystkim o dzieci. Kobieta w Sowietach jest równa mężczyźnie; ale to nie uwalnia jej od obowiązku, narzuconego jej przez naturę . Jest matką, a zdrowie jej winno być podwójnie cenne i jako istoty ludzkiej, i jako matki". —

Przytaczając te słowa, Helena Izwolska omawia znaki obudzenia się osobowości w części świata kobiecego. Władze patrzą nań dość życzliwie, gdyż przerażony ustawodawca szuka wszelkich sposobów, aby naprawić szkody.

Czy miałoby to znaczyć, że kierownicze sfery, a przede wszystkim nieubłagany dyktator Z. S. S. R. „ojciec narodów", nawrócili się do zdrowego humanizmu, do uznania osobowości i uszanowania wartości religijnych, które jedynie mogą zapewnić godność i zdrowie rodziny. — Wiadomo, że o tym nie ma mowy. Wyrzeczono się jednak indywidualizmu, któremu wydano na łup stosunki między mężczyzną i kobietą, aby dokładniej zniszczyć rodzinę i religię.

Konieczności życiowe zwyciężają zatem nawet prawomyślność komunistyczną. Potrzeba związków względnie stałych, rodzin zabezpieczonych przeciw zgubnym rozwodom, aby dzieci rodziły się i otrzymywały od swych życiodawców minimum wychowania, lub co najmniej opieki materialnej, aby wyleczyć ohydną ranę opuszczonego dzieciństwa, oddanego włóczęgostwu i zbrodni.

Należy zahamować zmniejszanie się urodzin, spowodowane rozwiązłością seksualną. Należy zapewnić nowej Rosji wielkość i siłę przez dostarczenie olbrzymiej czerwonej armii, a frontowi pracy niewyczerpanej liczby pracowników.

Obecnym hasłem zatem będzie z jednej strony praca nad odbudową małżeństwa i ogniska domowego, rodzinnego, z drugiej nad wzmocnieniem zakresu państwowego wychowania i narzucenia drogą terroru posłuchu dla oficjalnej ideologii, której odmian i odchyleń trudno już zliczyć. Dążenie do wskrzeszenia pewnego rodzaju małżeństwa i rodziny stanowi jedną z najjaskrawszych cech ewolucji Rosji rewolucyjnej oraz jedną z cech ustroju totalnego, tak przez komunistów znienawidzonego. —

O ile stare państwa liberalne, pomimo ustaw częstokroć surowych, dopuszczają do zbyt rozwiniętego indywidualizmu i demoralizacji, i pozwalają doktrynerom na wprowadzanie różnych reform małżeńskich, sprowadzających niszczenie rodziny, na korzyść zaś rodziny stosują jedynie półśrodki, to nowe państwa totalne, znając wagę ognisk rodzinnych, starają się powstrzymać upadek małżeństwa przez bardziej stanowczą i konsekwentną akcję. Uroczystymi dokumentami popierają prawo kanoniczne w małżeństwie, przeciwstawiają się energicznie rozwodom i wprowadzeniu ich kiedykolwiek do ustaw, podnoszą wartość cnót rodzinnych, a szczególnie wielkość macierzyństwa. I to jest wspaniałe. Niestety, grożą odchyleniem w stronę etatyzmu i totalizmu spaczeniem zasad chrześcijańskich przez wyzyskanie szlachetności, entuzjazmu, poświęcenia. Wchłonięcie człowieka przez państwo, uznające się za jedyną osobowość, uroszczenie wychowania człowieka tylko i jedynie dla państwa, narażają rodzinę na przeobrażenie się w narzędzie pogańskiego ideału wielkości imperialistycznej i przeniesienia punktu ciężkości na stronę fizjologiczną macierzyństwa i patrzenie na kobietę i żonę jedynie jako na matkę przyszłych żołnierzy.

Pseudo-religia rasizmu, ubóstwiająca krew i ziemię (Blut und Boden) nie ustępuje wcale pod względem moralności i wrogiego stosunku do chrystianizmu — ateuszowskiemu bolszewizmowi. I tutaj stawia ona krańcowe postulaty — skłania swych zwolenników do zamykania oczu na ciężkie błędy i całkowite zaprzepaszczenie obowiązku czystości, uznanie obowiązku dla wszystkich zdrowych mężczyzn i kobiet złożenia sił seksualnych na służbę Państwu, utożsamienie macierzyństwa poza małżeństwem z macierzyństwem legalnym (co zresztą głoszą i pewne państwa liberalne), unieważnianie małżeństw bezdzietnych lub zagrażających czystości rasy, gdy jeden z małżonków nie jest aryjczykiem,

IZABELA HENTZEL

CZEKOLADA Z PIANKĄ

Dyskrecja jest wielką cnotą, ale w obecnej dobie prawie niespotykaną. —

Nie wyłamując się spod ogólnej zasady i atmosfery popełniam jeszcze jeden nietakt i publikuję urywki z pamiętników dwóch pensjonarek w wieku lat 14 — 15 na przestrzeni piętnastu lat. Są to wrażenia imieninowe.

* * *

Dnia 2 czerwca 1923 roku.

Jest już bardzo późno — godzina dziewiąta wieczór. —

W dniu dzisiejszym mamusia pozwoliła mi położyć się spać aż o godzinie dziesiątej. —

Korzystam z chwili samotności i piszę swój pamiętnik. Muszę mu powierzyć moje tajemnice i najpiękniejsze przeżycia. —

Czyż istnieje przyjemniejszy i rozkoszniejszy dzień w roku ponad dzień imienin?

Rano mamusia i tatuś wstali wcześniej niż zwykle i coś między sobą szeptem rozmawiali. Słyszałam wszystko, ale udawałam, że śpię.

W pewnej chwili uczułam, jak tatuś lekko mnie pocałował i postawił coś przy łóżku. Nie mogłam już dłużej utrzymać cierpliwości na wodzy. Zerwałam się szybko, ucałowałam ojczulka i chwyciłam prezent, o którym marzyłam na jawie i we śnie. — Piękne, ślniące lakierki. Byłam nimi zachwycona.

Mamusia ofiarowała mi prawdziwe jedwabne, granatowe wstążki do włosów, a ciocia Melania śliczne różowe pończochy w prążki. Przędza w najlepszym gatunku. O, ja na tym się znam! —

Ranek i południe w szkole minęły jak sen złoty. —

Od babci dostałam torebkę miętowych cukierków, którymi częstowałam w klasie wszystkie koleżanki. Uradowane zaśpiewały mi: „Sto lat, sto lat, niech żyje nam!" — Wrażenia niezapomniane.

Po południu mamusia pozwoliła mi zaprosić do domu Hanię, Marysię, Kasię i Irenkę.

Od Hani dostałam dwie piękne, własnoręcznie haftowane husteczki do nosa. Od Marysi rafiowe pudełko

---

prawo państwa do narzucenia sterylizacji, gwałtowne napaści na celibat księży i zakony, występowanie przeciwko dziewictwu chrześcijańskiemu pod pozorem pozbawienia narodu pożądanych urodzeń.

Fałszywe pojęcie bohaterstwa łatwo wprowadzić może na manowce dziewczęta i kobiety nie posiadające silnych zasad moralnych.

W ten sposób małżeństwo i rodzina niszczone są przez indywidualizm, a nie mogą być uratowane przez etatyzm. Indywidualizm wyrzeka się wszelkiej ascezy, usprawiedliwia instynkt i wydaje człowieka na pastwę jego skażonej natury, głosząc, że właśnie jej skazy oznaczają siłę i zdrowie. Indywidualizm zapoznaje różnicę, istniejącą między osobnikiem i osobowością, obowiązek człowieka stania się istotą, panującą nad sobą, rządzącą się rozumem i poddającą się Bogu. Błąd popełniany przez indywidualizm, doprowadza do rozkładu i całkowitego zniszczenia małżeństwa i rodziny. Dla odbudowania ich i podniesienia z gruzów nie można liczyć na doktryny etatyzmu lub totalizmu. Nowoczesny moloch pod postacią państwa, rasy lub klasy społecznej jest niemniej drapieżny od potwora indywidualizmu. Nie można zaprzeczać wysokiego dostojeństwa istocie ludzkiej z jej wolnością z jej nieprzedawnionymi prawami w stosunku do zbiorowości społecznych lub politycznych, gdy ona tworzy rodzinę, tę podstawową komórkę społeczną, jaką jest mężczyzna, kobieta i ich dzieci.

Szkody mogą być większe lub mniejsze, zależnie od sposobów, jakimi zarazek totalizmu rozporządza oraz od środowiska, które niejednakowo reaguje. Niebezpieczeństwo jednak, choćby bardzo dalekie, jest olbrzymie.

W humanizmie całkowitym filozofii chrześcijańskiej, w prawdziwym Kościele Chrystusowym szukać należy rzeczywistej i autentycznej doktryny o małżeństwie. Sam Boski Oblubieniec, który „wiedział, co tkwi w człowieku", objawił mu to. Kościół jedynie ochroni nas od wszelkich odchyleń, wskaże drogę prawdy między błędami anarchicznego indywidualizmu i etatystycznego absolutyzmu.

Nie badamy tutaj zarysu tej chrześcijańskiej doktryny. Dokumenty Kościoła zawierają jej jasny wykład. Dwóch wielkich papieży ponownie sformułowali dla obecnych czasów. Leon XIII w encyklice „Arcanum" przypomniał Boską instytucję małżeństwa i bronił przeciwko ustawom i projektom ustaw o rozwodach, bronił nierozerwalności małżeństwa w prawie przyrodzonym i Boskim. Papież Pius XI w encyklice „Casti connubii" wykłada w zwartej syntezie pełną doktrynę o małżeństwie chrześcijańskim i broni energicznie przeciw błędom i niemoralnym praktykom trzech wielkich dóbr związku małżeńskiego, ustalonych przez św. Augustyna: dziecka, wierności i nierozerwalności sakramentu małżeństwa. Pius XI daje duchowieństwu i Akcji Katolickiej, którą sam określa jako uczestnictwo wiernych w apostolstwie — program odnowienia w umysłach prawdziwego pojęcia o małżeństwie i odrodzeniu obyczajów w małżeństwie.

Encyklika „Divini illius magistri" o wychowaniu, ogłoszona rok przed i umieszczona w tymże tomie „Acta Apostolicae Sedis" jest nieodłączną od encykliki o małżeństwie. Dodać do nich należy dwie encykliki o „bezbożnym komunizmie" i o „rasizmie". Oba te akty zawierają nie tylko znakomite ustępy tyczące istoty ludzkiej i jej praw, małżeństwa i rodziny, społeczności małżeńskiej i jej celów, ale mieszczą w sobie całkowite odparcie zarzutów, stawianych przez materializm komunistyczny i rasizm, oraz wszelkie wskazówki, jak bronić wartości chrześcijańskich przeciw błędom wrogich potężnych sił, co jeszcze bardziej przyczyni się do podniesienia wartości doktryny chrześcijańskiej o małżeństwie i rodzinie. W programie, którym kończy się encyklika „Casti connubii" Pius XI kładzie specjalny nacisk na konieczność rozważania Boskiej idei małżeństwa, nie mogącej podlegać reformom według teorii i systemów ludzkich, a także o szacunku i posłuszeństwie dla nauki Kościoła i rozpowszechnianiu tej nauki między ludem, nawet niechrześcijańskim. Wysiłek ten, odnoszący się raczej do inteligencji, nie jest wystarczający, poparty on być winien ofiarną pracą nad umożliwieniem szerokim masom społeczeństwa życia zgodnego z moralnością chrześcijańską, a rodzinom ułatwienia zachowania tych przepisów bez wymagania od nich stałego bohaterstwa. Dokładne poznanie zasad chrześcijańskich i głęboka wiara są nieodzowne w tej pracy.

cukierków, a od Kasi i Irenki album. Na okładce wymalowana jest gałązka niezabudek, na której siedzi biały gołąbek z listem w dziobku.

Każda z moich koleżanek napisała mi po jednym wierszu. Śliczne są — odczytam je jeszcze raz.

1. „Dwa serca złączone razem, klucz rzucony w morze —
Nikt nas już nie rozłączy, chyba Ty, o Boże". —
2. Jak fiołek wśród ukrycia,
Ożywiony tchnieniem wiosny,
Tak niech płynie wiek twój młody,
Słodki, miły i radosny". —
3. „Na górze róże, na dole fiołki,
Kochajmy się razem, jak dwa aniołki. —
Zginęła Grecja — zginął Rzym —
Lecz nasza miłość nie pójdzie w dym". —
4. „Wyrzeknę się ciastek, czekolady z pianką,
Bo ponad wszystko przekładam
Przyjaźń z koleżanką". —

Potem było właściwe przyjęcie. Czereśnie, truskawki, placek z wiśniami i pyszna czekolada z pianką.

Choć to nieprzyzwoicie, ale wypiłyśmy aż po dwie filiżanki czekolady z powodu pianki.

Marysię nawet potem mdliło, ale to nic nie szkodzi — mówiła — bo to tylko przez robaki. Biedna Marysia nie może jeść słodkich rzeczy, bo jej robaki tego nie lubią.

Po podwieczorku bawiłyśmy się w cenzurowanego, ślepą babkę, głuchy telefon i fanty. Nastrój był wspaniały, zabawa chyba szampańska, ale cóż, niestety, o godzinie ósmej po Hanię przyszedł jej starszy brat, po Marysię ciocia, a po Kasię i Irenkę służąca. Rozstałyśmy się z żalem. — Imieniny skończone!!!

Alinka K.

Dnia 2 czerwca 1938 r.

Jest jeszcze dziecinna godzina — zaledwie 12^{15} po północy. Noc jest ciepła, poetyczna, księżycowa. Goście się już rozeszli, bo podobno „nie wypadało zostać dłużej". Ale te głupie przesądy! Przecież pan Ziutek, Władek i Kleofas są przemili.

Kleofas, Kleofas! Ten najbardziej mi się podoba, ale taki jakiś dziwnie nieśmiały. —

Wanda Krupińska mówi, że to kryminał i przestępstwo, aby w dzisiejszych czasach nosić takie imię. W jakiej formie słodko takie imię przez usta przepuścić?

Ja myślę jednak, że ona to mówi przez zazdrość, bo jej Dyzio, choć ma wprawdzie słodkie imię, ale za to oko zezowate i sepleniącą wymowę...

Jest mi gorąco... Otworzę okno. Jaki piękny wieczór...

Naprawdę nie mogę pojąć, jak dalece ludzie potrafią być prozaicznymi i spać beztrosko w taką cudną noc.

Z sąsiedniego pokoju dolatuje głośne, basowe chrapanie ojca i nieco cichsze sopranowe mamy.

Babcia też już pewnie „wymruczała" swoje Godzinki, bo obie jej szczęki sztuczne, włożone do szklanki z wodą, stoją na komodzie i groźnie szczerzą swe zęby.

... Dzień imienin skończony...

A właściwie wszystkiemu winne te babcine zęby.

Oni wszyscy zostaliby dłużej. Ale gdy babcia już o godzinie dziewiątej ustawiła na najwidoczniejszym miejscu swe zęby, uznali to za bezapelacyjny sygnał, który znaczy drogę do powrotu, no... i wyszli...

... A jednak pan Kleofas jest bardzo męski i ma wiele niezaprzeczonego uroku, ale cóż, jest dopiero w trzeciej klasie i musi nosić tę niebieską, kompromitującą tarczę...

Zosia jest szczęśliwa, bo zawsze nosi ładne sukienki siostry i pończochy. Jak to przyjemnie i wygodnie jest mieć w takich wypadkach starszą i dorosłą siostrę!

Krysia Stefańczykówna stanowczo nie umie się ubierać i nie ma gustu. Jak można na imieniny koleżanki przyjść w mundurku i z niebieską tarczą na rękawie.

Jestem skompromitowana! Panu Kleofasowi mówiłam, że jestem już w liceum, no i na ulicy przypinałam czerwoną tarczę, a ta gęsina mnie wkopała, bo przecież on wie, że jesteśmy w jednej klasie. Ten brak logiki u niektórych kobiet jest potworny!

Prezenty w tym roku też nie bardzo mi się udały. Obiecana, ale nie otrzymana sukienka od mamy. Od ciotki Balbiny tradycyjne pończochy. O ironio! Gdyby chociaż cienkie i jedwabne. Ale, niestety, grube i jakby przędzowe. Schowam je do jesieni i z powrotem ofiaruję ciotce na jej imieniny. W ogóle osoby, które nie mają talentu do ofiarowywania prezentów, mogłyby nie zaszczycać mnie swoją obecnością.

Stryjenka Emilia, znane „skąpiradło" przyniosła broszkę „odpowiednią dla młodej panienki" — szarotkę z napisem: „Pamiątka z Zakopanego". — Wolałabym fujarkę!

Od stryja Andrzeja perfumy w lichym gatunku. Od Zosi puderniczkę za 1.50 zł, a od Krysi album do wpisywania się. Pamiętnik do bzdurnych wierszydeł. Pomysł archaiczny, godny Krysi. Mam już o niej wyrobione zdanie: cielęcina.

Za to babcia twierdzi, że Krysia to panienka naprawdę z „dobrego domu".

Od pana Władzia tabliczka czekolady, a od pana Kleofasa czerwone tulipany...

Oj, niedobrze mi... Czuję naprzemian w gardle smak śledzi i domowego, zbożowego wina. Słodkie było jak lukrecja, ale domowe! Kiedyż, ach kiedyż poczęstuję swych gości prawdziwym szampanem, majonezem i melbą?...

W tej chwili wstyd mi za siebie i moje marzenia o szampanie i „wytwornym" życiu (wszak majonez i szampan, to symbol wytworności).

Za kilka godzin spotka mnie prozaiczne rozczarowanie. Nie umiem łaciny i matematyki — jedna lub dwie dwóje pewne. A może pan Kleofas też nie odrobił lekcji? Może tak, może nie... może nie... Kleofasik...

Co to?!!! — E, nic — zęby — babcine zęby... dobranoc...

Alinette C.

Dusza jest moja jako płat szeroki...

Dusza jest moja, jako płat szeroki
Tej ziemi szarej,, co ją zboża kryją.
A nad nią — marzeń podniebne obłoki,
Niedosięgalne — kusząco się wiją.
Niekiedy wicher podnosi swe skrzydła,
Czarne zwątpieniem — obłoki przepędza,
Duszę w lodowe zakuwa spoidła.
Zostaje po nim licha wspomnień przędza...

Huczących gromów wali się kaskada,
Stuletnie dęby trzęsą konarami,
Burza nadchodzi — piorunowo blada.
Ziemię obmyje swych łez potokami.
Dalekich tęsknot niezmierzona głębia,
Jako ta ziemia blaskami skąpana,
Co wichrem wzdycha, burzą się oziębia,
Zawsze powszednia, a jednak nieznana. *W. P.*

J. Ch.

SKŁAD P. A. L. NA POCZĄTKU ROKU 1938

Polska Akademia Literatury, która swoje posiedzenie inauguracyjne odbyła 8 listopada 1933 r., w tym roku obchodzić będzie pięciolecie istnienia. Za datę powstania Akademii uważać trzeba datę rozporządzenia Rady Ministrów, powołującego Akademię do życia, tzn. dzień 29 września, wytworzył się jednak już do tej pory zwyczaj, że uroczyste doroczne posiedzenie jesienne odbywa Akademia zwykle dnia 8 listopada i w tym też zapewne dniu spodziewać się można obchodu piątej rocznicy istnienia, o ile w ogóle Akademia uzna za stosowne jubileusz taki święcić.

Skład Akademii w ciągu czterech przeszło lat ulegał zmianom parokrotnym. Tylko prezydium pozostaje do tej pory to samo. Zmiany w składzie członków pociągnęła za sobą z jednej strony śmierć dwóch akademików, z drugiej znów wystąpienie również dwóch.

Obecnie, na początku r. 1938, lista członków Akademii w układzie alfabetycznym przedstawia się następująco:

Wacław Berent — powieściopisarz, urodzony w Warszawie 28 września 1873 r.

Ferdynand Goetel — powieściopisarz i dramaturg, urodzony w Suchej w Małopolsce w 1890 r.

Karol Irzykowski — krytyk, urodzony w Błaszkowej w Małopolsce 25 stycznia 1873 r.

Juliusz Kaden-Bandrowski — powieściopisarz, urodzony w Rzeszowie 24 lutego 1885 r.

Juliusz Kleiner — historyk literatury, urodzony we Lwowie 24 kwietnia 1886 r.

Jan Lorentowicz — krytyk, urodzony w Pabianicach w 1868 r.

Kornel Makuszyński — powieściopisarz i poeta, urodzony w Stryju 9 stycznia 1882 r.

Zofia Nałkowska — powieściopisarka i dramatopisarka, urodzona w Warszawie 10 listopada 1885 r.

Zenon Miriam Przesmycki — eseista, tłumacz i poeta, urodzony w Radzyniu na Podlasiu 22 grudnia 1861 r.

Wacław Sieroszewski — powieściopisarz, urodzony w Wólce Kozłowskiej na Mazowszu w 1858 r.

Leopold Staff — poeta, urodzony we Lwowie 14 listopada 1878 r.

Jerzy Szaniawski — dramaturg, urodzony w Zegrzynku nad Narwią w 1887 r.

Kazimierz Wierzyński — poeta, urodzony w Drohobyczu 26 sierpnia 1894 r.

Tadeusz Zieliński — historyk literatury, urodzony w Skrzypczyńcach na Ukrainie w 1859 r.

Tadeusz Boy Żeleński — eseista, tłumacz i poeta, urodzony w Warszawie 21 grudnia 1874 r.

Przechodząc do omówienia szczegółów, wynikających z listy alfabetycznej, podkreślić należy, że zachodnie dzielnice kraju nie wydały dotychczas żadnego pisarza na miarę Akademii. „Mapa miejsc urodzeń współczesnych pisarzy polskich" notuje tylko trzy miejscowości: w Wielkopolsce Kościanki (Jerzy Hulewicz) i Ostrów (Wojciech Bąk), na Śląsku Karwinę (Gustaw Morcinek), są to jednak miejsca urodzeń pisarzy, którzy dopiero są w drodze do osiągnięć i którym do poziomu akademijnego bardzo jeszcze dużo brakuje.

Najstarszym pisarzem spośród akademików jest Sieroszewski, najmłodszym Wierzyński, liczący zaledwie czterdzieści trzy lata, Przesmycki, Sieroszewski, Zieliński dawno już mają poza sobą półwiecze pracy pisarskiej, a mimo to nie rozstają się z piórem do tej chwili.

Rozpatrując listę akademików od strony reprezentowanych rodzajów literackich, podkreślić należy ogromną przewagę prozy nad poezją. W Akademii na ogólną liczbę piętnastu pisarzy zasiada jedynie dwóch poetów, Staff i Wierzyński, bo Makuszyński, Przesmycki i Żeleński byli poetami kiedyś. Chociaż dałoby się znaleźć niejednego jeszcze akademika, który ma wiersze na swym literackim sumieniu (Irzykowski, Nałkowska, Sieroszewski), to jednak Akademii naszej przysługuje bez przesady tytuł Akademii Prozaików, gdyż nawet Wierzyński jest autorem tomu nowel pt. „Granice świata".

W ciągu lat ubiegłych oprócz wymienionych poprzednio, aktualnych akademików, godność tę piastowali jeszcze czterej pisarze:

Piotr Choynowski — powieściopisarz, urodzony w Warszawie 27 sierpnia 1885 r., zmarły w Otwocku 25 listopada 1935 r.

Bolesław Leśmian — poeta, urodzony w Warszawie w 1879 r. i tu zmarły 5 listopada 1937 r.

Karol Hubert Rostworowski — dramaturg, urodzony w Rybnej w Małopolsce w 1877 r., zmarły w Krakowie 4 lutego rb.

Wincenty Rzymowski — publicysta, urodzony w Mławie 19 lipca 1883 r.

Skoro podsumujemy obydwie listy akademików, obecnych i byłych, to okaże się, że w sumie na 19 dotychczasowych członków Akademii urodziło się ich w Warszawie 5, a więc stanowi to przeszło 26 procent. W cyfrach tych mamy dowód, jaką rolę odgrywa stolica w życiu kulturalnym kraju. Nie świadczy to bynajmniej, by klimat Warszawy, pojęty meteorologicznie wpływał na rodzenie się geniuszów. Socjolog widzi tu przede wszystkim działanie klimatu kulturalnego, oddziaływanie środowiska intelektualistycznego, w otoczeniu którego mogły się rozwinąć talenty.

Fotel po śmierci Choynowskiego przypadł Goetlowi, fotel po ustąpieniu Rostworowskiego Lorentowiczowi (chyba dlatego, że pisał o teatrze i że nie było godnego tego miejsca pisarza, piszącego dla teatru), fotel po ustąpieniu Rzymowskiego przypadł Makuszyńskiemu (a więc potraktowano go wyłącznie jako zdolnego publicystę i felietonistę); wreszcie na fotel po śmierci Leśmiana 6 stycznia rb. wybrano Wierzyńskiego, poetę z powojennej już grupy „Skamandra", bynajmniej nie czołowego w tej grupie. (Takimi nazwać można tylko kontrkandydata Wierzyńskiego, Juliana Tuwima i Jana Lechonia.)

Prezydium Akademii od samego początku stanowią: Sieroszewski — prezes, Staff — wiceprezes, Kaden-Bandrowski — sekretarz generalny.

Dyrektorem Biura Polskiej Akademii Literatury jest Michał Rusinek, jej radcą prawnym — dr Kazimierz Rudnicki, prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

LEON RADZIEJOWSKI

TRIUMF ŚWIĘTEGO ANDRZEJA BOBOLI

Święty Andrzej Bobola, jest nie tylko wielkim męczennikiem za wiarę, nie tylko wielkim świętym Kościoła katolickiego, ale również z woli Opatrzności, stał się symbolem umęczonej, a potem tryumfującej katolickiej Polski.

Św. Andrzej Bobola apostolstwo swe na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej przypieczętował śmiercią okrutną z rąk oszalałej w nienawiści dziczy. Bo był rzecznikiem jedności Kościoła Bożego, szermierzem cywilizacji zachodniej. Stawił czoło demoralizacji i anarchii rozbójniczej. I Polska jako mocarstwo była apostołem i obrońcą cywilizacji łacińskiej i padła ofiarą chciwości sąsiadów, osłabiona upustem krwi swej w walkach z nieprzyjacielami krzyża i wiary katolickiej.

Cudownie zachowane doczesne szczątki św. Andrzeja Boboli, skazane na długie, bo sto dwadzieścia lat trwające tułactwo, znieważone przez bezbożników bolszewickich i wydobyte z niewoli moskiewskiej przez Ojca świętego — czyż nie przypominają losów naszego narodu, który był tak długo pozbawiony własnego domu, znieważany przez swych krzywdzicieli, opuszczony przez wszystkich i tylko w Ojcu chrześcijaństwa znajdował oparcie, otuchę i obronę...

Z tryumfem wskrzeszonej Polski — musiał przyjść i tryumf św. Andrzeja. I tego niezwykłego tryumfu byliśmy świeżo świadkami.

Boć wśród Kościoła powszechnego nasz nowy Patron szczególne zaiste zajmuje miejsce, a owa cześć, którą dziś odbiera, podyktowana jest wyraźną wolą Boga.

Postulator kanonizacji św. Andrzeja Boboli, ks. Jan Rostworowski w swym pięknym przemówieniu na akademii ku czci św. Apostoła Pińszczyzny w Warszawie w Domu Katolickim im. Piusa XI — zwrócił uwagę na następujące fakty:

Św. Andrzej Bobola w swym życiu doczesnym niczym się właściwie nie wyróżniał. Był wprawdzie wzorowym zakonnikiem, gorliwym misjonarzem, zdolnym kaznodzieją, troskliwym wychowawcą młodzieży — ale takich jak on przykładnych kapłanów w owych czasach w Towarzystwie Jezusowym było wielu. Poniósł niezwykle krwawą śmierć męczeńską za wiarę, wykazując męstwo nad miarę ludzką, ale i w tym nie jest odosobniony.

W owych strasznych czasach męczeństwem przypłaciło swe apostolstwo, na tych samych kresach 57 kapłanów Towarzystwa Jezusowego, wielu dominikanów oraz innych zakonników, księży świeckich i laików-katolików. W przede dniu męczeństwa św. Andrzeja Boboli zamordowała ta sama banda Kozaków jego współtowarzysza o. Szymona Maffona, również w okrutny sposób. Cóż dziwnego, iż ciało św. Andrzeja pochowano w podziemiach kościoła jezuitów w Pińsku bez wyróżnienia wśród trumien wielu innych męczenników...

Inni święci za życia już słynęli cudami. Nic podobnego nie przekazały nam o św. Andrzeju, ani dokumenty pisane, ani tradycja.

Ale Bóg znał lepiej serce wielkiego Męczennika i Jego umiłowanie sprawy Bożej. Przeznaczył mu inną ogromnej wagi rolę. Oto św. Andrzej zza grobu staje się prorokiem i wielkim cudotwórcą.

W 1702 r., więc 44 lata po swej śmierci — ukazuje się przełożonemu konwentu jezuitów w Pińsku, o. Godebskiemu i nakazuje odszukać w podziemiach swoją trumnę i umieścić ją osobno. Oświadcza, iż weźmie w opiekę swą klasztor, któremu groziło wtedy wielkie niebezpieczeństwo.

W zbutwiałej trumnie ciało św. Andrzeja znaleziono nieskażone. Przy tej trumnie odtąd dzieją się liczne



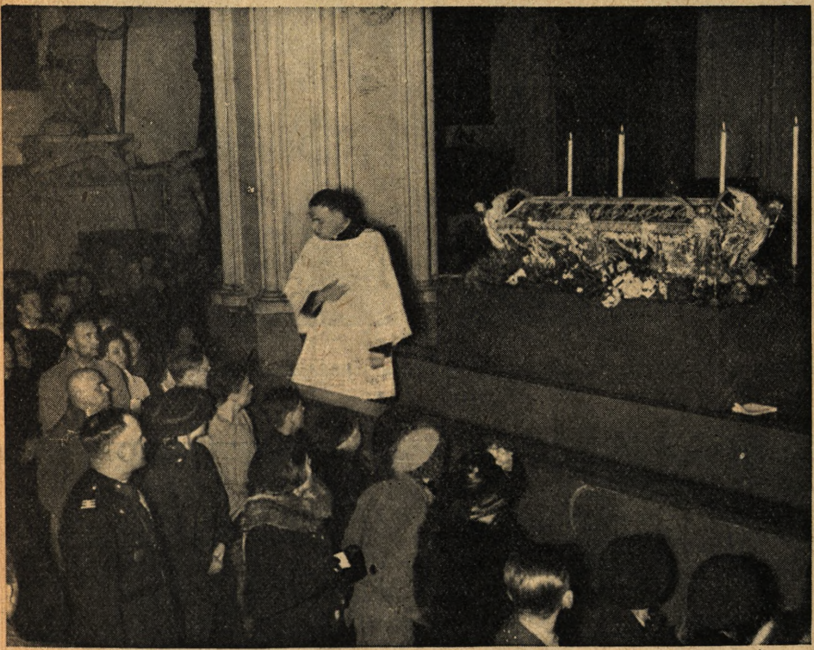
Powitanie relikwii św. Andrzeja Boboli na Dworcu Głównym w Warszawie.



Procesja z relikwiami św. Andrzeja Boboli z dworca do katedry. W pierwszym szeregu za trumną postępują: Marszałek Polski Śmigły-Rydz, marszałek Senatu Prystor, wicepremier Kwiatkowski i inni.



Procesja ze świętymi szczątkami w Alejach Jerozolimskich. Na froncie długie szeregi duchowieństwa.



Relikwie św. Andrzeja Boboli w Katedrze warszawskiej.

Uroczyste nabożeństwo ku czci św. Andrzeja Boboli na Placu Zamkowym w Warszawie.



cuda. Z dalekich stron śpieszą do niej wierni, a nikt nie odchodzi bez pomocy i pociechy.

Na Polskę tymczasem spadają nieszczęścia rozbiorów. Trumna Boboli wędruje z Pińska aż do Połocka, tam przenoszona jest z kościoła do kościoła, wypierana przez wojujące prawosławie. Zdawać się może, że katolicyzm i polskość pod zaborem moskiewskim skazane są na zagładę. Ale oto św. Andrzej ukazuje się o. Korzeniewskiemu, dominikaninowi w Wilnie, i zapowiada wielką wojnę światową, wskrzeszenie Polski, swoją kanonizację i swój patronat główny nad Rzeczpospolitą...

Wieść o tym obiega całą Polskę, dostając się poza jej rubieże. Krzepi ona całe pokolenia i wzmacnia wiarę w pomoc Bożą. Naród powtarza wraz z Krasińskim, że mimo wszystko „sprawiedliwość będzie", że mimo wszystko „Polska zmartwychwstanie".

W dobie wzmożonego ucisku — niewątpliwie z natchnienia Bożego — papież Pius IX w 1853 r. zalicza Andrzeja Bobolę w poczet błogosławionych, nie licząc się z niezadowoleniem rządu carskiego Rosji...

Kult jednak św. Andrzeja jest wciąż przez zaborców prześladowany. Wie bowiem nieprzyjaciel Polski i Kościoła, iż Andrzej Bobola jest prorokiem naszej niepodległości...

Wreszcie spełnia się pierwsza część przepowiedni — Polska, po wojnie światowej, wraca do rodziny narodów — wolna i niepodległa... Bóg cudem stwierdza świętość Andrzeja Boboli i Pius XI, ów „polski papież", który z rąk polskiego arcybiskupa otrzymał w Warszawie stygmat pełnego kapłaństwa — wynosi naszego Patrona na ołtarze w aureoli świętych.

Ośmiotysięczny tłum polskich pielgrzymów z kilkunastu biskupami polskimi na czele — w dzień Zmartwychwstania Pańskiego jest świadkiem w Rzymie niezwykle wspaniałej kanonizacji naszego wielkiego Męczennika. O mury najdostojniejszej świątyni chrześcijaństwa obija się śpiew „Boże coś Polskę" i „Wesoły nam dzień dziś nastał"... Pobożność Polaków zwraca uwagę międzynarodowych rzesz... Prawdę zaś, „że Andrzej jest święty"

Relikwiarz z relikwiami św. Andrzeja Boboli na ołtarzu w czasie nabożeństwa na Placu Zamkowym.



ogłasza „ex cathedra" ten sam papież, który niedawno jeszcze ciężką chorobą na łoże boleści powalony — zdawało się, iż tego aktu nie będzie mógł już dopełnić. Czyż wraz z Ks. Biskupem Szlagowskim nie mamy prawa sądzić, iż powrót do zdrowia Ojca świętego jest też jedną z łask, uproszonych u Boga przez św. Andrzeja?

Nie dość tego. Pius XI, który uważa Polskę za swoją „drugą Ojczyznę" — pragnie, by ciało św. Andrzeja Boboli co rychlej wróciło do Ojczyzny. Przekazuje je stołecznej Warszawie i opiece księży jezuitów. Chce Ojciec św., by Polska w trudnych dzisiejszych czasach miała u siebie relikwie św. swego potężnego obrońcy, i naśladowała go w cnotach chrześcijańskich i w apostolstwie wiary.

I oto zaczyna się tryumfalna, pozgonna droga św. Andrzeja z Wiecznego Miasta do Polski. Szlak idzie przez ziemie narodów katolickich. Składają hołd świętym szczątkom Słoweńcy, Chorwaci, Węgrzy, Słowacy i Czesi. Wzruszającymi zwłaszcza są objawy czci dla naszego Patrona ze strony pobratymców, którzy widzą w nim swojego, słowiańskiego Świętego...

Polska zaś powitała i przyjęła św. Andrzeja Bobolę, z radością niezmierną. Czekała go z tęsknotą i nadzieją. Niezliczone tłumy garnęły się do tej małej srebrnej trumienki: w Zebrzydowicach, Katowicach, Krakowie, Poznaniu, Kaliszu, Łodzi — wreszcie w Warszawie...

Przy tych świętych relikwiach zgromadził się i zespolił w jedną rodzinę cały naród. W stolicy szedł za rydwanem świętego Bohatera wiary — wódz naczelny zwycięskiej, opromienionej sławą armii polskiej, a głowa Rzeczypospolitej własny krzyż niepodległości z mieczami przypiął jako wotum do trumny św. Andrzeja...

Śmiało rzec można, że dotąd żadne uroczystości religijne nie zgromadziły w stolicy Polski takich rzesz. A nie były to wcale tłumy widzów żądnych tylko sensacji. Trzeba było widzieć te szeregi żołnierzy polskich, padających na kolana przed trumienką św. Męczennika, tę dziatwę pobożnie wyciągającą do niego rączki, ten

JE. Ks. Biskup Jasiński przemawia na Placu Zamkowym w czasie nabożeństwa.



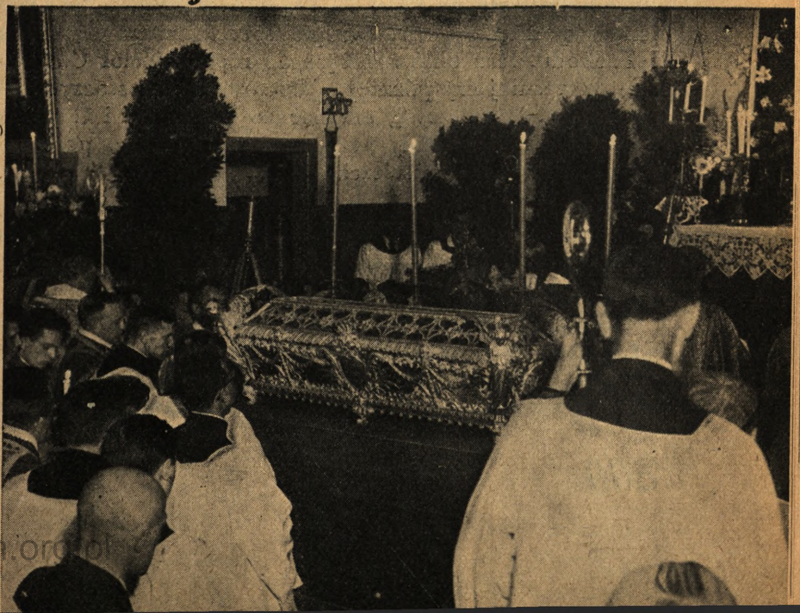


Pan Prezydent Rzeczypospolitej składa swój krzyż Niepodległości na trumnie św. Andrzeja Boboli jako wotum.



Widok z wieży Zamku Królewskiego w Warszawie w czasie uroczystego nabożeństwa.

Relikwie św. Andrzeja Boboli w kaplicy OO. Jezuitów na Rakowcu.



Dr JÓZEF BIRKENMAJER, prof. uniw. w Wisconsin U. S. A.

MOTYWY I ZAGADNIENIA LITEWSKIE W LITERATURZE POLSKIEJ

W całkiem świeżej pamięci mamy wszyscy te wieści, które biegły do nas niedawno z dalekiej Europy i poruszały nam serca na przemian bólem, niepokojem i trwogą, czasem nawet uniesieniem niechęci czy gniewu, to znowu budziły w nas jaśniejsze nadzieje i pragnienia i „jakieś oczekiwania tęskne i radosne". Aż na koniec te wszystkie różnorodne uczucia, jak „rozpierzchłe tony", związały się w akord jeden zgodny, dźwięczny i wspaniały, a tak potężny, iż cały świat zdumiał się niespodziewaną „mocą, czystością, dziwną harmonią pieśni". Był to hymn wielkiego triumfu, piękniejszego i donioślejszego nad wiele triumfów, czy to rozumu czy oręża: triumfu, w którym „prysnęły nieczułe lody i przesądy światło ćmiące", w którym uprzedzenia i urazy ustąpiły miejsca dobrej woli, przebaczeniu i miłości.

Każdy odgadł niechybnie, że mówię tu o dniach naprężonych stosunków między Polską i Litwą, dniach, co zdawały się nieść burzę i rozterkę, a przyniosły ciszę, pogodę i ukojenie. Oto jesteśmy obecnie świadkami, jak z dniem każdym gruntują się i utrwalają zgodne warunki sąsiedzkiego spółżycia między tymi dwoma krajami, które tak niedawno zdawały się być oddzielone od siebie przepaścią nieprzebytą. Z dniem każdym porozumienie staje się wyraźniejsze i głębsze na każdym polu: zarówno na gruncie politycznym i ekonomicznym, jak i na terenie kultury. A to, co się już dokonało w czasie tak krótkim, w ciągu niespełna dwóch miesięcy, pozwala żywić nadzieję, że następne miesiące i lata, że dalsze okresy historii litewskiej i polskiej będą ciągiem dalszym akcji tak poczętej i że bieg ich będzie się odbywać na drodze poszanowania się i zrozumienia wzajemnego dwóch narodów, które przez tyle wieków stały, jako równe z równymi i wolne z wolnymi, na czele rzeszy narodów Europy wschodniej.

Gdy myślę o niedawnych zatargach granicznych między Litwą i Polską, o niesnaskach czy przeciwieństwach, jakie różniły mieszkańców i obywateli dwu tych krain, nieraz przychodzi mi na myśl treść najwspanialszego utworu literatury polskiej, owej nieśmiertelnej epopei noszącej tytuł „Pan Tadeusz czyli Ostatni zajazd na Litwie". Bo też treść ta ma wiele analogii do zdarzeń niedawnych. Były tam też różne zatargi graniczne, były różne zadawnione, choć nieistotne, spory, niechęci i nieporozumienia, grożące nawet i orężną rozprawą. A jednakże wszystkie te spory, Horeszków z Soplicami, Rejenta z Asesorem, Domejki z Dowejką, kończą się pojednaniem i miłością. A gdy nieprzebyta na pozór i „strzeżona żelazem" granica między Litwą i Polską staje się na koniec znowu dostępną, wówczas zbratani

---

las sztandarów, chylących się ze czcią przed Relikwiami, te łzy radości w oczach wielu i wielu...

Rzecz dziwna. Znikły w tej chwili wszelkie w narodzie linie podziału — wszyscy czuli się wobec św. Patrona równymi sobie i wszyscy braćmi.

W ostatnią noc przebywania ciała św. Andrzeja w archikatedrze warszawskiej przez progi tej świątyni przesunęło się około 70 tys. wiernych.

Czyż nie miał słuszności Ks. Nuncjusz Cortesi, gdy powiedział publicznie, iż Polska złożyła dowody, iż jest krajem głęboko chrześcijańskim...

I czyż nie jest prawdą, iż św. Andrzej Bobola rozpoczął obecnie, po powrocie do Ojczyzny, swe wielkie pozagrobowe apostolstwo wśród nas.

Przybył do nas w trudnej dziejowej chwili, gdy cała ludzkość znajduje się w stanie fermentu, gdy całe narody oglądają się na Polskę — szaniec chrześcijański wciśnięty pomiędzy dwie wrogie sobie potęgi Wschodu i Zachodu, lecz obie należące do nieprzyjaciół Chrystusa. Wcześniej czy później będziemy musieli stoczyć walkę nie tylko duchową, ale bardzo być może i fizyczną. I dlatego św. Andrzej przybywa do nas jako poseł tej potęgi, która jest niezniszczalną...

„Ma — On — Polskę osłonić przed bezbożnictwem Wschodu i Zachodu, ma ją uzbroić w złoty miecz ducha, w złotą włócznię miłości, w tę wyostrzoną prawdę, migocącą łaskę Bożą" (Ks. Bp. Szlagowski).

Niezliczone tłumy garnące się do trumny św. Andrzeja Boboli — przekonać musiały „wątpiących", że katolicyzm w Polsce jest siłą, której nikt lekceważyć nie może. Próżno innowiercy i wyznawcy Marksa wyrażają już niepokój w obawie ekspansji katolicyzmu i objawów przemocy z tej strony... Próżne obawy... Katolicyzm w Polsce nie zrezygnuje oczywiście ze swego prawa szerzenia Królestwa Bożego, ale obce mu było i będzie uciekanie się do innej siły, niźli siła ducha i miłości chrześcijańskiej.

W tych dniach zwrócono również uwagę na inne charakterystyczne zjawisko. Oto wiele osób, często na wybitnych stanowiskach, znanych dotąd raczej z obojętności religijnej — manifestuje swoje przywiązanie do Kościoła. Zachodzi wątpliwość, czy czynią to szczerze...

Trudno zaiste zbadać tajniki sumienia ludzkiego. Chcielibyśmy wierzyć, że w duszach tych ludzi nastąpiła pożądana zmiana. Ale pod ich adresem wolno nam powiedzieć, wraz z publicystą „Czasu", że zewnętrzne objawy przynależności do katolicyzmu wystarczyć dziś nie mogą i że na dwutorową politykę, na służenie dwom panom — nie ma już u nas miejsca...

Katolicyzm w Polsce, obudzony i będący już siłą — dąży do przepojenia duchem Chrystusowym całego naszego życia i prywatnego, i zbiorowego. — Jeśli jest to polityką — którą się straszy bezkrytyczne masy — to polityką Ewangelii i „Ojczenaszu", a takiej polityki katolicyzm nigdy wyrzec się nie może.

Nazwano już relikwiarz, chroniący ciało św. Andrzeja — „trumną-symbolem". Jednoczy ona naród polski, i wydobywa z głębin jego duszy skarby wiary. Wierzymy też głęboko, iż będzie też ona drogowskazem w naszej codziennej pracy i w naszych dążeniach do prawdziwej wielkości pod osłoną Krzyża i w słońcu miłości bratniej, która łączy wszystkich pod jednym wspólnym sztandarem — Chrystusa.

z sobą Litwini i Koronijasze wołają w zgodnym okrzyku: „Kochajmy się”.

Wzruszająca jest scena, w której dwaj dawni przeciwnicy, Gerwazy i Protazy, siedząc przy sobie „wiodą rozhowory” i z uśmiechem wspominają przeszłe chwile; między innymi mówią i o tym, że wszak różnymi czasy nie brakło zatargów między Litwą i Polską, a przecie „gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga”, doszło łatwo do obopólnego porozumienia i współpracy.

Niech się nikt nie dziwi, że gdy myślę i mówię o Litwie i jej stosunku do Polski, od razu powstają we mnie wspomnienia dzieł Mickiewicza oraz wielu innych dzieł literackich. Trafnie powiedział Józef Weyssenhoff, że gdy się ktoś znajdzie na Litwie, musi mimo woli na każdym kroku cytować Mickiewicza. Słowa te albo podobne mogłoby za Weyssenhoffem powtórzyć wielu Polaków, a nawet rozszerzać ich treść, przede wszystkim dodając, że przez dzieła Mickiewicza i przez wiele arcydzieł literatury naszej zbliżali się do Litwy nawet ci spośród nas, którzy nigdy nie byli na ziemi litewskiej. Na równi z pomnikami i grobowcami Wawelu, na równi z „Lituanią” Grottgera czy „Grunwaldem” Matejki oglądanymi w naszych muzeach, na równi z muzycznymi utworami Moniuszki i Karłowicza, na równi z nazwiskami wielkich naszych uczonych takich, jak Jundziłł, Warszewicz czy Talko Hryncewicz, pospołu z chwałą wielkich bohaterów historii, jak Kościuszko, Traugutt i Józef Piłsudski, na równi i pospołu z wieloma najwspanialszymi czynami naszych dziejów i kultury, przypomina nam Litwę na każdym kroku nasza literatura. Jej utwory, które umiały niejednokrotnie — że użyję wyrażenia Mickiewiczowskiego — „zabłądzić pod strzechy”, nie tylko zaznajamiały mieszkańców odległych dzielnic Polski z historią Litwy, jej położeniem i losem, z obyczajami jej obywateli, ale też ukazywały „jej piękność” w całej ozdobie”, uczyły „ile ją cenić trzeba”, a nawet: ile ją należy kochać.

Już to samo byłoby dostatecznym powodem do zwrócenia baczniejszej uwagi na te utwory literatury polskiej, w których mowa o Litwie i jej sprawach, lub które wyrosły ze środowiska litewskiego.

Ale są też powody inne, dalej sięgające i głębsze. Oto jest faktem uderzającym, że pośród wspomnianych utworów jest wiele takich, które stoją na miejscu naczelnym w literaturze polskiej i są jej ozdobą i chlubą. Co więcej, wśród tych utworów literatury polskiej, wiążącej się z Litwą, widzimy i takie, które miały decydującą rolę w dziejach narodu polskiego, urabiając jego psychikę oraz wskazując mu drogę działania w chwilach krytycznych. Wspomnę tu dwa wymowne tytuły dzieł tak potężnych, jakimi są: „Dziady” Mickiewicza i „Potop” Sienkiewicza.

I to właśnie sprawia mi radość niezmierną, że ukazując motywy i zagadnienia litewskie, przejawiające się w literaturze polskiej, nie potrzebuję grzebać w jakichś zapadłych zakątkach i zakamarkach naszego piśmiennictwa, skoro mogę przebywać w okręgu dzieł literackich najsławniejszych, nieomal każdemu Polakowi znanych i drogich. Są to te dzieła, które imponują szczególnie swym artyzmem i wielkością, albo te, które w tych czy innych chwilach dziejowych wywierały szczególnie wielki wpływ na społeczeństwo, albo te wreszcie, które zdobyły sobie w społeczeństwie polskim szczególnie wielką poczytność i popularność.

Litwą i jej sprawami interesowała się literatura polska już od chwili wejścia Wielkiego Księstwa Litewskiego w łączność z Polską przez małżeństwo Jagiełły z Jadwigą. Syn rycerza-bohatera bitwy grunwaldzkiej, a sekretarz i powiernik kanclerza Zbigniewa Oleśnickiego, Jan Długosz, dał w swej znakomitej „Historii Polskiej” wiele szczegółów o Litwie, jej położeniu, ludziach i obyczajach, czynach jej władców; w sposób nadzwyczaj barwny i zaciekawiający opisał chrzest Litwy w r. 1386, oraz tryb życia króla Jagiełły, w którym szczera prawowierność chrześcijańska łączyła się czasem dość osobliwie z pozostałościami pogańskich zabobonów.

Długosz był pierwszym utalentowanym pisarzem, który światu szerokiemu opowiedział o tym dalekim kraju, ukrytym — niby jakiś kraj z baśni — za wodami i lasami, kraju chowającym jeszcze świeże wspomnienia swych bogów i śpiewającym dawne swe pieśni ludowe, a przecież już osłaniającym i krzewiącym na wschodnich krańcach Europy cywilizację łacińską i chrześcijańską.

A niebawem druga taka wieść o Litwie poleciała w świat daleki i rozbrzmiała hen daleko, w murach stolicy świata, papieskiego Rzymu. Znakomity opiekun sztuki i literatury, papież Leon X Medyceusz, wyraził wobec ambasadora polskiego, biskupa Erazma Ciołka, życzenie dowiedzenia się bliższych szczegółów o kraju, tak odrębnym od reszty Europy, obfitym w rozległe lasy i niezwykłą zwierzynę. Życzenie to spełnił dworzanin Ciołka, młody poeta Mikołaj z Hussowa, i choć wymawiał się, że ręka jego jest zdatniejsza do łuku i oszczepu myśliwskiego niż do pióra, jednak stworzył wspaniały poemat w języku łacińskim, opiewający piękno lasów litewskich. Poemat ten nosi tytuł „Pieśń o polowaniu na żubra”. Według trafnego przypuszczenia jego tłumacza, Jana Kasprowicza, utwór ten był znany Mickiewiczowi, a nawet mógł największemu z poetów polskich dać podnietę do napisania ksiąg „Pana Tadeusza” opiewających lasy litewskie i łowy.

Na pewno zaś wiemy, że Mickiewicz rozczytywał się z zapałem w dziele innego pisarza polskiego z epoki jagiellońskiej, Macieja Stryjkowskiego, którego kronika, napisana barwną polszczyzną, opowiadała dzieje Litwy od najdawniejszych, zamierzchłych jej czasów, zwłaszcza zaś mówiła o dawnych obyczajach litewskich i pierwotnej religii pogańskiej.

Te zaciekawienia, te motywy literackie, jakie zjawiły się we wspomnianych utworach z epoki panowania Jagiellonów w Polsce, będą się ponawiały i w utworach późniejszych. Poeci polscy nieraz wyrażali swój zachwyt dla piękna lasów litewskich, gdzie znajdowali niejedno szczęśliwe natchnienie. Tak w wieku XVII, gdy król Władysław IV wybrał się na łowy w lasy birsztańskie, towarzyszący mu poeta o światowej sławie Kazimierz Sarbiewski stworzył jedno z najpiękniejszych swych dzieł poetyckich, „Igraszki leśne”, gdzie w melodyjnych strofach wyśpiewał urok rosy porannej, księżycowej nocy, sennej ciszy borów w czas południowy. Godny to był następca Mikołaja z Hussowa i godny poprzednik dwóch artystów wielkich: Mickiewicza i Weyssenhoffa.

Podnietę i twórczy materiał literatom dawały i dzieje Litwy, zwłaszcza dzieje Litwy pogańskiej, walczącej przeciwko Krzyżakom i wiodącej zwycięskie boje z Rusią, w końcu jednak chylącej się kornie przed znakiem krzyża. Marzeniem wielu poetów było osnuć na tle tych dziejów wielką epopeję, mogącą iść w zawody z epiką Homera czy innych poetów starożytnych. Niezbyt udatną próbą takiego poematu na modłę „klasyczną” była „Jagiellonida” Dyzmy Tomaszewskiego, napisana z początkiem XIX wieku, opowiadająca o czynach Jagiełły. Doczekała się ona ostrej oceny ze strony młod-

dego naówczas studenta uniwersytetu w Wilnie, Adama Mickiewicza. Nie poprzestał on na owej krytyce, ale niebawem sam stworzył dzieło o treści pokrewnej, którym o całe niebo przewyższył i zaćmił „Jagiellonidę".

Dziełem tym była „Grażyna", powieść poetycka o losach pięknej i bohaterskiej księżny litewskiej, która życie swe poświęciła na placu boju, byle ratować kraj swój od zguby, a męża swego Litawora od zdradzieckiego sojuszu z Krzyżakami. Jakkolwiek samo to zdarzenie jest przez poetę całkowicie wysnute z fantazji, jednakże zarówno tło epoki jak i podstawowe fakty poematu świadczą o gruntowności studiów historycznych, prowadzonych przez poetę na uniwersytecie wileńskim pod kierunkiem najznakomitszego dziejopisarza polskiego, Lelewela.

Dzieje walk narodu litewskiego z Krzyżakami stanowią również wątek zasadniczy następnej powieści poetyckiej Mickiewicza, zatytułowanej „Konrad Wallenrod". Wiąże się ona z „Grażyną" ponadto i swoją ideą — ideą poświęcenia się dla ojczyzny. Bohaterem utworu jest Litwin wzięty w niewolę przez Niemców i wychowany na dworze mistrza krzyżackiego. Jeniec utrzymał w sobie litewskie poczucie narodowe dzięki przyjaźni ze starym litewskim pieśniarzem czyli wajdelotą, Halbanem, który rozżarzył w nim nienawiść ku zaborczemu zakonowi krzyżackiemu i pragnienie zemsty. Zemsta zostaje wykonana: wychowaniec Halbana wszedłszy w porozumienie z księciem litewskim Kiejstutem i jego synem Witoldem, osiąga pod nazwiskiem Konrada Wallenroda godność Wielkiego Mistrza i choć sam gaśnie, jednak sprowadza na zakon krzyżacki klęski, z których ten przez sto lat się nie wygoi.

Postacie dawnych książąt litewskich nieraz jawiły się wyobraźni poety, gdy dumał w cieniu puszcz ponarskich czy nad brzegami jeziora Świtezi. Wspominał Gedymina, który marząc o wilku żelaznym założył miasto Wilno, co siedzi jak wilk w lasach. Wspominał Mendoga, co walczył z carami Rusi. A najpiękniejsza z ballad Mickiewicza w dziarskim rytmie i z przepysznym humorem opowiada o tym, jak to trzej młodzi Budrysowie wyprawieni zostali przez ojca Litwina na wojnę w trzy strony świata — i wszyscy trzej pojechali w jedną tylko stronę, do Polski, by stamtąd przywieźć sobie żony...

Nie wszystkich wątków historycznych związanych z Litwą musiał Mickiewicz poszukiwać w zapylonych księgach czy dokumentach. Sam przecie był naocznym świadkiem jednego z największych zdarzeń historycznych: wyprawy Napoleona na Moskwę. Wspomnienie tego pochodu, oglądanego przezeń w dzieciństwie, pozostało mu na całe życie jako „piękna mara senna", i związała się niepodzielnie z najpiękniejszymi wspomnieniami o Litwie, jakie wszędzie niósł za sobą po świecie wielki poeta-tułacz. Tak więc najbardziej zdumiewający fakt historyczny XIX w., wojny napoleońskie, wydały w poezji polskiej najwspanialszą epopeję, której miano „Pan Tadeusz".

Nie same tylko historyczne zdarzenia były osnową tego wspaniałego dzieła. Prócz czynów owego „boga wojny", co bił gromami w Marengo, Ulm, Austerlitz, wspomnieniem w sercu poety odzywała się cicha wieś litewska, jej gospodarstwo, jej praca, jej ludzie i przyroda, jej pola i lasy.

A wspomnienia te były tak żywe, że stawały wprost w widzialnej postaci przed myślą poety. On naprawdę je widział i opisywał — a prawdziwość i wyrazistość opisów jest tu wprost niedościgniona. Poeta nie pominął niemal żadnego szczegółu krajobrazu — czy to na ziemi, czy na wodzie, czy na niebie. Widzimy wszystkie przemiany nieba od wschodu słońca do zachodu, widzimy jasną pogodę i mgły, i burzę. Obserwujemy grę promieni księżycowych na stawach i wsłuchujemy się w muzykę wieczoru. Od uprawnych pól „wyzłacanych pszenicą, wysrebrzanych żytem", od ogrodów i zapłoci wędrujemy do lasów — najpierw do tego najbliższego gaju brzozowego, gdzie chodzi się na grzyby, potem do gęstszego już boru, gdzie myśliwi chodzą na polowanie, i gdzie sam poeta upolował — owszem — niejedno poetyckie natchnienie; wreszcie wkraczamy nawet do dziewiczego „matecznika", gdzie zwierzęta żyją we własnym świecie — niby w Kiplingowskiej dżungli — rządząc się swoimi prawami i nie podlegając władzy człowieka.

Poeta sam niejednokrotnie przyznał się, że siłą, która nadawała wyrazisty kształt nakreślonym przez niego opisem Litwy, była tęsknota. Ona też sprawiała, że szum lasów litewskich wydawał mu się dźwięczniejszy od pieśni południa, a drzewa i niebo litewskie piękniejszym od krajobrazu Italii. I tęsknota ta dręczyła go wszędzie i ona to wywołała w nim ten okrzyk:

„Litwo, ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie"...

Jak zrośnięty był z przyrodą litewską tak też na całe życie związany był z jej ludźmi. I to nie tylko z kolegami swymi z ławy uniwersyteckiej, którzy mu byli druhami i powiernikami myśli, a następnie towarzyszami więzienia i niedoli. Prócz nich Mickiewicz zachował w pamięci całe rzesze różnych ciekawych osobistości, które brał za wzór postaci uczestniczących w akcji „Pana Tadeusza". Prócz szlachty, z której pochodził znał dobrze i lud litewski. Zapisywał w brzmieniu oryginalnym ludowe pieśni litewskie (Eik tatuszele), z innych zaś pieśni brał pomysły do swych ballad. Znał ludowe podania, wierzenia i obrzędy, a jeden z tych obrzędów, związany z pamięcią o duszach ludzi zmarłych, dał mu podnietę do stworzenia utworu dramatycznego pt. „Dziady", stanowiącego obok „Pana Tadeusza" najwspanialsze dzieło Mickiewicza.

Mickiewicz oddziałał na literaturę polską jak nikt przed nim, ani po nim; znaczenie jego po dziś dzień nie umniejszyło się ani trochę, choć mieliśmy przecie po nim tylu wielkich pisarzy, często o światowym rozgłosie.

Prócz myśli czy idei, prócz form przezeń stworzonych, dziedzictwem następców stały się i tematy czy motywy. Tym się tłumaczy, że w okresie tzw. romantyczności, której twórcą i wodzem u nas był Mickiewicz, miały w literaturze polskiej olbrzymią wziętość tematy i motywy litewskie. Obserwować to możemy nie tylko w tzw. litewskiej szkole romantycznej, do której należeli bliżsi ziomkowie poety, jak Odyniec lub autor wybornych „Obrazów litewskich" i „Pamiętników kwestarza" Ignacy Chodźko. Ale i literaci z innych okolic nieraz czynią Litwę widownią swych utworów. Wkracza na nią Henryk Rzewuski w swych „Pamiętnikach Soplicy" i najpłodniejszy pisarz polski, Józef Ig. Kraszewski, który poza szeregiem powieści, mających bliższy czy dalszy związek z Litwą, stworzył wielki poemat bohaterski pt. „Anafielas", oparty na litewskich podaniach i mitologii, a opowiadający o czynach Mindowsa i Witolda. Motywów litewskich wiele wprowadził do swych utworów także drugi po Mickiewiczu poeta polski Juliusz Słowacki, nieraz biorąc podnietę z dzieł swego współzawodnika. Zasługuje na uwagę jego dramat młodzieńczy pt. „Mindowe", ukazujący wielkiego księcia Litwy w jego wahaniach się między wiarą pogańską i chrze-

ścijańską. W jednym z późniejszych utworów Słowacki wyraził swój podziw dla głębokiej chrześcijańskiej religijności litewskiego chłopa, który modlitwą swoją przeorywa niebo, jak oracz glebę.

Jeden z tych poetów włóczęgów, którzy nigdzie długo miejsca nie zagrzali, dał kilkakrotnie szczególnie żywy wyraz tej sympatii, jaką w epoce romantycznej literaci polscy darzyli kolebkę romantyzmu polskiego — Litwę. Był nim autor „Pieśni Janusza" i „Pieśni o ziemi naszej", Wincenty Pol. W serdecznych i żywych, naprzemian tkliwych i wesołych rytmach, opowiada ten gawędziarz o braciach Litwinach, opisując ich krajobraz i siedziby, ich obyczaje, stroje, i cechy charakterystyczne:

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera,:
Co ci, co ci to Litwinie?
Ale Litwin nie wygada!
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty.
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk topnie:
Ale gdy go kto zahaczy:
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie!
Choć kraj jego niebogaty,
radzi sobie, bo oszczędny;
nie marnuje grosz na szaty,
bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie.
Ale myśli o zapasie —
I dobytek w dom prowadzi,
I „o jutrze" wiecznie radzi.

Jeżeli autor „Pieśni o ziemi naszej" przelotnie tylko bywał na Litwie gościem, to całą duszą związany był z tym krajem pokrewny Polowi poeta, Władysław Syrokomla. Próbował i on za przykładem Mickiewicza poematów bohaterskich o dziejach Litwy. Ale ważniejsze będą jego drobne utwory, w których wyraził swoją miłość dla ludu i gleby, z której wyszedł, i w których niejednokrotnie jakby oddźwięczał nutą litewskiej pieśni ludowej.

Gdy wymarło już pokolenie, które było świadkiem bezpośrednim natchnień Mickiewicza, po chwilowym zastoju literatura polska zapłonęła znów wielką świetnością w ostatnich trzech dziesiątkach wieku XIX. Niezwykłym blaskiem po świecie całym zajaśniała przede wszystkim twórczość Henryka Sienkiewicza.

Pisarz ten, którego przodkowie wywodzili się z ziemi augustowskiej, dał świadectwo tradycji swego rodu, gdy pod swymi słynnymi felietonami oraz pod „Szkicami amerykańskimi" umieszczał pseudonim Litwos. I choć sam już nie z Litwy był rodem, jednakże przechował w swej duszy gorącą sympatię i miłość dla tego kraju. W naczelnych rozdziałach „Potopu" dał przepiękny i w pamięć każdego czytelnika głęboko zapadający obraz zimy na Żmudzi i w ogóle Litwę uczynił widownią ważnych wypadków. A iluż ludzi tego kraju nam ukazał! Komuż nie znany pan Longinus Podbipięta, najpiękniejsza — i obok Zagłoby i Bohuna, najbardziej przez czytelników ukochana postać z „Ogniem i Mieczem?" Albo Kmicic-Babinicz i jego harda Oleńka! Albo dzielni Butrymy i Lauda...

Ku Litwie ciągnęły autora „Trylogii" nie tylko tradycje rodzinne, ale i kult Mickiewicza. Pamiętamy z jaką żarliwością rozczytuje się w księgach Mickiewicza stary latarnik na wieży Aspinwall i powtarza słowa: — „Litwo, ojczyzno moja...".

Nic dziwnego, że poszedł Sienkiewicz poniekąd śladem „Grażyny" i „Wallenroda", gdy pisał „Krzyżaków", wielką powieść o wspólnych walkach Litwinów i Polaków przeciwko zakonowi niemieckiemu. Wprawdzie społeczeństwo litewskie ukazane tu zostało tylko na drugim planie, niemniej jednak udział w bitwie grunwaldzkiej przedstawiony jest wyraźnie.

Obok Sienkiewicza dwóch wybitnych mistrzów powieści w tej epoce wzięło piękno krajobrazu litewskiego za częsty motyw swych utworów. I można powiedzieć, że jakby podzielili się natchnieniami, zaczerpniętymi z Mickiewiczowskiego arcypoematu. Józef Weyssenhoff w „Sobolu i pannie", powieści o tytule wziętym z popularnej piosenki myśliwskiej — jeszcze raz z mistrzowską plastyką i werwą ukazał czar lasów litewskich oraz żywe tempo łowów; zaś Eliza Orzeszkowa w „Nad Niemnem" rzewnym uczuciem ogarnęła tak drogie Mickiewiczowi „pagórki leśne i łąki zielone" i rozsypane wśród pól i łanów drobne zaścianki schłopiałej szlachty zagonowej.

Wspomniałem tu dwie powieści, należące nie tylko do najcelniejszych w literaturze polskiej, ale i do tych, które zyskały sobie największą z obok Sienkiewiczowskiej „Trylogii" popularność w całym narodzie polskim. Wspomnę jeszcze jedną powieść mało ustępującą artyzmem tamtym dwojgu, a co najmniej dorównywującą im w popularności. Mówię o „Dewajtisie" Marii Rodziewiczówny.

Sam tytuł tej powieści już nabrał dla Polaków znaczenia symbolicznego i wszedł raz na zawsze do skarbnicy polskiej. Wyraz ten litewski oznacza stary dąb odwieczny znamionujący siłę niepożytą oraz kult dla tradycji. Tacy też są ludzie, którzy w cieniach Dewajtisa wiodą swe ciche życie. Są twardzi i nieustępliwi, a jednakże dobrzy i miłujący. Przepysznie, z całą gorącością serca i przywiązania odmalowała autorka tych żmajtysów, i roznieciła dla nich w sercach polskich takąż miłość, takie uznanie, jakim ich niegdyś darzył Wincenty Pol. I znów nie obco brzmiały dla uszu polskich: tegul bus pagarbientas Jezus Kristus — at amziu amziu i to, którymi je zamknęła: Likites svejki (bądźcie zdrowi!).

Te same strony, które w „Dewajtisie" odmalowała Rodziewiczówna, były przedmiotem szczególnego umiłowania ze strony największej polskiej poetki lirycznej dzisiejszych czasów, Kazimiery Iłłakowiczówny. Nic dziwnego, przecież to były strony rodzinne tej poetki, która sama siebie nazywa Litwinką. Przez część znaczną swego życia od tych stron oddzielona, patrzyła na nie z oddali przez pryzmat tęsknoty; podobna jest w tym do Mickiewicza, do którego się zbliża ponadto używaniem form ballady, bardzo często przypominającej ton litewskiej pieśni ludowej.

Ze wzruszającą rzewnością prosi poetka słowika znad Niemna, żeby śpiewał jej o wszystkim, co tam zostało po tamtej stronie. Pod wtór śpiewu słowika wspomina grób swej matki w Dubinkach, zdziczałe róże, łąkę niebieską z kładką, oraz ten len „co się pokruszył, na nitki się podzielił... i jak zeń było płótno do trumien czy na wesele".

O tym lnie litewskim wyśpiewała Iłłakowiczówna cały szereg pieśni, ujmujących siłą uczucia i wdziękiem. A poświęciła słów wiele serdecznych, kochających nie tylko litewskiej przyrodzie, ale i ludziom. W balladach bohaterskich potrąciła i o dawne dzieje litewskie i wydobyła z nich tony nowe, niespodziane. Ileż uroku ma w jednej z tych ballad młodociany królewicz bohater, Władysław Warneńczyk, gdy z chłopięcą ciekawością pyta swego ojca Jagiełły, jak to tam było na tej tajemni-

POLSKA W LITERATURZE BUŁGARSKIEJ

KSIĄŻKI POLSKIE PRZEŁOŻONE NA JĘZYK BUŁGARSKI:

Zygmunt Krasiński, „Nieboska komedia", w przekładzie Anast. Ganczewej, z wstępem hist.-lit. prof. J. Klejnera.

Adolf Dygasiński, „Gody życia", w przekładzie Dory Gabe-Penewej i z charakterystyką pisaną przez Jana Stena.

Adam Mickiewicz, „Pan Tadeusz", w przekładzie Christo Kesjakowa i wstępem hist.-lit. prof. Ignacego Chrzanowskiego.

Aleksander Fredro, „Śluby panieńskie", w przekładzie Tadeusza Grozewa, z charakterystyką autora przez prof. Władysława Gubrynowicza.

Andrzej Strug, „Mogiła Nieznanego Żołnierza", w przekładzie A. Ganczewej, z charakterystyką autora przez Wiliama Horżyce.

Wacław Sieroszewski, „Beniowski", w przekładzie Tadeusza Grozewa, z charakterystyką autora przez J. Kaden-Bandrowskiego.

Henryk Sienkiewicz, „W pustyni i w puszczy", w przekładzie G. Dermanczewa, z wstępem hist.-lit. Ek. Zlotoustowej.

Lucjan Rydel, „Dzieje Polski dla wszystkich", z kilkuset ilustracjami i reprodukcjami obrazów najrozmaitszych malarzy polskich.

Juliusz Słowacki, „Anhelli", tłum. przez Dorę Gabe-Penew.

Jan Kasprowicz, „Hymny", tłum. przez Dorę Gabe-Penew.

Reymont, „Chłopi", tłumaczenie Kakarelskiego.

Książki o Polsce w literaturze bułgarskiej:

T. St. Grabowski i A. Ganczewa, „Karty z dziejów architektury polskiej". Charakterystyki i objaśnienia do dziejów polskiej architektury i malarstwa archit., z kilkuset ilustracjami zabytków archit. miast polskich.

A. Toszew, prezes Polsko-Bułgarskiego Towarzystwa w Sofii, napisał i wydał książkę pod tytułem „Polska w kulturalnych stosunkach".

Otton Barbar, radca ekonomiczny w ministerstwie skarbu w Sofii, „Polska a Litwa".

Batowski, „Rzeczpospolita Polska".

Biblioteka polska w Sofii przyczyniła się do wydania wyżej wymienionych dzieł, jak również wydała wartościową książkę „Bułgaria, Polska i Słowiańszczyzna", gdzie są drukowane odczyty p. dra St. Grabowskiego, prof. Ikowa, prof. Milewa i prof. Bojan Penewa. Należy jeszcze wspomnieć o również wartościowej książce pt. „Historia polskiego malarstwa".

---

czej dawnej pogańskiej Litwie. Nowe tony dobyła poetka również z tak po całej Polsce znanego i tylekroć przez poetów zużytkowanego tematu miłości króla Zygmunta Augusta do Barbary Radziwiłłówny. Ale podobnie jak Mickiewicz tak i ona w spojrzeniu na historyczną przeszłość Litwy nie ograniczyła się do tego, co mogła znaleźć w kronikach historycznych lub w wieści gminnej. Potrąciła też o wypadki historyczne bliższe, te, które były współczesne dniom jej życia. Dlatego też obok pieśni o marszałku Piłsudskim i generale Z. Żeligowskim znajdzie się pełno żywego uczucia pieśni ludowej o Waldemarasie, znajdą się też gorące wyrazy czci i współczucia dla dwóch bohaterskich lotników litewskich, Dariusa i Girenasa, którzy po przelocie Północnego Antlantyku zginęli tragiczną śmiercią w katastrofie lotniczej na progu swej ojczyzny.

Dochodząc do tego wiecznie ruchomego punktu, który się nazywa bieżącą chwilą, poetka dotykała też spraw aktualnych dotyczących Litwy, zwłaszcza jej stosunku do Polski.

Nie była ona na tym polu pierwsza: Temat ten był częsty w literaturze polskiej jeszcze za czasów Jagiellonów, gdy toczyła się sprawa unii dwóch krajów. Najznakomitszy, obok Skargi prozaik polski w XVI w. — a jakże odeń różny i poglądami i sposobem pisania, Stanisław Orzechowski, nieraz o sprawę tę potrącał. Prócz zdań podyktowanych zbyt pośpiesznym sądem były tam przecie zarówno tony gorącej, braterskiej sympatii dla narodu litewskiego, jako też hasła te, które literatura polska najgłębiej zaszczepiła w Litwinach: hasła wolności, równości i braterstwa, które później w tonie tak entuzjastycznym odezwały się w Mickiewiczowskich „Księgach Pielgrzymstwa".

Rozdźwięki, jakie w ostatnich pokoleniach rozpoczęły się między narodem litewskim i polskim, bolały głęboko Weyssenhoffa i Sienkiewicza. Pierwszy z nich w „Unii" wstąpił do drogę perswazji i dyskusji; drugi w „Dzwonniku" dał wyraz rosnącym w duszy jego niepokojom. Ale cała pełnia bólu z powodu przeciągającego się i rosnącego rozłamu zabrzmiała dopiero w utworach Iłłakowiczówny. Wymownymi słowy poetka nawoływała do zgody obie strony zwaśnione, błagała i modliła się o to, by prysnął przedział granic i uprzedzeń dzielących te dwa sąsiadujące z sobą narody.

Poezja Iłłakowiczówny, z każdym nowym tonem idąca ku coraz wspanialszym wyżynom, ma jeszcze niewątpliwie wielką przyszłość przed sobą, a już i dzisiaj jej miejsce jest bliskie temu, jak to osiągnęli wielcy twórcy: Mickiewicz i Sienkiewicz. Nowe zaś zdarzenia, jakie rozgrywają się w chwili obecnej w Polsce i na Litwie, niewątpliwie dadzą jej niejedną silną podnietę twórczą.

Na tym kończę ten ogólny, jakże od dokładności daleki przegląd motywów i zagadnień litewskich w literaturze polskiej. Nazwiska wielkich twórców, jakie wymieniałem, same za siebie świadczą wymownie. Wielka jest wartość — i myślowa, i artystyczna tego dorobku, jaki literatura polska zdobyła przez istniejące w niej w takiej obfitości pierwiastki litewskie. Gdyby te pierwiastki u niej usunąć, stałaby się uboższą o całe niebo.

Zwłaszcza, iż kilkakrotnie impuls dany od strony owych czynników był dla literatury polskiej decydujący i przełomowy.

Pierwsze wzniesienie się literatury polskiej na wielkie wyżyny dokonało się dzięki królom z litewskiej dynastii Jagiellońskiej. Prawdziwą zaś wielkość dał literaturze polskiej poczęty z tradycji litewskiej przykład Mickiewicza.

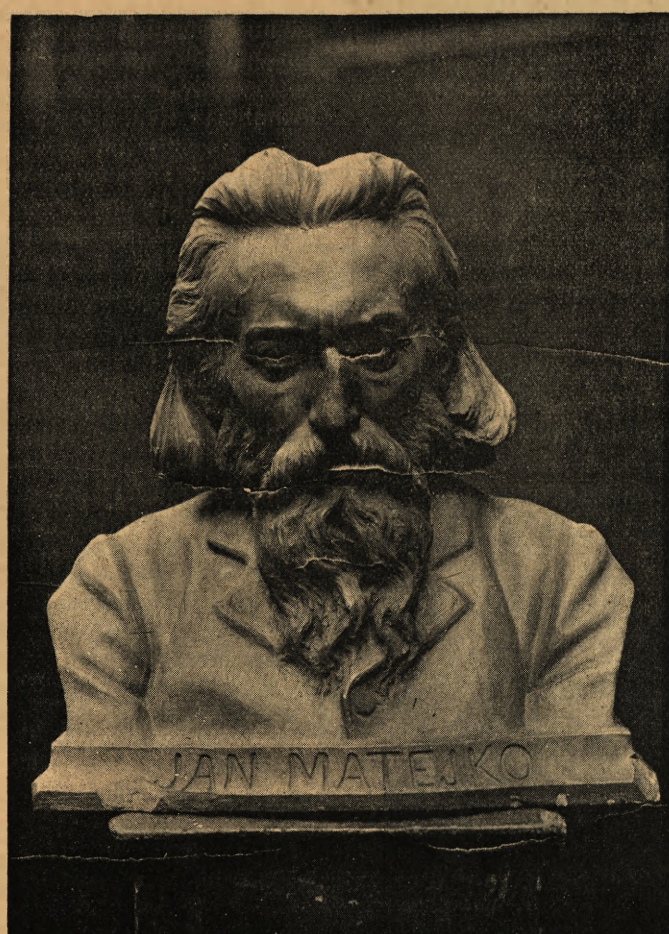
Śmiem przypuszczać, że jeżeli nie te same, to podobne zasługi, jakie mają czynniki litewskie w literaturze polskiej, może mieć literatura polska wobec litewskiej. Żałuję, że mam za małą wiedzę w tej mierze. Byłem wprawdzie za lat młodych uczniem A. Herbaczewskiego, czynnego równie na niwie literatury polskiej i litewskiej — ale nie było mi danym zgłębić do dna owych zagadnień, zaznajomić się dokładnie z literaturą litewską. Zatem bardzo się będę cieszył, jeżeli na ten temat zabierze głos ktoś bardziej ode mnie powołany.

Dr M. NAŁĘCZ-DOBROWOLSKI

JAN MATEJKO
1838 — 1893

Obecna wystawa Jana Matejki w Zachęcie jest drugim z rzędu w tym roku pokazem w stolicy dzieł mistrza. O ile pierwsza w Muzeum Narodowym zgromadziła 511 szkiców i rysunków, o tyle obecna jest zbiorem 82 prac przeważnie skończonych arcydzieł, wśród których widnieją wielkie, sławne kompozycje. Po raz pierwszy Warszawa mogła oglądać gigantyczny Grunwald razem ze Skargą, Rejtanem, Batorym i innymi arcydziełami mistrza.

Wrażenie niezatarte!... Wieleż razy widziałem je i za każdym razem wracam do nich z niewymowną rozkoszą wewnętrzną i patrzę na nie czując równocześnie ukojenie i porywł serca. Magiczna siła, jaka tkwi w dziełach Matejki, przelana mocą nadziemskiego geniuszu mistrza, wypromieniowuje z nich w zetknięciu z każdym sercem, wczuwającym się w jego twórczość. Jest ona tak wielką i tak wymowną kształtem, barwą, treścią, wyrazem, że starczy na pokarm duchowy dla kroci tysięcy po wsze czasy, zachwyca bowiem oko najczulszego znawcy malarza, pobudza do rozmyślań historyka — oczarowuje wielkich i maluczkich, „uczonych w piśmie" i szare masy. Owe masy mając szczęście oglądania dzieł Matejki po raz pierwszy — uważały to za rodzaj objawienia; w dniu bowiem 14 lipca, jako w rocznicę bitwy grunwaldzkiej, Zachęta otworzyła na oścież bramy instytucji dla wszystkich bez żadnej opłaty wejściowej. Tego dnia zwiedziło wystawę około 3.000 osób, przeważnie ludzi pracy, śpieszących na uroczysty obrzęd zbratania sztuki polskiej z narodem. Długie godziny wówczas przebywając w salach wystawy, słuchałem uwag, byłem żywym świadkiem antuzjazmu żywiołowego, tego bezpośredniego oddziaływania *Wielkiej Sztuki* na tłum i wyniosłem błogą świadomość, że ten czyn Zachęty, ten jeden dzień przyczynił się więcej do pogłębienia uczuć patriotycznych w masach jak setki przeczytanych książek. Tak jak Sienkiewicz, którego zapłodnił duch Matejki, zabłąkał rychło między strzechy, tak reprodukcje obrazów mistrza, lub ilustracje tychże obrazów wycięte z różnych tygodników w dniach niewoli wieszane były, a i dziś są umieszczane w chatach, suterenach, poddaszach obok świętych obrazów z niemniejszym szacunkiem, jak oryginały zdobiące ściany bogatych pałaców, bo Matejko to Polska, to dusza Narodu, to najgłębszy akord miłości kraju!...



A. Madejski. *Popiersie Jana Matejki.*

Jeżeli wyraziłem się, że w Matejce znaleźć może najwyższe zadowolenie zmysłu piękna — artysta-plastyk, to mógłbym to udowodnić — wskazując niemal wszystkie dzieła Matejki.

Każda jego, zwłaszcza wielka kompozycja nosi znamiona odrębne, posiada odrębny, ogólny ton kolorytu, posiada swój indywidualizm wewnętrzny, przy zachowaniu pewnych wspólnych właściwości techniki malarskiej i rysunku.

Na obecnej wystawie w Zachęcie z wielkich płócien jest: *„Grunwald"*, *„Skarga"*, *„Konstytucja 3-go Maja"*, *„Batory"*, *„Rejtan"*, *„Maksymilian pod Byczyną"* i mniejszy rozmiarem, lecz o monumetalnym zakroju: *„Dzwon Zygmunta"*.

Rzućmy wzrokiem kolejno na każdy z nich, a niebawem przekonamy się o słuszności wypowiedzianego zdania. „Grunwald" oszałamia migającą się barwą stali, jedwabi tratowanych kopytami koni i nogami wbijających się w tłum opancerzonych Krzyżaków — wojowników polskich i litewskich, niepokoi rozkołysanymi pawimi piuropuszami, masą ciał zwartych, godzących w siebie, gdzie koloryt całości rozpryskuje się, jak gdyby na drobne, a jednak widzialne, wirujące w przestrzeni — atomy. — „Skarga" cały jest utrzymany niby w żałobnym tonie, barwy są do pewnego stopnia przytłumione, dostosowane do czarnego stroju zamyślonego króla i powagi chwili. Jedynie jaskrawe plamy — po jednej stronie purpura kardynalska legata papieskiego Gaetana, po drugiej stronie fiolety skupionego, opartego o klęcznik biskupa Karnkowskiego. W „Konstytucji 3-go Maja" zestawienie barw lekkich, jednak zdecydowanych — tworzy harmonię, którą wyrażając przenośnie można by określić jako — płomienistą. „Batory pod Pskowem" czyni wrażenie olbrzymiej miniatury z kości słoniowej, złotolit odrzuconego płaszcza króla i barwny deseń złotogłowia klęczącego pokornie władyki Cypriana tworzy niezrównaną gamę zamkniętą czernią sutanny Possewina i czerwienią stroju kanclerza Zamoyskiego. W „Rejtanie" biało-czerwona-niebieska trójca Targowiczan ogranicza zwartą grupę przerażonego Sejmu, coraz więcej w głąb szarzejącego aż do postaci króla, ażeby w mroku już będącej loży ukryć niejako brutalną twarz Sztackel-



J. Matejko. *Łokietek i Krzyżacy.*

berga, obramowaną jaśniejszymi sylwetkami wytwornych Polek... Przed Targowiczanami luka i plama poprzeczna — postać tragicznego Rejtana, a potem znów ciemna przestrzeń półotwartych odrzwi, za którymi czeka już tylko gwałt i przemoc. — „Maksymilian pod Byczyną" malowany jest twardo nieustępliwie w ogólnym tonie rdzy, jak gdyby rdzy na klindze miecza Polski. Wreszcie „Dzwon Zygmunta" mieniący się radością purpury i złoto-białych kolorów. Można by w ten sposób i uroczysty „Hołd Pruski" i podniosłą „Joannę D'Arc", i radosnego „Kościuszkę pod Racławicami", jeden obraz po drugim, zanalizować — wykazując wszędzie nieskończoną różnolitość tonów, w skutkach — wywołanie odpowiedniego nastroju, zgodnego z tematem. Mistrz narzuca, każe barwom wyczarować ów nastrój. Poza wymienionymi olejnymi płótnami, tęczową grą barw wydobywa Matejko niesłychane efekty w polichromii Mariackiego kościoła (kilka kartonów jest na wystawie), tworząc w nowych kształtach wizję średnich wieków, jako dopełnienie natchnionych rzeźb Stwosza i drogocennych szkieł witraży. „To złoto", przytaczając słowa Witkiewicza, „purpura, turkusowy błękit, te pręgi czarne i pomarańczowe, te ponsowe falowania, te zwoje stylizowanych roślin, gwiazdy i krzyże, wszystko to zdaje się być uzmysłowieniem tego porywu duszy, zmaterializowaniem tego snu bajecznego, który ogarnia człowieka od chwili przestąpienia progu świątyni".



Jan Matejko. *Fragment bitwy pod Grunwaldem.*

„Dawno przestał on być tylko ceglaną budową, dawno stał się czymś żywym, istniejącym własnym bytem, a zarazem legendą, ale legendą, której się nie czyta z kart książki, lecz którą się widzi ze zdumieniem w dzień biały, wśród powszedniego życia, stojącą w blaskach barw i świateł, żarzącą się uczuciem i promieniejącą myślą. Ten kościół, to jakby westchnienie wieków, westchnienie piersi, stopionej z milionów istnień. Żyje i on tą swoją zaczarowaną muzyką hejnałów, zdaje się skupiać w jednej chwili wszystkie przeszłe i przyszłe czasy w jednym uczuciu, w jednej myśli, w jednym okrzyku".

„Ta cudowna litania, którą Matejko wyśpiewał na ścianach prezbiterium zdaje się tam konieczna, zdaje się od wieków otaczać tryptyk Stwosza, być organiczną jego częścią".

O ile wielkie płótna Matejki malowane z rozmachem przed żadną przeszkodą nie cofającego się artysty, równocześnie trzymane w ściśle matematycznych konturach niezawodnego rysunku — posiadają szerokie płaszczyzny modelowane kolorem nie zalewającym szczegółów przesubtelnych deseni, o tyle mniejsze kompozycje traktowane raczej szkicowo są malowane z niesłychaną brawurą pędzla, wprost rzucającego plamy niemal o puentylistycznym charakterze. W portretach poszczególne drobne partie, zwłaszcza ubioru, wydobywa mistrz nieraz położeniem na płótno lub deskę na wpół suchej farby — co wywołuje wrażenie najistotniejszej prawdy — a jest to przecież tylko dodatkiem akcentującym główne partie ciała.

To barwa!... To rysunek!... To technika artystyczna!... Dopiero teraz zaczyna się wyraz wewnętrzny, jaki bije z każdej twarzy, z każdej pary oczu, z każdego pulsującego życiem muskułu i ścięgna, z każdej żyłki wykończonej ręki lub stopy.

Jeżeli kiedyś poeta Kazimierz Tetmajer patrząc w Rzymie na „Sąd Ostateczny" Michała Anioła na kłąb ciał — użył oryginalnego wyrażenia, „że ściana ta ryczy jak bawół zraniony", to o ileż więcej słuszniej zastosować by można owe słowa na przykład do „Grunwaldu" Matejki!... Przeważnie jednak najwyższe napięcie wyrazu duchowego mistrz osiąga nie przez gwałtowny ruch, ale przez milczące skupienie, przez spokój siedzących postaci, przez przymknięcie głęboko osadzonych oczu Zygmunta słuchającego Skargę, Batorego słuchającego kornych skamlań carskich bojarów, podczas gdy palec dotyka ostrza stali, Stańczyka zadumanego w fotelu, swojej twarzy oddanej w własnym portrecie.

Gdyby można było przedstawić sobie dokładnie kolejno wypadki towarzyszące malowaniu owych olbrzymich kompozycji, tym mrówczym studiom archeologiczno-

naukowym, utrwalonym w setkach szkicowników, dających podstawę do plastycznego wyobrażenia jak wyglądała w rzeczywistości dawna Polska, gdyby było można śledzić tajnię myśli tego Tytana sztuki, jakiego równego nie ma na przestrzeni dziejów — stwarzającego olbrzymią symfonię historyczną — nie wystawiam sobie, ażeby najbardziej sceptyczny widz nie ukorzył się w ekstazie zachwytu przed wielkością mistrza Jana.

Cała twórczość Matejki posiada znamię geniuszu, ona nadaje mimo realizmu wypowiadania wraz z poetyczną twórczością wielkiej trójcy naszych wieszczów — mistyczny charakter naszej porozbiorowej epoce.

Przygotować się do wyśpiewania czarownej pieśni przeszłości, uchwytnej, dotykalnej mógł tylko artysta w pobożnej kontemplacji — wykonać ją mógł tylko w najwyższym natchnieniu. I rzeczywiście Matejko przystępował do pracy z żarliwą modlitwą średniowiecznego ascety, co marzył samotny wtopiony w ciszę kościołów i długie godziny dumał w podziemiach. oplatając rękoma sarkofagi królów. Wszak przed rozpoczęciem Skargi modlił się gorąco u trumny wielkiego Kaznodziei a z wyskubanej przez nieszczelne wieko szaty zrobił sobie szkaplerz noszony na sercu. Pracę artysty pojmował jako posłannictwo, jako konieczny obowiązek, jako zew duszy.



J. Matejko. *Sędziwy Hetman.*



J. Matejko. *Kazanie Skargi.*



J. Matejko. *Książę Janusz Mazowiecki.*

Wobec ludzi niezłomny i hardy, wobec Boga i swego sumienia korzący się w cichej modlitwie, osobliwie gdy z bojaźnią sprzeniewierzenia się nakazowi wewnętrznemu stawał przed bielą płótna, na którym jakby „z zamków otwartych podwoi" wysunąć się miał za chwilę tłum wskrzeszonych rycerzy zbrojnych. Uznojony trawiącą gorączką tworzenia i umęczony w przepaściach swej duszy rozmyślaniami o losach Ojczyzny — Matejko zdawał się tylko z konieczności stykać ze światem zewnętrznym. Jego prawdziwym światem był świat wewnętrzny, była Polska ujawniająca się w bolesnym jęku Zygmunta i zjawach kamiennych posągów Krakowa, srebrzonych poświatą księżycowego blasku. Troski i bóle osobiste, jakich mu los nie szczędził — znosił z pokorą mnicha, przebaczając zawistnym i podając zawsze dłoń do zgody, o ile nie wchodziły w grę honor ar-

J. Matejko. *Stefan Batory pod Pskowem.*



L. KOTARBIŃSKA

...UCIEKŁYŚMY Z DOMU

Dziesięć lat pracy redaktorskiej dały mi niewyczerpane źródło rozkoszy. Powrót z Krakowa do Warszawy już został mnie w wieku lat 44. Do czego się wziąć? Co robić? Moje zamiłowania rysunkowe i malarskie, które zwrócone były do sztuki stosownej, poszły naprzód w świecie tak dalece, że zaniedbawszy je przez lat sześć, w służbie dla teatru — bezpodzielnej, nie mogłabym już nic robić w tym kierunku i nic zarobić. Mąż na razie miał tylko dział krytyki literackiej w „Kurierze Warszawskim", więc ożywiony był z miejsca tryb życia, bo zbierało się dużo młodych talentów u nas. Przecież to były lata, w których na arenie pisarskiej byli młodzi: Nowaczyński, Perzyński, Gorczyński; bywali u nas wtedy ukochany Bolesław Prus, Władysław Bogusławski, Gadomski, Lutomski, Gawalewicz, Święcicki, Henkiel, Bukowiński, Jankowski, Olechowski, Konczyński, Grabowski i tylu innych. Cała grupa młodych publicystów i dziennikarzy. Wszyscy dawni znajomi sprzed 12 lat zostali wierni.

To wszystko było miłe i drogie, ale trzeba było coś więcej robić, nad przyjmowanie gości, chociaż do dziś uważam to za największą swoją przyjemność. Trzeba jednak było znaleźć pracę i... płacę.

I oto — p. Stefan Krzywoszewski, redaktor „Świata", właściwie i „Tygodnika Mód i Powieści", choć tytularnie i zewnętrznie był redaktorem p. J. Skiwski, zaproponował mi zajęcie się pismem dość naówczas opuszczonym. Byłam tym zaskoczona. Czy potrafię? Po obrachunku sumienia — proponuję — pierwsze dwa miesiące będę pracowała za darmo — na próbę. Jeśli się na co przydam — zostanę. Zostałam.

Dostałam 30 rubli pensji. Z miejsca zaproponowałam zmianę tytułu pisma na „Dom Polski" — ale nie zgodziła się na to cenzura. Więc „Nasz Dom". Zgodzono się.

Wojna, po dziewięciu latach, rozdzieliła mnie z pismem, w którym miałam najmilsze stosunki, i z redaktorem Krzywoszewskim, zawdzięczając mu wiele, bo mi dał duże przywileje, duże swobody w działaniu, prawie samodzielność. Pensji jednak nie podwyższając ani grosza — do końca, przez dziewięć lat.

Dorabiałam wierszowym. Nawet miałam stałe tygodniowe kroniki w innych dziennikach, gdzie pisywałam pod pseudonimem: „Mrówki", co powiększało moje dochody dość znacznie.

* * *

Wprawdzie o tytuł redaktorki na piśmie, kiedy samopoczucie pozwoliło mi się oń dopominać, były wprost walki, ale je wygrałam i właśnie te dziewięć lat zbliżyło mnie ze społeczną pracą w stowarzyszeniach, z kołami kobiet pracujących i z domami polskimi, przez olbrzymią korespondencję.

Pismo budziło zaufanie. Prenumerata rosła. Setki listów odbierałam miesięcznie z kraju, ba! — nawet z Rosji i dotąd przechowane listy, które przychodziły nawet z Azji! — leżą w kopercie z przedmiotami, na których napis: „włożyć mi do trumny". Między innymi przychodzi list z głuchej wprawdzie prowincji, ale znać, że go pisze osoba inteligentna, która czytając prowadzoną przeze mnie rubrykę „odpowiedzi" w „Naszym Domu", prosi mnie, abym zechciała i jej odpowiedzieć: jakiej pensji powierzyć może kształcenie swoich dwu dziewczynek. Oczywiście polecam zakład pań Tołwińskich, które znałam osobiście i ręczę, że z całym zaufaniem pod opiekę tych zacnych i mądrych kobiet może oddać swe dziewczynki.

Panienki odtąd przesyłają mi czasem miłą kartkę z wakacyj. Matka fotografie ślicznych córek. Potem dłuższa przerwa. Milczenie. Zawierucha wojenna. Nie ma czasu na osobiste drobne grzecznostki.

Wtem — kiedyś — dzwonek. Domownica melduje: — dwie panienki.

Wykwintnie ubrane, ładne i znać, że starannie wychowane stoją przede mną dwie panny N. N.

— To my właśnie, proszę pani, te, co pisały do pani listy i których kształceniem pani kierowała.

— Bardzo jestem rada — proszę — niech panie spoczną. I w ślad za tym pytanie: —

— Co panie do mnie sprowadza?

— Uciekłyśmy z domu — proszę pani.

Ładnie nimi kierowałam — myślę sobie — ale nie tracąc miny indaguję dalej.

— My, proszę pani, jesteśmy zamożne. Rodziców kochamy. Ale u nas jest tak: mamusia jest wykształcona i dobra, jak anioł, ale zawsze względem tatusia: — „oto ja służebnica pańska" i już żeby tam nie wiem co, ani mrumru. A tatuś jest mamut.

Tylko tyle. Coraz dobitniejsze oznaki mego kierownictwa!

— Bo, proszę pani, majątek mamy ładny, choć nigdy nam tatuś nie chce powiedzieć ile mamy. Ale wiemy, że jest parę ładnych folwarków i że jeden zwłaszcza z domem niedaleko dworu, ma i ornego pola kawał i łąkę, i lasek, nawet rzeczka przepływa. Więc my właśnie o ten folwarczek prosimy, żeby nam pozwolił zagospodarować się i coś robić. Nie! Zanic! Chwasty rosną wyżej głowy. Drzwi domu zamknięte na cztery spusty. Nikt z tego nie korzysta jak należy, a tatuś:

— Panny powinny po skończeniu pensji w domu siedzieć i na mężów czekać, więcej nic.

---

tysty — Polaka i obywatela kraju. Głosy najniesłuszniejszej krytyki obracał w żart plastyczny „wyroku na Matejkę", a największe cierpienia i bóle osobiste rodzinne znosił bez skargi w milczeniu. Obdarzony wszystkimi możliwymi zaszczytami i wyróżnieniami, odwiedzany przez cesarzy, królów i możnowładców zawsze zachowywał jednakową skromność w obejściu i wzniosłość duszy w zetknięciu z ludźmi. Wstrzemięźliwy do najdalszych granic w potrzebach codziennych, znoszący z największą pokorą krzywdy i upokorzenia od ziomków — był artystą, o którym słusznie za Wincentym Polem można powiedzieć, że był świętym.

Matejko streszczał w sobie godność człowieka, dumę narodu, miłość do kraju za miliony i dlatego postać jego z narastającymi laty — olbrzymieje przykuwając do siebie oczy i serca pokoleń tych, co oglądały, co oglądają i oglądać będą dzieła jego geniuszu.

— Czy nie mamut, proszę pani? Więc uciekłyśmy. Mamusia nawet o tym trochę wie, ale pieniędzy nie mogła nam dać wiele, bo tatuś wszystko trzyma, a z mamusią ułożyliśmy się, że nigdy nikt, prócz pani nie będzie wiedział, że mamusia o tym wie, inaczej z tatusiem miałaby kłopot, których unika. Tu mieszkamy u wuja, zacnego człowieka, który nie wie żeśmy uciekły, myśli, że tak sobie bawimy w Warszawie, więc my do pani po radę, co mamy robić?

Przemiłe, dzielne dziewczyny.

Nazajutrz zaprosiłam popołudniu obie panienki. Pani Karczewska, jako ekspert życia warunków dworów, nie odmówiła mej prośbie w tak ważnej decyzji, przyszła łaskawie o oznaczonej godzinie i cała rzecz normalny wzięła obrót.

Jedna panienka zaraz zapisała się na kursy ogrodnictwa, aby umiejąc coś gruntownie, w tym kierunku, objąć choć zarząd ogrodem przy dworze, choć tatuś ciągle jej powtarzał: — ogród to dobra praca dla chłopa — ale nie dla panny.

Druga do domu nie wróci za nic!

— Wojna na świecie i coś się strasznego dzieje. Coś huczy dokoła, a ja mam tylko o sobie myśleć, na męża czekać — przenigdy!

A więc przestanie się pudrować, ondulować i przejdzie kurs pielęgniarstwa.

— Będę przynajmniej wiedziała, że się na coś komu przydam i na męża nie czekam.

To było w roku 1918.

Czas biegnie. Rosną obowiązki. Listy z frontów — nie nowina. Odbieram jeden, na którego kopercie widzę mój adres pisany wprawną i wyrobioną ręką. Czytam: — „Cenzurowane" 13 Dywizja Strzelców Kresowych. Pieczęć frontowa „poczta polowa". Na odwrotnej stronie: — „Wysyła Mery R.szp.pol.107.13 Dyw. strz. kresowych, poczta polowa 29, pieczęć: Szpital polowy N. 107.

Otwieram.

16 grudnia, 1919 roku, miejsce szczelnie wykreślone czerwoną i czarną farbą.

„Szanowna i Droga Pani! Serdeczne życzenia z okazji świąt i Nowego Roku przesyłam Szanownym Państwu. Byłam niedawno w Warszawie przez dwa dni, służbowo, po dary amerykańskie dla szpitala. Na odwiedzenie drogiej Pani czasu nie było. Urządzamy choinkę i gwiazdkę dla żołnierzy. Kwaterujemy obecnie w... (wykreślone) nad Horyniem — 20 klm. od (wykreślone). Okolica górzysta i malownicza, ale pod względem aprowizacyjnym bardzo upośledzona. Nic tu dostać nie można. Od tygodnia żyjemy stęchłym chlebem i kartoflami. Kiedy się to skończy — nie wiadomo. Prowiantura nasza jest bezsilna. Nawet na święta nie dostaniemy ani mąki, ani jaj dla chorych, gdyż za żadną cenę zdobyć ich nie można. Ludność jest bardzo wrogo usposobiona, więc potrzeby chorych jej nie wzruszają. Parę dni temu, podczas mego nocnego dyżuru zmarł ranny milicjant, poturbowany przez zbuntowanych chłopów. Wysłana ekspedycja karna, znalazła mundury zabitych Hallerczyków. Chłopi przyznali się do morderstwa, ale stawiali się hardo. Przywódcę natychmiast powieszono, część chałup spalono — a 12 chłopów mają dziś o 4 rozstrzelać za miastem. (A ile nienawiści zaszczepiono, o tym nie mówi nic autorka listu. Wojna!)

„Żyjemy tu, jak na wulkanie. Nie wolno nam samym wychodzić za dom, ani wyjeżdżać za miasto. Konieczna jest eskorta dwóch żołnierzy, gdyż chłopi odgrażają się, że zrobią napad na miejscową załogę, która jest nieliczna.

„Spotkałam w (wykreślone) dwie przedstawicielki „Białego Krzyża", panią Annę Grudzińską i jej sekretarkę p. Zalińską. Zakładały nam kantynę dla żołnierzy, bardzo serdecznie zajęły się naszym losem i kwaterą, której dostać nie mogłyśmy. Błogosławiłyśmy panią Paderewską, Biały Krzyż i jego zacną działalność, która tu na kresach jest jeszcze bardziej pożyteczną i niezbędną, czego doświadczyłyśmy osobiście. Koło Polek ofiarowało nam 140 tomów książek, z których zakładamy biblioteczkę dla chorych. Ameryka obdarzyła nas ciepłymi koszulami i szlafrokami. Prywatni znajomi nadsyłają ofiary na gwiazdkę — w ogóle na brak ofiarności uskarżać się nie możemy — ale wszystko to jest kroplą w morzu potrzeb — które są szalone. Pracowałam dotąd w oddziale tyfusu plamistego — miałam trzy sale (30 chorych) pod moim kierunkiem. Teraz oddział epidemiczny jest u nas skasowany, gdyż dostaliśmy w (wykreślone) specjalny szpital tyfusowy. Przyjmujemy więc tylko chorych chirurgicznych i wewnętrznych — na ogół jest ich na razie nie wielu, ale codziennie przybywają. Na tym ograniczam tymczasem wiadomości. Niedługo postaram się skreślić drogiej pani dokładniejszy obraz naszego tu życia. Serdeczne pozdrowienia i ucałowanie rąk przysyłam z dalekiego frontu.

Mery R.".

List porządnego i dzielnego człowieka. Żadnej czułostkowości nerwów, ani frazesu. Pewną ręką kreślona karta ciężkiego życia żołnierskiego. Obowiązek i powinność.

Że w swoim czasie „uciekła z domu" — czy zrobiła źle?

POŻEGNANIE

Rozchyliła ust korale
I spojrzała hen przed siebie,
W te bezbrzeżne gwiezdne dale,
Rzekłszy z cicha — żegnam ciebie!
Piękna dusza uleciała,
W świat nieznany, w świat daleki.
Jak łza czysta, jak śnieg biała,
Uleciała na wiek wieki. —

Smutno, tęskno mi sierocie,
Pozostałem sam na świecie.
Brnę po chwastach, grzęznę w błocie,
Opuszczone ziemi dziecię.
Ból, tęsknota mnie się ima.
Beznadziejny smutek targa.
Dziwna pustka przed oczyma,
A z ust biegnie głucha skarga;

Ukochane dziewczę moje
Śpi snem wiecznym w matki łonie
A dokoła szemrzą zdroje.
I las zwolna w mroku tonie.
Noc gwiaździsta, noc zapada
Miesiąc wschodzi bladolicy,
Dziwnem światłem na grób pada.
Na grób sennej mej dziewicy.

Nad mogiłą krzyż drewniany,
Pełno kwiecia dookoła,
Ukląknąwszy rozełkany,
Pochyliłem kornie lica.

I stoczyła się łza rzewna,
Pochłonęła ziemia święta...
A w niej moja śpi królewna,
Śpi snem wiecznym, śpi zaklęta!

JÓZEF BIRKENMAJER

SPEŁNIONA OBIETNICA

Połowę nieba jeszcze zalegała szara oćma poranka, gdy biskup Wojciech cichą drogą samowtór z bratem Radzimem zdążał z kościoła Bogarodzicy do grodźca książęcego w Gnieźnie.

Drogę oną odbywał co dzień o tej porze odkąd późną jesienią roku zeszłego zawitał w te strony, jako bezdomny tułacz i wygnaniec. Nie odstraszały go jesienne słoty, ani zimowe zawieje i śnieżyce, ani — jak teraz — wiosenne roztopy, które jezioru, zwanemu Jeleń, w dwójnasób wody i powierzchni przydały, a drogę całą rozmyły doszczętnie.

Co dzień szedł tą drogą biskup w skupieniu, rozmyślaniu i modlitwie. Od lat najmłodszych nawykł zrywać się z łoża wcześnie, tuż po północy, i śpieszyć do świątnicy Pańskiej, przed obraz Najświętszej Dziewicy. Czynił to był, jako pacholę, w szkole mistrza Oktryka w Magdeburgu, gdzie opiekun jego serdeczny, arcybiskup Adelbert, brał z sobą młodego scholarza północkiem do kościoła św. Jana Chrzciciela na Górze, sprawdzić, czy mnisi św. Benedykta nabożnie śpiewają jutrznię i nie wysypiają się po stallach. Nie inaczej postępował był biskup Wojciech, jako biskup praski, gdy proboszcz Wiliko, zaspany i wystraszony, zrywał się z łoża ciepłego, słysząc ciche kroki swego pasterza sunącego w mroku nocnym, niby widmo białe, ku kościołowi świętego Wita na modlitwę. Także w awentyńskim klasztorze św. Aleksego żaden ptak rańszą godziną nie budził się i nie rozpoczynał śpiewów, jako ten mnich Słowianin, co do Rzymu przybył z kraju dalekiego, leżącego kędyś pośrodku Germanii. A i w moguncklm wspaniałym dworze, z pozłocistej sypialni imperatorskiej wymykał się chyłkiem o północy najmilszy gość cezara Ottona III, Adalbertus-Wojciech, i pokryjomu chodził od komnaty do komnaty, od izby do izby, obmywając z błota i kurzu obuwie wszystkich domowników — od safianowych, purpurowych i śpiczastych trzewików cesarskich do prostych, wykręconych i połatanych kierpców najlichszego z wyrobników... i szedł sam, boso i cicho, przez cały uśpiony pałac, po zimnej, marmurowej posadzce, a przystanią tej conocnej pielgrzymki była mu mała ośmiokątna kaplica, gdzie złotym zarysem wybiegała ze ściany bizantyńska mozaika: w środku potężny Władca-Zbawiciel, Christus-Pantokrator, a po bokach Boża Macierz i święty Jan Chrzciciel czy Prodromos, zanoszący do Gospodzina modlitwę za biedną i znękaną społecznością ludzką.

Oj, natułał się też, natułał w ciągu czterdziestu lat swego żywota syn księcia Sławnika Wojciech z nieodstępnym bratem swoim Radzimem, czyli — jak go w mowie łacińskiej przezwano — Gaudentym. Poznali Europę całą od południowej saraceńskiej granicy aż po przyległe do północnego Kraju Mgieł ziemie Lutyków, od dalekiej, zachodniej Francji aż po wschodnie obszary węgierskie i polańskie. Rozmyślał o tym wszystkim dzisiaj Radzim-Gaudenty, ze szczególną tkliwością, przypominając sobie w ten chłodny i mroczny poranek jasną i ciepłą Italię, gdzie o tym czasie zielenią się już uprawne pola i oliwne gaje, gdzie oracz chodzi za pługiem, a pasterz za owcami, pośpiewując pieśń słodką: gdzie razem z pieniem skowronka wita jutrznię poranną dzwon na wieży prostokątnej, wysokiej i przytulonej do awentyńskiego wzgórza, oraz pieśń uczonych mnichów w najwdzięczniejszej w świecie greckiej mowie, nad którą tylko pienia anielskie w niebiesiech mogą być piękniejsze.

Dziką się wydawała Radzimowi po owych cudach włoskich, francuskich, flandryjskich i moguncklch owa rozległa kraina polańska, którą własnymi stopami przemierzyli byli przed pół rokiem: od Krakowa przez Kielce, Wrocław, Łęczycę i Trzemeszno aż do Gniezna. Pamiętał, jako się pewnego dnia zabłąkali w owych ostępach i jako się dziwowała, kiedy się o drogę pytali, ludność tubylcza, naśmiewając się z ich odzieży niezwykłej i z odmiennego nieco dźwięku słowiańskiej mowy.

A przecie pokochali obaj przybysze-książęta onę ziemię bagnistą i puszczami porosłą. Przywiązali się do niej, jako do drugiej ojczyzny swej ziemskiej, odkąd im odebrano własną ziemię ojczystą, rodzinną, księstwo Sławnikowe na Lubicy. Przywiązali się do potężnego księcia polańskiego, Bolesława Mieszkowica, Chrobrym zwanego, który od lat wielu przyjacielem był Sławnikowi i jego wszystkim synom, a teraz udzielił gościny i schronienia niedobitkom owego potężnego do niedawna rodu. Przywiązali się do tej ziemi polańskiej, bo nie okazała się glebą jałową dla posiewu słowa Bożego, a wiara Chrystusowa, choć nie dawno tu posiana, wschodziła jednak plonem wdzięcznym.

Gdy tak rozmyślając, rzadko zaś dzieląc się rozmową, obaj bracia podchodzili do grodźca gnieźnieńskiego, przygasała już na niebie jutrzenka, a za kopcem, od strony Trzemeszna, wschodziło na niebie słońce. Czerwonym blaskiem rozsypały się jego promienie po Jelonku i błotach cierpięskich, nad którymi swarzyć się już zaczęło ptactwo wodne, żeru poszukujące. Z nad Jeziora Świętego bocian wyleciał białopióry, ptak Wojciechowi szczególnie luby, bo mu i ziemię włoską i tułactwo własne przypominał, i przeleciawszy nad górą Lecha, osiadł wreszcie na gnieździe koło książęcego dworzyszcza.

We dworze już nie spano, choć Bolesław, ilekroć wieczorami przy piwie zbyt się zasiedział, zwykł był nieraz długo w dzień godziny nocne odsypiać. Ale teraz widać było, że go zbudzono, bo koło jego dźwierzy rojnie krzątała się służba, rozkazy jakoweś roznosząc. Nie wyprowadzano jednak koni, ani psów nie wypuszczano z psiarni, więc nie na łowy chyba wybierał się dziś władca polański. W każdym razie coś zdarzyć się musiało, skoro ruch wszędy był tak niezwykły.

Gdy się Gaudenty zastanawiał, co by to być mogło, rozjaśnił im zagadkę mąż postawny i zbrojny, który był właśnie z grodźca wyjechał i zmierzał prosto w ich stronę. Wojciech oczy ręką przysłonił, spojrzał bacznie i rozpoznał jeźdźca:

— Brat nasz Sobiebor k'nam jadą!

Jakoż to był Sobiebor, najstarszy z synów Sławnika, który łońskiego roku, bawiąc na wyprawie przeciw Lutykom, ocalał od owej strasznej rzezi, jaką w dzień świętego Wacława urządzili w Lubicy nasłani przez księcia praskiego siepacze — kiedy to w jednej godzinie bolesną śmiercią zginęli czterej bracia Sławnikowie: Spicymirz, Czesław, Czcibor i Dobrosław, a rozległe państwo lubickie zostało bezprawnie zagarnięte przez

potomków czeskiego Przemysława. Wraz z drugim ocalałym bratem Porajem ów Sobiebor przebywał teraz na dworze chrobrego księcia Polanów, mając w nim oddanego sobie przyjaciela i opiekuna, a — jak się spodziewał — także przyszłego mściciela jego krzywdy i sojusznika w walce o utracone księstwo.

— Bywajcie, drodzy memu sercu bracia Wojciesze i Radzimie! — powitał z dala obu. — Mam dla was nowinę ważną. Oto opat Astryk i kapłan Radła, przed kilkoma miesiącami wyprawieni od księcia Bolesława w poselstwie do Pragi, wrócili dzisiaj i listy przywieźli, was dotyczące.

— Co w nich piszą? — spytał Radzim-Gaudenty.

Poskrobał się w głowę Sobiebor z zakłopotaniem.

— Nie bardzom ja tam odczytać usiłował ich pismo, bo najpierw złość mnie okrutna bierze, ilekroć o Prażanach myślę, a powtóre jam do miecza i do oszczepu zawżdy był zdatniejszy niśli do ksiąg i pióra! Pismo to wasza rzecz, bracia klerycy!

Zsiadł z konia i biskupowi pierwszego ustępując miejsca, wywiódł ich przez bramę i dziedziniec do zamku książęcego.

Gdy weszli do wielkiej świetlicy, gdzie posłuchanie dawał Bolesław przybyłym posłom, władca zerwał się na ich powitanie, bo miał ten obyczaj, iż duchownym cześć wielką okazował. Jeżeli przed chwilą, siedząc, wydawał się turem szerokim i barczystym, sposobiącym się do nagłego uderzenia, to teraz, wyrósłszy wyniosłą swą postacią niemal pod sam pułap izby, był niby dąb potężny, pod którego koroną mogą ludzie mieć ochronę przed wichrem i niepogodą.

Na widok miłej mu i jasnej osoby Wojciecha książę pozbył się śladów gniewu, jaki jeszcze co tylko w rozmowie z posłami rysował się na jego czole, acz nie zatarł się jeszcze w jego twarzy wyraz smutku i szczerego zmartwienia.

Po przywitaniach wzajemnych biskup wziął z rąk Radły pismo z Pragi, zawierające odpowiedź na zapytanie, ma-li on, zgodnie z życzeniem metropolity moguckiego Wiligiza, wrócić na opuszczoną stolicę praską. List pisany był pośpiesznie, niestarannie, jakoby z lekceważeniem lub w gniewie, dużo było w nim przekreśleń i dopisków. Hej, daleko mu było do tej cudnej, wytwornej ozdobności, z jaką każdą literę swych manuskryptów wypisywał uczony i dobrotliwy opat grecki, stuletni Nilus pod Neapolem, albo do tej schludności, z jaką wypracowywali każdy dokument dostojnicy cesarskiego dworu: logothetes Leon, albo drugi Leon, opat awentyński, albo Notherus sangeleński, nie mówiąc już o najuczeńszym ze wszystkich biskupie Gerbertusie.

— Poznaję pismo Strachkwasa, brata książęcego — rzekł Wojciech.

Na samą wzmiankę tego imienia Sobiebor zgrzytnął zębami:

— Obłudnik! Podżegacz praskiego ludu! Ten, co tobie władzę biskupią, a nam księstwo wydarł!

Wojciech nie słuchał słów tych. W miarę, jak odczytywał rządki koślawo wypisanych liter, twarz dotąd niespokojna i pełna głębokiego smutku, zaczęła oblekać się radością i zachwytem. Patrzyli na niego bracia zdziwieni.

— Snadź coś miłego i wesołego piszą — zagadnął Gaudenty.

— Co znowu? — żachnął się Sobiebor. — Mieliżby ci zbrodniarze skruchę odczuwać, pasterza swego przepraszać i do siebie znów prosić... a nam zagrabioną dziedzinę oddać? Wierzyć mi się nie chcę, by tak być miało!

— Bierz i czytaj rzekł do Radzima biskup. — Mnie łzy wesela wzrok mącą i słowa w gardle więzi...

Radzim przebiegł oczyma pismo i twarz mu pobladła. Zawahał się przez chwilę, ale opanował się i jął czytać:

„Wrzekomo jesteśmy narodem twardego karku i serca nieposkromionego, ciebie zaś zowią świętym i przyjacielem Bożym. Skoro jesteś taki i tak wspaniały, to nie godzi ci się mieszkać i przebywać z niegodziwymi. Ale my wiemy, wiemy dobrze, co przeciwko nam knuje ta świętość, ubrana w pozory miłości. Syn Sławnika chce do nas przybyć nie dla naszego zbawienia, ale żeby się mścić za śmierć braci, za zabranie ojczystego grodu..."

— Wierzę! Zemsta jest naszym obowiązkiem... Krew krwi woła! — wybuchnął Sobiebor, a oczy, jakby na potwierdzenie słów tych, krwią mu nabiegły.

Wojciech spojrzał nań ze smutnym wyrzutem, a Radzim czytał dalej:

„Ale na nic te wszystkie starania. Nie chcieliśmy braci jego, tedy i jego jednego nie chcemy!"

Sobiebor już się porwał, by list podrzeć, albo rzucić jakieś przekleństwo straszliwe na zdrajców. Ale powstrzymał go widok biskupa, przemienionego w tej chwili tak niezwykle, jakby tu nagle stanął inny jakiś człowiek niż ten, który stał jeszcze niedawno na tym miejscu. Twarz jaśniała jakimś żarem nieziemskim, a z ust płynęły słowa modlitwy, do melodii psalmu podobne:

— Rozerwałeś, o Panie, pęta moje — i ofiaruję Tobie dań chwały! Dziś, Gospodzinie, już całkowicie jestem Twoim... Spełniłeś obietnicę, jaką mi dałeś, ziściły się sny moje i pragnienia.

Nikt nie rozumiał ani słów tych śpiewanych, ani powodu tej wielkiej radości, okrom jedynego powiernika i świadka czynów Wojciechowych, brata Radzima, który nachyliwszy się ku swej krewniaczce, a żonie Bolesława, świątobliwej księżnie Emnildzie, dawał jej półgłosem wyjaśnienia. Stąd to dowiedziano się, iż Wojciech od lat wielu żywił pragnienie śmierci męczeńskiej dla chwały Chrystusa i dla odkupienia win swych współbliźnich; że mu łaskę takiej śmierci przyobiecała we śnie Bogarodzica, Dziewica Najświętsza Maryja.

Dowiedziano się też, że gdy na synodzie w Rzymie roku zeszłego arcybiskup Wiligiz wymógł na cesarzu Ottonie rozkaz powrotu biskupa Wojciecha do Pragi, wówczas Wojciech zgodził się tylko pod tym warunkiem, że w razie, jeżeliby dawni diecezjanie prascy nie chcieli go przyjąć, to jemu będzie wolno iść między dzikie ludy, nie znające jeszcze Chrystusowej wiary, i tam prowadzić pracę apostolską...

To wszystko było ninie przyczyną radości Wojciecha.

— Spełniłeś obietnicę, jaką mi dałeś, Gospodzinie Boże! — śpiewał. — Ziściłeś moje sny i pragnienia serdeczne...

I łzy szczęścia zalewały mu oblicze.

Ale obecni nie podzielali tej radości, owszem twarze ich zasępiły się jeszcze bardziej. Emnilda płakała cicho,

WIESŁAW PYREK

Pieśń o książce.

W wielkiej czapie futrzanej na głowie,
spadającej aż po same uszy,
szedłem z matką, prowadząc rozmowę.
Biały śnieżek nasze ślady prószył...

Swoją łapkę włożyłem w dłoń matki
i dreptałem wielkimi krokami,
i patrzyłem, jak bieluchne płatki
pokrywały puchem zimny kamień.

Przez gwiaździstą tych śnieżek zasłonę
wzrok skusiła księgarska wystawa;
pociągnąłem matkę w tamtę stronę,
z drogi zeszliśmy trochę na prawo...

— Czy to książki, mamo? — Tak, mój synku.
A w nich bajki o pięknej królewnie.
Chcesz? Na gwiazdkę dam ci w upominku,
sam już wtedy przeczytasz zapewne.

Zaiskrzyła przed mymi oczami
ta wystawa — bogactwem bez miary;
tęczowymi książki błysły snami,
kolorowe zakwitły w nich czary.

Ile bajek prześlicznych w nich pewnie...
A co więcej tam może być jeszcze?
Jak amorki fruwały powiewnie,
jak płakały kryształowym deszczem.

Jakie czary cudowne i dziwy,
jakie bory, jak orkan szumiące!
Stary król z uśmiechem dobrotliwym,
czarownica z motyką na słońce!...

Nie słuchałem, że matka pójść chciała,
nie patrzyłem na srebrzyste płatki,
bo się oczom moim roześmiały
piękne książki i barwne okładki.

Nosek siny do szyby przytknąłem,
podziwiałem bogactwo bez końca,
bo mnie książki kusiły aniołem,
tajemniczo biegnącym do słońca.

Bo mi książki szeptały cichutko,
że w nich piękna wszelkiego gromada,
bo w mą duszę — przez chwilę tak krótką —
od tych książek blask słoneczny padał.

* * *

Elementarz zapomniał na pewno
o swych, dawnych już, ze mną stosunkach,
powędrował do szkółki, „dla biednych",
owiązany papierowym sznurkiem.

Już skończyły się zdania okrutne,
co łamały mi język i głowę:
„Sosza idzie szosą", albo smutne:
„Nie pieprz, Pietrze, pieczeni wieprzowej".

Książki, znane dotychczas z wystawy,
lub z oglądań pod opieką matki,
kiedy można było dla zabawy
kolorowe podziwiać obrazki,

Książki nieco obce, tajemnicze,
lecz ciekawe i zawsze kuszące,
ukazały wreszcie swe oblicze
i zabłysły mi wspaniałym słońcem.

Zeszedł do mnie w królewskiej postaci
sam wieszcz Adam — dłoń złożył na sercu,
którym objął cierpienia współbraci,
w którym gorzał, jak płomień w iskierce.

Zanurzyłem swoje usta chciwe
w jego serca puchar kryształowy
i syciłem swoją myśl żądliwą
najwspanialszym miodem Adamowym.

Nie przebrzmiała bohaterska burza,
nie umilkła jego snów tęsknota —
kiedy słowo zakwitło jak róża,
zadźwięczało, jako harfa złota.

Zasłuchałem się w pieśni płonące,
zapatrzony w tęczy zmartwychwstanie,
bo to Juliusz błękit gonił słońcem
na promiennym Apolla rydwanie.

O wy, książki, kuszące zza szyby
tajemniczo ciekawość dziecięcą! —
wyście duszę opętały niebem
i, jak szarfą, przewiązały tęczą.

Przyjaciele najmilsi mych marzeń,
wyobraźni niezwykli tyrani —
wyście dali tęsknotom — ołtarze,
a ołtarzom tęsknot — ukochanie.

* * *

Dziś dopiero, nareszcie, nareszcie!
wyszła z druku po długim czekaniu.
Patrzcie na nią, słuchajcie i wierzcie:
moja książka i moje kochanie!

W nieco sztywnej, kremowej okładce,
z literkami ciemnymi na wierzchu...
Ach, przerzucam ją, kartka po kartce,
i palcami delikatnie pieszczę.

Ile liter w niej, i słów, i znaków!
Choć drukarską farbą malowane,
lecz pod każdym, jakby pod szyszakiem,
bije serce, słowem opętane.

Weź mą książkę w ręce, lecz ostrożnie,
abyś kartki jakiej nie rozerwał,
i w głos książki wsłuchaj się przemożny,
który umie milczeć albo śpiewać.

I w nieznaną wsłuchaj się melodię,
przez natchnienie — ze mnie wyśpiewaną.
Oto książka o wielkość się modli
i o ciało dla tęsknot zaznanych.

Dziwna kolej losów nieuchwytnych:
jako berbeć stałem przed wystawą
i marzyłem o rycerzu smutnym,
o hetmańskiej marzyłem buławie.

Ale książki zza szyby kusiły,
pociągały mnie tak tajemniczo:
nieodparta stała się ich siła,
przyjacielskim patrzyły obliczem.

Zasłuchałem się w pieśni dalekie,
zapatrzyłem w tęczowe wyrazy,
książka chlebem mi była i mlekiem,
bohaterskim rycerzem bez skazy.

A dziś... Dzisiaj, książko moja,
jesteś duszy ubogiej bogactwem,
jesteś serca puklerzem i zbroją,
jesteś dla mnie mym życiem i skarbcem.

Jako echo dalekiej wichury,
która przejdzie i zginie bez słychu,
będziesz, książko, mej duszy konturem,
sercem moim i myśli pomnikiem.



SPRAWY RODZINY

Na szerokim świecie.

Oczy świata zwrócone są na Czechosłowację, zobaczymy jak przedstawia sie ich własne sprawozdanie z działalności na korzyść rodziny i wychowania rodzinnego.

Uchwałą prawną powstały w Czechosłowacji „Komitety Oświaty Ludowej". Poza tym pracują inne jeszcze instytucje w zakresie oświaty ludowej, która jednocześnie zajmuje się organizowaniem wykładów z dziedziny wychowania rodzinnego. Należy przypuszczać, że większość rodzin w niedalekiej przyszłości będzie oświecona w zagadnieniach dotyczących rodziny jako instytucji.

Najlepsza książka, jaka pojawiła się w ciągu roku 1935 — to książka pt. „Vychova dietata" (Wychowanie dziecka) przez prof. J. V. Klima. „Biblioteka Rodzin" wydała książkę Velinsky'ego: „Vysvedcenia z naruky nasich deti" (Cenzury i ocena naszych dzieci).

Najpoczytniejsze czasopisma są: „Rodzina i Szkoła", „Szkoła i Rodzina", wychodząca w Pradze, oraz „Rodzice i Szkoła" (Olmune) i „Dziecko" (Bratislawa). Łącznie cyfrę nakładu tych pism można określić na 400.000 egzemplarzy.

Każdy dziennik, jako też prawie każdy tygodnik i miesięcznik posiada szpalty poświęcone zagadnieniom rodziny i wychowania rodzinnego.

Wyższe klasy szkoły powszechnej (6-ty i 8-my rok szkolny), zajmują się przygotowaniem młodzieży do zadań rodzinnych.

W liceach wykładane są podstawy wiedzy: o rozwoju dziecka, dziedziczności, oświacie i jej osiągalnych możliwościach, ważności środowiska socjalnego i rodzinnego, kształceniu charakterów, jedynakach, odrębnościach psychologii chłopców i dziewcząt, wychowaniu seksualnym itd.

Organizacje rodzicielskie stosowane w roku 1930 istnieją w ilości powyżej 50% szkół Czechosłowacji; na zebraniach tych organizacji wygłaszane są referaty z dziedziny wychowania i higieny. Istnieje też wielka ilość kursów i wykładów w różnych środowiskach dla kobiet.

Codziennie rano stacje radiowe nadają audycje dla gospodyń; raz na tydzień nadawane są audycje z dziedziny pedagogii specjalnie dla rodziców.

W wyższych szkołach dla dziewcząt udzielane są wiadomości z dziedziny puerikultury (wychowania niemowląt i dzieci).

Poza tym, co się wymieniło powyżej, istnieją szkoły specjalne dla przyszłych matek i gospodyń. Wiejskie szkoły powszechne podjęły również to zadanie; są to dopełniające kursy dla młodzieży wiejskiej.

W każdym mieście republiki czechosłowackiej istnieją biura, poradnie wychowania młodzieży. W Pradze powstał Instytut Pedagogiczny. W każdym mieście istnieją poradnie dla młodych matek (jest ich z górą 1.780) istnieją też poradnie przedporodowe (252).

Co rok organizuje się „Tydzień wychowawczy" dla nauczycielstwa oraz „Dzień Matki".

* * *

Z Brazylii otrzymujemy kilka wiadomości. Instytut Wychowania Rodzinnego i Społecznego ufundowany został w mieście Rio-de-Janeiro w lipcu 1937. Katolickie Stowarzyszenie Brazylijskich Wychowawców zajmuje się wszelkimi zagadnieniami rodzinnymi.

* * *

W narodowej Hiszpanii życie zaczyna rozwijać się normalnie. „Konfederacja Katolickich Kobiet Hiszpanii" organizuje w każdej diecezji Sekretariat Akcji Rodzinnej, która w sposób specjalny zajmuje się matkami i organizuje kursy i koła studiów z zakresu rodziny.

Kurs wyrobienia rodzinnego i społecznego, zorganizowany w Saint-Sebastien w końcu roku 1937 miał wyjątkowe powodzenie.

Czasopismo „Atenas" zaczęło ponownie wychodzić, a Związek Katolickich Wychowawców, którego jest ono organem, rozwija szeroką i piękną działalność.

* * *

Z Haïti mamy następujące wiadomości: „Haïtijski Komitet Związku Francuskiego" (Alliance française), w porozumieniu ze Stowarzyszeniem Nauczycielstwa, organizuje co tydzień od 27 czerwca do 15 sierpnia jedną konferencję wychowawczą.

Oto kilka tematów: „Wychowanie jest siłą odrodzeniową", Rodzina i jej wielkie zadania społeczne", „Kształcenie opinii publicznej", „Kościół, małżeństwo i utrwalenie związku rodziny", „Najlepsze metody urabiania charakterów, oraz sposób ich stosowania w rodzinie", „Kobieta w jej misji wychowawczej".

Kongres Wychowania Rodzinnego (i analfabetyzmu wśród dorosłych), wspaniale zakończył serię tych wykładów. Siedem wniosków uchwalonych przez kongres dotyczyło polepszenia bytu gospodarczego, dzięki którym rodziny spełniałyby lepiej swoje zadania w społeczeństwie i lepiej wyrabiałyby jednostki ludzkie. Reszta, tj. osiemnaście wniosków, dotyczyła rodziny, szkoły i religii.

Pod koniec roku 1937, zorganizowano konkurs z nagrodami dla najlepszych rodzin wieśniaczych, żyjących według zasad nierozerwalności małżeńskiej i dających przykład wielkich cnót domowych.

* * *

W Salwador utworzono w Instytucie dla kształcenia dziewcząt specjalny dział kształcenia ich w zakresie rodziny, przysposabiając je do życia rodzinnego, rozbudzając uczucia rodzinne.

* * *

W Urugwaju problem rodziny jest tak samo poważny jak i w innych krajach. Są jednak powody specjalne, dla których kryzys rodziny urugwajskiej występuje w ostrzejszej niźli gdzie indziej formie — powody są następujące: brak tradycji rodzinnej, emigracja, zakorzenione przekonania, że rola rodziców nie wymaga specjalnego przygotowania. Miarodajne czynniki nie zajmują się tą sprawą, ale inicjatywa prywatna działa.

Po ogłoszeniu encykliki o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży, ks. M. H. Tasende rozpoczął ośmiomiesięczny kurs dla matek i przyszłych matek z zakresu wychowania rodzinnego i odpowiedniego przygotowania do życia.

W roku 1930 — 1931 kurs ten uczęszczany był przez 150 osób, ale w następstwie kursy te były mniej uczęszczane.

W latach 1932 — 1933 ks. Tasende wypowiadał miesięczne audycje w krajowym Radio z zakresu wychowania rodzinnego. Przemawiał on również w tych kwestiach w czasie „Tygodnia Społecznego" oraz „Tygodni Wychowawczych". W roku 1936 wypowiedział on cykl złożony z dziesięciu wykładów, w Katolickim Kole Robotniczym, o złym wychowaniu młodzieży, a teraz znów rozpoczął swoje audycje w Radio.

Cała seria artykułów z dziedziny wychowania rodzinnego wyszła w czasopismach: „Trybuna Społeczna" i „Trybuna Katolicka" jako też w katolickim dzienniku „Publiczne Dobro".

Wydział szkolnictwa średniego opracował program szkolny, uwzględniający w całej pełni różnice psychiczne obu płci, dzięki

temu dziewczęta wychowane są i kształcone zgodnie z ich naturą w celu najlepszego spełniania swej kobiecej misji życiowej.

Stowarzyszenia Rodzicielskie powstały przy niektórych szkołach licealnych. W seminariach nauczycielskich ogólnokształcący program z dziedziny pedagogii obejmuje również puerikulturę i wychowanie rodzinne.

„Szkoła przez Radio" podaje regularnie kurs audycji z dziedziny wychowania rodzinnego, wygłaszany przez specjalistów-wychowawców. Składa się on z czterech części: (1 — 2) „Postępowanie rodziców, a pozytywne lub ujemne wyniki wychowania młodzieży, (3) „Czytelnictwo młodzieży", (4) „Wpływ rozrywek publicznych na wychowanie młodzieży". Szkoła przez Radio daje również pogadanki z zakresu rozwoju fizycznego oraz higieny. Jednym słowem Radio jest doskonałym ośrodkiem porad anonimowych na wszystkie stawiane zapytania z dziedziny rodzinologii i wychowania.

Stowarzyszenie Opieki nad Dzieckiem w Urugwaju stara się wszelkimi siłami poprawić warunki wychowania w rodzinie poprzez szereg instytucji, przez instruktorki społeczne, odwiedzające rodziny, oraz poprzez wpływ uzyskany na matki.

* * *

Zagadnienie wczasów tak dzisiaj istotne dla organizacji życia stało się przedmiotem szczególnych rozważań w szkolnictwie angielskim. Chodzi właśnie o to, żeby przez odpowiednie rozdzielanie przedmiotów nauczania w planie tygodniowym zapewnić uczniom — a także i nauczycielom — odpowiednie godziny na wczasy. Pozostaje to w związku z zagadnieniem przepracowania dzieci w szkole, przeciwko czemu podobnie jak we Francji budzi się dziś w Anglii coraz silniejsza reakcja.

W Polsce.

W czerwcu br. obradował w Warszawie Walny Zjazd „Rodziny Urzędniczej", poprzedzony nabożeństwem w kościele Św. Jakuba. Z ust przedstawiciela rządu padły między innymi takie zdania:

Ideowa więc strona naszego zawodu w dobie obecnej jest wielka i piękna — z natury rzeczy może ona poniekąd przesłaniać codzienną szarzyznę życia, jego czasem wielkie braki a nawet niedostatek.

...Musimy więc zdać sobie sprawę, że najlepszą metodą, najsprawniej działającą i najlepiej dostosowaną do łagodzenia różnorodnych niedomagań naszego bytowania — to samopomoc...

Wspominając o samopomocy, nie miałem jedynie na myśli spraw czysto materialnych — *Rodzina* bowiem, chociażby tak szeroko pojęta, jak nasza R. U., nie może i nie powinna się ograniczać do tej tylko dziedziny potrzeb naszej gromady. Winniśmy więc zwrócić baczną również uwagę na ideę moralnej i intelektualnej samopomocy, takiej przy tym, jaką może dać *kooperacja rodzin* między sobą.

W związku z powyższym musimy dobrze sobie uświadomić, że *rodzina* w naszej Rzplitej *stanowi tę istotną i właściwą komórkę wychowawczą i ideową, kształtującą pierwsze poglądy nowych pokoleń i promieniującą swym światłem i ciepłem na późniejsze nasze poczynania.*

...Naród polski musi zrobić wielki wysiłek, musi wykonać olbrzymią pracę, aby po długich latach niewoli doprowadzić Polskę do dawnej świetności politycznej i kulturalnej oraz dobrobytu gospodarczego. W myśl apelu marszałka Rydza Śmigłego, musimy się zdobyć na maksimum wysiłku, aby Polskę dźwignąć wzwyż. „Rodzina Urzędnicza", stawiając sobie i podejmując usilną codzienną pracę w celu realizowania tych zadań, kroczy w szeregu tych, którzy przede wszystkim dobro państwa i narodu mają na celu.

* * *

W mieście powiatowym Żninie, w woj. poznańskim prowadzi się od paru lat we własnym „Domu Młodej Polki" kursy pt. „Kursy dla narzeczonych". Jest to przykład do naśladowania ogólnego.

* * *

Piąty Ośrodek Zdrowia organizuje pod Warszawą kolonię wypoczynkową dla matek z małymi dziećmi. W tym celu wynajęte zostały w Michalinie 3 budynki o łącznej liczbie 26 izb. Kolonia uruchomiona została w dniu 1 czerwca i grupować będzie 50 matek z dziećmi. Pobyt trwa 2 tygodnie i w ten sposób skorzysta z kolonii 400 matek i dzieci.

Inowację tę należy przyjąć z dużym zadowoleniem, gdyż dotychczas organizowane były jedynie kolonie wypoczynkowe dla dzieci, natomiast nie pomyślano o grupowych wyjazdach dla matek z małymi dziećmi. Wyjazdy te wiele bardzo rodzin uratują od gruźlicy.

* * *

Sprawa przeludnienia okręgu centralnego jest pierwszorzędnym zagadnieniem socjalnym; wypłynęła ona na czoło niedomagań naszego państwa i musiała być braną pod specjalną uwagę przy obieraniu terenów pod rozbudowę życia gospodarczego i nowotworzących się placówek wielkiego przemysłu.

W okolicach Rrzeszowa, Jarosławia i Przeworska liczba mieszkańców na jeden kilometr kwadratowy sięga 200 osób. Jest to jedno z najgęstszych skupień ludzkich na terenie całej Europy. Jedynie Belgia i Holandia mogą spółzawaodniczyć z tą częścią kraju naszego, mając gęstość zaludnienia, sięgającą tam od 245 do 271 osób na klm. kw.

Wadliwy jest niedorozwój rozbudowy życia miejskiego. Na terenie całego okręgu centralnego ludność miast wynosi zaledwie 17,3%, kiedy w statystyce ogólno-państwowej ludność wiejska sięga 72%, gdyż 28% stanowią mieszkańcy miast.

Razem trzy rejony ABC okręgu centralnego liczą 4.956.100 mieszkańców, z czego na rejon C przypada 2.069.900 osób.

Ludności miejskiej cały okręg centralny posiada 868.300 osób, z tego na miasta rejonu C wypada 305.100 mieszkańców.

Aż do chwili obecnej rejon ten miał wybitną przewagę struktury rolniczej z nikłą rozbudową miast, z ludnością, opierającą swój byt na pracy związanej z ziemią.

Żadna najlepiej pomyślana reforma rolna nie zdolna byłaby zabezpieczyć dostateczny dobrobyt tej ludności, bez rozbudowy miast i stworzenia przemysłu na wielką miarę. Dla prostej przyczyny, że posiadamy ziemi za mało, aby nią można było wszystkich obdzielić.

Przeciętne zaludnienie na całym obszarze okręgu centralnego wynosi 100 osób na klm kw., nawet wliczając do rachunku 5 powiatów o wyjątkowo rzadkim zamieszkaniu, z racji lasów i nieużytków, kiedy w całym państwie przypada tylko 88 mieszkańców na klm kwadratowy.

Taka wadliwość struktury socjalno-gospodarczej mogłaby stać się argumentem za depopulacyjną propagandą, czynioną przez pewne destrukcyjne kierunki w naszym kraju, toteż organizowanie C. O. P. stanie się i pod względem populacyjnym bardzo korzystnym dla Polski. Oby tylko czynniki miarodajne rządowe i społeczne brały pod uwagę potrzeby *rodziny polskiej!*

Zofia Jankowska.

PLASTYKA

Po przerwie prawie trzechmiesięcznej trudno w szczupłych granicach zmieścić przegląd wystaw, zorganizowanych w tym okresie, tym więcej, że obejmują one wyjątkowo znaczne odłamy naszej twórczości artystycznej i wyjątkowo wielkie postacie malarzy.

Na same czoło materiału sprawozdawczego wysuwa się otwarcie Muzeum Narodowego.

Muzeum Narodowe w Warszawie tradycją wiąże się z postacią Stanisława Augusta. Król pragnął, aby jego zbiory sztuki, które już za jego życia pełniły misję kulturalną, po śmierci właściciela służyły społeczeństwu. Po rozbiorach kolekcje Uniwersytetu Warszawskiego i Tow. Warszawskiego Przyjaciół Nauk stały się podstawą publicznych zbiorów muzealnych stolicy. Założenie Muzeum Sztuk Pięknych dnia 20 maja 1862 r. jest przełomową datą w historii muzealnictwa Polski i Warszawy. Wskutek wybuchu powstania styczniowego organizacja Muzeum zostaje odroczona. Ciągłe trudności lokalowe nie przeszkadzają jednak publicznemu zwiedzaniu powoli lecz stale powiększającej się galerii obrazów. R. 1875 zamyka pierwszy okres działalności Muzeum Sztuk Pięknych, wzbogaconego wprawdzie znacznymi zakupami, niemniej atoli uszczuplonego o zbiory archeologiczne, odstąpione Muzeum Starożytności przy Bibliotece Głównej i o gabinet rzeźb i odlewów gipsowych, odstąpionych na rzecz Uniwersytetu. Sama galeria obrazów tracąc lokal dotychczasowy zostaje na 9 lat

złożona w magazynach. Najwięcej palącą sprawą było stosowne pomieszczenie zbiorów muzealnych. Projekty budowy gmachu dla Muzeum wprawdzie kiełkują poważnie już od r. 1887, jednak dopiero fakt przekazania zbiorów na własność miastu Warszawie i uwarunkowanie zapisu Lachnickiego ruszyły z miejsca tę piekącą sprawę. Magistrat w tym czasie zobowiązał się wynająć lokal dla Muzeum, które coraz wyraźniej w szeregu wysuwanych pomysłów — zaczyna zarysowywać się jako: *Polskie Muzeum Narodowe*, dlatego też projekty organizacyjne i budowlane rząd rosyjski nie zatwierdza. Wskutek wielkiej wojny wszystkie zamiary w tym kierunku stały się nieaktualne, tym więcej, że władze moskiewskie chciały wówczas powtórzyć akt gwałtu z biblioteką Czapskich i próbowały wywieść całą galerię do Rosji. Oparł się jednak tym łotrowskim zakusom kustosz *Jan Kauzik* i *magistrat miasta* — zbiory ocalały. Po ustąpieniu okupantów rosyjskich wysunięto myśl przeznaczenia na gmachy muzealne terenu, zajmowanego przez szpital Ujazdowski, Instytut Maryjski oraz obszaru Frascati, wskutek jednak przeszkód ze strony nowych okupantów niemieckich —pomysłu nie wcielono w życie. Właściwa działalność Muzeum w okresie powojennym zaczyna się w r. 1916 od chwili objęcia dyrektorstwa przez Bronisława Gębarzewskiego i przeniesienia zbiorów z poprzedniej siedziby przy ul. Wierzbowej na Podwale. Ustalenie form organizacyjnych Muzeum nastąpiło w r. 1921, kiedy Rada miasta Warszawy zatwierdziła jego statut. Zbiory Muzeum zaczynają odtąd wydatnie się powiększać, bądź wskutek wielu zapisów i darów, bądź depozytów, jak również zakupów. Niestety z powodu przewlekającej się sprawy budowy własnej siedziby i chronicznego braku miejsca w dotychczasowym pomieszczeniu — Muzeum nie może skorzystać z aktu darowizny bezcennych zbiorów archeologicznych Erazma Majewskiego. W r. 1920 zawarta umowa między gminą m. st. Warszawy a Ministerstwem Spraw Wojskowych daje podwaliny pod stworzenie osobnego działu wojskowego, jako autonomicznej komórki — *Muzeum Wojska*. Tymczasem odżywa projekt zabudowania dawnego Ujazdowa i Frascati zbiorem gmachów o potężnym rozmiarze, dla pomieszczenia bogactw sztuki i kultury polskiej. Gdy nie udało się urzeczywistnić tych wspaniałych zamiarów, ulegając konieczności magistrat dn. 31 grudnia 1923 r. postanowił przystąpić do budowy gmachu Muzeum przy Alei 3-go Maja, lecz dopiero dn. 15 czerwca 1927 r. założono kamień węgielny, a w r. 1931 Muzeum objęło dwa pawilony wykończone, dokąd zaczęto przenosić zbiory z Podwala. Ostatecznie wykończenie pozostałych pawilonów i otwarcie całego Muzeum nastąpiło w czerwcu b. roku w 47-ym roku istnienia, a w 23 lat od chwili przekształcenia go na Muzeum Narodowe.

Obecnie szemat organizacji Muzeum ma charakter tymczasowy. Zbiory dzielą się na następujące grupy: 1) *sztuka starożytna*, 2 i 3) *galeria malarstwa polskiego i obcego*. W opisie wymieniono najprzód *„obcego”*, potem *„polskiego”* — nawet w takim szczególe mieszczą się znamiona braku godności narodowej. — 4) *sztuka zdobnicza*, 5) *grafika*, 6) *numizmatyka*, 7) *Muzeum dawnej Warszawy*, 8) *pamiątki po wybitnych pisarzach i artystach polskich*, 9) *księgozbiór. Ogółem około 130.000 numerów inwentarza.*

Na marginesie tego bardzo pobieżnego skrótu pozwalam sobie wypowiedzieć kilka uwag w telegraficznym stylu.

Już dziś Muzeum jest za szczupłe i nie odpowiada przeznaczeniu, choćby dlatego, że np. w galerii obrazów polskich z posiadanych 3.000 dzieł jest wystawionych w 24 salach tylko 500, również z galerii obrazów obcych liczących 3.000 dzieł w 23 salach jest pokazanych zaledwo 300, to samo zapewne odnieśćby można do innych działów. Toteż Dawna Warszawa i Zbiory Pamiątek (dlaczego tylko po wybitnych pisarzach i artystach, a nie w ogóle po wielkich Polakach i po wielkich historycznych zdarzeniach?!...) znajdują pomieszczenie w kamienicach na Starym Mieście, galeria zaś Polskiej Sztuki Współczesnej mieścić się będzie w dawnym budynku na Podwalu. Przypuszczam zatem, że niebawem musi nastąpić powiększenie Muzeum przez dobudowanie nowych pawilonów, żal tylko, że myśl umieszczenia Muzeum na obszarach Frascati i Ujazdowa nie została przeprowadzona.



Starodawny ornat polski.

Całość budynku muzealnego ze stanowiska architektonicznego jako bryła i jako rozwiązanie wnętrza posiada pewne zalety, a jednak nie jest odpowiednio przemyślana. Uwidocznia się to przy oglądaniu galerii obrazów, 9 tylko sal posiada oświetlenie górne, inne mają światło boczne tak złe, że zupełnie nie można patrzeć się na obrazy. Poza tym, jeśli chodzi o galerię naszego malarstwa, to uważam, że Polska nie może sobie pozwolić, ażebymy były *dwa Muzea Narodowe*, jedno w Krakowie, a drugie w Warszawie. Wprawdzie nie jest rzeczą możliwą, ażeby miasto największych pamiątek narodowych i kolebka naszej sztuki i kultury — Królewski Kraków nie posiadał wielkiego Muzeum, jednak charakter jego powinien być inny jak Muzeum w stolicy państwa. Dlaczego zaniechano stosownej ze wszech miar nazwy *Polskiego Muzeum* dla muzeum warszawskiego — a dano nazwę *Narodowe*, nazwę posiadaną już od dawna przez Muzeum Krakowskie — trudno zrozumieć?... W praktyce jakież utrudnienie mieć będzie badacz rodzimy, czy zagraniczny, jak trudno będzie wytłumaczyć szerokim rzeszom czym było i jest *malarstwo polskie*, jeżeli dla poznania jego, trzeba będzie wędrować od Warszawy do Krakowa (bo Kraków posiada wspaniałe dzieła naszego malarstwa w swoim muzeum), a zbaczać trzeba będzie jeszcze dla uzupełnienia wiadomości do Lwowa, Poznania, Łodzi i Katowic itd. Jak niepełnie wobec takiego rozproszkowania obrazów musi się przedstawiać twórczość poszczególnych artystów, a nawet całych okresów sztuki? Przy pobieżnym tylko przeglądzie zauważyć już można w Muzeum warszawskim bardzo słabo uwzględnionego największego po Matejce tytana naszego malarstwa Jacka Malczewskiego, a potem H. Siemiradzkiego, W. Tetmajera, Jasińskiego i całego legionu malarzy polskich. Może obrazy ich są pochowane jeszcze?... W Londynie National Gallery dla retrospektywy, a Tate Gallery dla pewnego działu (prerafaelici), we Francji w Paryżu, Luvre, w Hiszpani w Madrycie, Prado są centralą obrazów narodowego pędzla. W Niemczech ze względu na swoistą strukturę polityczną znajdowały się dwa główne miejsca dla sztuki: Monachium i Berlin. W Polsce zjednoczonej czy nie mogła powstać jedna wielka galeria rodzimego malarstwa, tylko ułamkowe zestawienia i to w kraju, dla którego pedagogia w kierunku poznania własnej potężnej sztuki, jaką posiada, a jakiej sama nie zna — jest palącą koniecznością. — Dlaczego?... Tym wiecej to razi, ponieważ posiadamy ogromne luki z racji wsiaknięcia najwiekszych nieraz arcydzieł polskiego pędzla w obce kraje i cudze zbiory, że wymienię pobieżnie z nowszej sztuki (przedrozbiorową pomijam) Polonię Grottgera w Budapeszcie, Chlebowskiego w Konstantynopolu, Ajdukiewicza tamże i w Bukareszcie, Piotrowskiego w Sofii, kilka Chełmońskich i innych prac znakomitych naszych malarzy z racji wystawy chicagoskiej (sprawa niewyjaśniona) zostało w Ameryce, Siemiradzki w Italii i w Petersburgu, wielu tam zginęło Orłowskich?... A do tego musimy dodać masę, całe galerie, zniszczonych dzieł naszej sztuki na Podolu, Wołyniu, Ukrainie i litewsko-białoruskich województwach podczas bolszewickiego przewrotu — litania zatem jest długa i tragiczna... Czyż wreszcie największy malarz nowożytnej epoki i największy mistrz naszej sztuki Matejko jest godnie reprezentowany w warszawskim Muzeum Narodowym?... Nie — bo część monumentalnych jego dzieł znajduje się w krakowskim Muzeum Narodowym, a w samej stolicy nie w Muzeum, a w Zachęcie, w ciasnym, zupełnie niestosownym pomieszczeniu. Rozumiem, że zmienione warunki ogólne ekonomiczne wytworzyły ten stan, iż byt Zachęty wiąże się z posiadaniem u siebie arcydzieł Matejki i galerii dawnej polskiej sztuki. Nie sądzę jednak, ażeby taki stan rzeczy pomieszania dwóch idei gromadzenia zabytków dawnego malarstwa i organizowanie i popieranie sztuki bieżącej było racjonalne. Sądzę, że bez szkody dla instytucji sprawa mogłaby być rozwiązaną. Zachęta, która spełniała podczas chwil ciężkich patriotyczną misję popierania sztuki polskiej — jako jedyna publiczna instytucja w zaborze rosyjskim — nadal powinna być ogniskiem i ostoją, po prostu salonem sztuki rozwijającej się — gromadzenie przez Zachętę dawnych

dzieł — muzealnictwo — powinno przejść do Muzeum. Nad tą sprawą zastanawiały się poważne jednostki naszego społeczeństwa jeszcze w r. 1907, od tej daty dojrzała ona jeszcze więcej.

Wracając do samych zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie zauważyłem smutny stan konserwacji wielu obrazów swoich i obcych, spowodowany zapewne brakiem środków i pośpiechem rozwieszania. Nie przeszkadza to rozkoszowaniu się prawdziwymi skarbami naszego malarstwa, zgromadzonymi w afmiladzie 79 sal wystawowych. Braki są we wszystkich dziełach ludzkich — muszą być i tutaj, mimo nich dumni powinniśmy być z polskiej sztuki, której wielkość, dzięki Muzeum, możemy ocenić, dziś już możemy nie tylko stwierdzić równie wysoki poziom malarstwa naszego jak u innych wielkich i bogatych narodów o nieprzerwanej tradycji artystycznej, ale niekiedy nawet wyższy; Matejki nie posiada żaden naród, a wobec niego bledną największe sławy dawnego i obecnego malarstwa świata.

W salach Muzeum obecnie są zorganizowane dwie czasowe wystawy, pierwsza to —

Wystawa Prac Aleksandra Gierymskiego (1850 — 1901).

Dobranych 148 dzieł tego mistrza pędzla polskiego pozwala na syntezę całej jego twórczości. Artysta szukał w malarstwie wartości absolutnych, a tragizm tej walki powiększał fakt, że był on malarzem polskim w okresie najbardziej jałowym i nieprzychylnym dla rozwoju rodzimych talentów. Cała sztuka A. Gierymskiego jest oparta na ścisłym rzec można nadnaturalizmie ustawicznym dociekaniu formy, barwy i kompozycji. Na wystawie znajdują się obrazy skończone jako prawdziwe arcydzieła malarstwa: „Anioł Pański", „Święto Trąbek", widoki z Italii (Amalfia, Werona), wnętrza świątyń, pejzaże z Bawarii, nocne oświetlenia placów i ulic stolic Europy, portrety (między innymi portret Adama Chmielowskiego, Brata Alberta), wreszcie szkice do obrazów doskonale wskazujące na drogi i metody twórczości artysty.

Drugim pokazem jest:

Wystawa Grafiki Polskiej.

Jest to przegląd dawnej grafiki, wyjęci są z niego żyjący artyści. Z każdego okresu wystawione zostały najwybitniejsze dzieła, zatem z epoki od XVI w. do końca XVIII w. (najdawniejsze drzeworyty książkowe łącznie z twórczością Norblina), z epoki od XVIII w. do końca XIX w., epoka przełomu XIX w. i okres XX w. aż do naszych czasów.

Zauważyłem zdaje się małą niedokładność w bardzo dobrze zresztą przez p. Stanisławę M. Sawicką napisanym wstępie do katalogu: *Włodzimierz Konieczny (1886 — 1916)* był przede wszystkim utalentowanym rzeźbiarzem i literatem, a nadto grafikiem. Przedwcześnie zmarły (poległ w legionach) związany był z Akademią Krakowską i Krakowem a nie środowiskiem Lwowskim. Druga uwaga o *Danielu Chodowieckim.* Autorka wyraża się o nim w katalogu: *„Polak z pochodzenia, lecz później zniemczony".* Trudno się z tym zgodzić, ponieważ Chodowiecki zawsze za Polaka się uważał, o czym świadczy wymownie jego list ogłoszony swego czasu w „Sprawozdaniach Komisji Hist. Sztuki Akad. Umiejętności w Krakowie". Współczesny jemu A. Orłowski (bez porównania zresztą więcej polski) — mieszkał w drugim okresie swego życia w Petersburgu, a nie mówi się o nim że został zruszczony.

Zachęta.

Wystawa dzieł Jana Matejki (1838 — 1893) zgromadziła 82 dzieła mistrza. Szczegółowego sprawozdania nie podaję, ponieważ umieszczam go w osobnym artykule „Rodziny", zaznaczam tylko, że suchy wstęp do katalogu jest za nikły i za pobieżny.

Bieżąca wystawa w maju i czerwcu zawierała zbiorową wystawę pośmiertną *Blanki Mercère* (zm. 16 grudnia 1937 r.). Znajdują się tutaj bardzo piękne portrety jej pędzla, pełne wyrazu i technicznie doskonale postawione, próby ukochanego przez zmarłą rodzaju malowania — fresku i świetne ilustracje wielkiej wojny z frontu zachodniego, wykonane w służbie idei Polski. Dalej są kolekcje *Mariana Konarskiego,* artysty dużo umiejącego i mogącego abstrakcję uplastyczniać w daleko lepszej formie, jak to czyni w niektórych obecnie wystawionych swoich pracach. Malował je zapewne w ten sposób chyba dlatego, ażeby broń Boże nie być posądzonym, iż nie jest modernistą? — Doskonałe prace widzimy w zbiorze obrazów *Marcina Kitza.* — *Zygmunt Król* w swojej kolekcji pokazuje nam kilka niezłych studiów zwłaszcza portretowych. *Marcin Samlicki* przeholowuje niekiedy w wierności dla natury, co odbija się przede wszystkim w niezharmonizowanym kolorycie. Z wystawy ogólnej wyliczam najważniejsze prace: *Z. Badowskiego* bardzo piękna w kolorze: „Modelka". *B. Barbackiego*: portrety, *S. Dybowskiego:* chaty, *W. Fabijańskiego:* grafika, *Ludwika Grabowskiego:* autoportret, *:K. Hallera* „Przed lustrem", *B. Iwanowskiego:* wnętrza, *E. Lindemana:* „Studium bezrobotnego", *H. Lisowskiego:* „Pejzaż z Wilna".

Z kolei wymieniam szereg wystaw, ograniczając się tylko do suchej wzmianki. Koniec roku szkolnego został, jak zazwyczaj, zamknięty *seriami wystaw poszczególnych uczelni,* zatem *Akademia Sztuk Pięknych* urządza doroczny pokaz prac swoich uczniów, to samo czyni w interesującym przeglądzie: *Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych, Szkoła Przemysłu Graficznego im. Marszałka J. Piłsudskiego, Państwowa Koedukacyjna Szkoła Fotograficzna i Dokształcająca Szkoła Graficzna.* Ponadto organizuje wystawę uczniów i uczennic szereg szkół prywatnych jak: *Szkoła im. Gersona, Szkoła Blanki Mercère* i inne. Również przy końcu sezonu można było oglądać *Wystawę fotograficzną prac Polskiego Związku Nauczycielskiego, wystawę pośmiertną Władysława Stachowskiego,* chronologicznie pierwszego obok Włodzimierza Nałęcza, na dużą skalę marynisty polskiego, malującego głównie nad Morzem Czarnym i Kaspijskim, *Zbiorową wystawę obrazów Heleny Zielińskiej i Olgi Pluteckiej-Saloni* itd.

W salach *Instytutu Propagandy Sztuki* została zorganizowana ogromnie ciekawa

Wystawa Sztuki Tkackiej dawnej i współczesnej.

Dawne tkactwo przedstawione zostało w działach kobierców, gobelinów, kilimów i pasów — nowe zaś w działach: kilimów i dywanów strzyżonych, oraz tkaninach żakardowskich. Nadto pokazaną została sztuka tkacka na wsi w dywanach grodzieńskich i preborach Polesia. Tkactwo w całej słowiańszczyźnie, zatem i w Polsce, należy, jak zresztą u wszystkich ludów do najstarszych technik rękodzielniczych. Wyroby przedstawione na obecnej wystawie zaliczają się do bardzo już rozwiniętego historycznego okresu wyrobu naszych tkanin. Wcześnie, bo w w. XVI spotykamy się u nas z *kobiercami wiązanymi* i *strzyżonymi.* W w. XVII kobiernictwo polskie wytwarza, zwłaszcza na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, wysokiej wartości tkaniny, w których formy Wschodu i Zachodu swoiście pomieszane złożyły się na oryginalny rodzimy styl. Rozwój tego przemysłu rękodzielniczego przypada u nas na w. XVIII ogniskując się w warsztatach organizowanych i popieranych przez wielkie rody magnackie (Radziwiłłowie, Ogińscy, Tyzenhauzowie i inni). Różnorodność typów tych kobierców dowodzi istnienia wielu różnych ośrodków wytwórczości. *Gobeliny,* raczej *arrasy,* po polsku *opony,* są również u nas dawno wyrabiane, bo od w. XVI. Określone ściśle miejsca produkcji znamy dopiero w XVIII w. Technika opon różni się od kilimowej tym, że gobeliny tkane były od lewej strony. Na odwrotnej stronie opony widoczne są tzw. łańcuszki ze zwisających nitek zakończeń, tkanina kilimu jest po obu stronach jednakowa. Oba te rodzaje jednak często zbliżają się do siebie. *Kilimy,* jak sama nazwa *„Kelim"* wskazuje na wschodnie pochodzenie. Toteż i co do tego rodzaju tkanin, główne ośrodki wytwórczości jej były na naszych ziemiach wschodnich. Obecnie wystawione są *kilimy dworskie cz.łacińskie* i jeszcze wyższy gatunek *kilimy grodzieńskie* cz. *Tyzenhauzowskie.* Istniało jeszcze jednak w Polsce wiele innych nadwornych magnackich wytwórni. Wszystkie one, chociaż odbiegają pod względem deseniu i wykonania znacznie od *kilimów czysto ludowych,* teraz nie wystawianych, są ogólnie zbliżone do typu ludowej *grodzieńskich* i *perebor poleskich.* Są to

tkaniny podwójne, używane do rytualnego przykrywania po weselu łóżek i stołu (prawo małżeńskie: łoża i stołu) i dlatego znajduje się na nich prastary motyw korowodu weselnego. Na obecnej wystawie pokazane są autentyczne stare dywany (najstarszy z 1873 r.), tkaniny o dawnych wzorach, lecz czasem innego formatu i barwy, tkaniny (dywany) wykonane dzisiaj, komponowane na warstacie w czasie roboty, zatechniki. Z najodleglejszymi epokami historii wiąże się wyrób wiejskich *dywanów* tem zupełne improwizacje, stąd tłumaczą się całkiem świeże motywy (kwiaty, owoce), przypominające tu i owdzie stare wzory. *Perebory* są właściwie tkanym haftem, oryginalnie barwionym.

Ze *strzyżonych kobierców* obecnie wystawionych do najpiękniejszych należą kobierce z herbami Potockich i Mniszchów, Ogińskich i kobierce strzyżone z motywami Ludwika XIV, oraz motywami kwiatowymi. Wśród opon wyróżnia się obraz gobelinowy Chrystusa, fragment gobelinu ze sceną nadania tytułu Mikołajowi Radziwiłłowi (stan okropny!...), dawna opona przedstawiająca J. Sobieskiego pod Wiedniem i bardzo ciekawa opona ślubna z herbami Korfów, Konarów i z wyobrażeniem Wandy i Wawelu. Do najpiękniejszych kilimów wystawy zaliczyć można kilim o motywie wieńca i girland, kilimy dworskie o motywie kosza, kwiatów i bukietów.

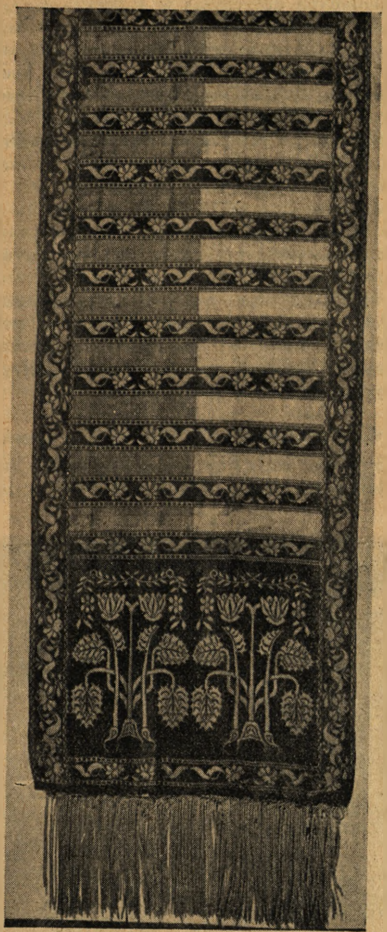
Osobny dział obecnie skromnie pokazany jest dział wspaniałej naszej wytwórczości persjarni XVIII w. Rzuca się tutaj w oko pas czterostronny pół lity tkany w polka gładkie i linie gzygzakowate, w końcu rozety kwiatowe, takiż pas w półksiężycach i wazonach z kwiatami i pasy czterostronne lite w polkach kwiatowych, w końcach bukiety.

Nie wiadomo dlaczego wystawiono także przeokropny, krzyczący w kolorze bohomaz Szymańskiego, zohydzający wyprawę wiedeńską (jakby pod wpływem Boya „Marysieńki"). Dosyć, że wisiał dosyć długo



Kilim dworski.

na wystawie paryskiej — mogło tam nie razić obok wyrobów Aszantów czy Buszmenów — lecz w Warszawie zbytecznie go pokazywać.



Starodawny pas polski.

Na tle ślicznych kilimów, opon i pasów *grupa wybitnych ceramistów Warszawy* i *Poznania* urządziła pokaz swych ostatnich prac. Jest to zaledwo drobna cząstka współczesnego świetnie rozwijającego się naszego artystycznego garncarstwa. Widzimy piękne prace, świadczące o wielkiej technicznej biegłości i dużym wysiłku artystycznym, dowodem tego są np. naczynia *L. Kotarbińskiej* i mieniące się polewy *R. Krzywca.*

Dr M. Nałęcz-Dobrowolski.

RADIO I RADIOFONIA

Doroczna wystawa radiowa została otwarta w sierpniu w Warszawie.

Radiofonia polska organizowała już wielokrotnie wystawy radiowe w różnych miastach Polski. Dwa lata temu ogólne zainteresowanie budził Pawilon Ministerstwa Poczt i Telegrafów na Wystawie Przemysłu Metalowego i Elektrotechnicznego w Warszawie, gdzie największą atrakcją był dział radiowy. Szeroko zakreśloną linię posiadały wystawy: ogólnopolska, zorganizowana w Bydgoszczy przez Zarząd Miasta, Polskie Radio i Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju, dalej w Krakowie i w Wilnie również przy poparciu S. K. R. K., oraz wystawa radiowa w Łodzi; poza tym organizowane były wystawy radiowe w ramach Dni Propagandy Radia w Sierpcu, Kaliszu itd. Często również radiofonia polska reprezentowana była na wielkich imprezach wystawowych, jak Targi Wschodnie, Poznańskie, Wołyńskie, Wileńskie itp. w celu zorientowania publiczności w pracy Polskiego Radia i pokazania rezultatów tej pracy oraz propagandy haseł przyświecających akcji radiofonizacji kraju. Pawilony Polskiego Radia wznoszone były również na forum zagranicznym, jak to miało miejsce w roku 1935 na Światowej Wystawie w Stanach Zjednoczonych w Chicago oraz w r. 1937 na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu.

Imprezy te posiadały do tej pory charakter ogólnej propagandy radiofonii. — W roku bieżącym po raz pierwszy organizowana jest wystawa o charakterze dorocznego jesiennego salonu, która poza działem czysto przemysłowym produkcji radiowej, przyciągałaby publiczność atrakcyjnymi eksponatami z dziedziny pracy mikrofonowej i jej kulis, krótkofalarstwa, oraz najprzeróżniejszych wynalazków, które znalazły zastosowanie w radiofonii.

Termin otwarcia ogólnokrajowej dorocznej Wystawy Radiowej wyznaczony został na dzień sierpnia.

Udział w wystawie wezmą wszystkie najpoważniejsze firmy, przemysłu radiotechnicznego dla wykazania, udostępnienia i spopularyzowania wśród zwiedzających pełnego dorobku przemysłu radiowego. Doroczna Wystawa Radiowa będzie niejako rewią najnowocześniejszych zdobyczy i osiągnięć w tej dziedzinie. Bardzo liczne zgłoszenia, napływające z całego kraju, pozwalają przypuszczać, że Wystawa przekroczy zakreślone jej ramy.

Miarą jej powodzenia jest ponadto wielka liczba organizowanych pociągów popularnych z całego kraju, oraz zgłoszenie wycieczek szkolnych z wielu kuratoriów.

Atrakcyjność Wystawy zapewniona została przede wszystkim przez wybudowanie urządzeń technicznych, oraz czynnego studia Polskiego Radia, o bogatym programie, co umożliwi gościom z odległych nieraz krańców Polski zapoznanie się z kulisami audycji radiowych.

Poza tym na terenie Wystawy odbędzie się wiele imprez o szerszym znaczeniu, jak np.: Pierwsze Ogólnopolskie Mistrzostwa w nadawaniu i odbiorze znaków Morse'a oraz Konkurs na wynalazczość z dziedziny radiotechniki.

Wystawa, która trwać będzie do dnia 11 września, br., otrzyma odpowiednio bogate ramy w gmachu polskiej YMCA przy ul. Konopnickiej 6 w Warszawie.

Doroczna Wystawa Radiowa musi się stać poważnym środkiem popularyzującym i propagującym radiofonię.

Doroczna Wystawa Radiowa.

Z dniem 25 sierpnia br. otworzyła po raz pierwszy w Warszawie swe podwoje Doroczna Wystawa Radiowa. Organizowana przez Polskie Radio wespół z szeregiem instytucji oraz krajowym przemysłem radiotechnicznym — wystawa ta ma za zadanie stworzyć stałą instytucję propagandy radiofonii, rozwoju radiotechniki oraz przemysłu radiotechnicznego.

Doceniając znaczenie Dorocznej Wystawy Radiowej dla życia gospodarczego kraju, protektorat nad nią objął minister przemysłu i handlu Antoni Roman oraz minister poczt i telegrafów Emil Kaliński.

Na terenie gmachu Y. M. C. A. w Warszawie przy ul. Konopnickiej 6, wre już go-

rączkowa praca przygotowawcza, celem przygotowania trzech pięter wielkiego gmachu pod tereny wystawowe. Wystawa odbędzie się w czasie od 25 sierpnia do 11 września br., w którym to okresie czasu na terenie wystawy odbędzie się szereg ciekawych imprez propagandowych.

Co zobaczymy na D. W. R.

Doroczna Wystawa Radiowa obejmować będzie przede wszystkim dwie wielkie sale przemysłu radiowego i pomocniczego. Jednocześnie z prezentacją wieloletniego dorobku naszego przemysłu radiotechnicznego, zobrazowane zostaną najciekawsze fazy produkcji odbiorników i lamp katodowych.

Specjalną ciekawość obudzi z pewnością stoiskoPolskiego Radia, obrazując w sposób syntetyczny stan zradiofonizowania kraju, rozbudowy sieci nadawczej, pracy popularyzacyjnej oraz łączności z radiosłuchaczami.

Drugie piętro wystawy obejmować będzie dział dydaktyczny. Znajdzie tu pomieszczenie ciekawe muzeum radiowe, ilustrujące rozwój radiotechniki, dział wynalazków, dział radiokomunikacji morskiej, lądowej i lotniczej. Na tym samym piętrze znajdzie się sala radia amatorów i krótkofalowców. Czynne stacje krótkofalowe stanowić będą zapewne jeden z atrakcyjnych momentów tego działu wystawy.

Schodząc o dwa piętra niżej wkraczamy do studia wystawowego Polskiego Radia, gdzie równocześnie zainstalowana będzie amplifikatornia radiowa odsłaniająca tajniki kulis radiowych.

Imprezy na D. W. R.

Ze studia wystawowego, mieszczącego się w pięknej sali gmachu Y. M. C. A., zostanie nadane około 50-ciu audycji rozrywkowych. Poza tym z terenu wystawy Polskie Radio transmitować będzie szereg imprez sportowych i rozrywkowych. Wymienić tu już można (uchylając rąbka tajemnicy) radiową rewię gwiazd sportowych, zawody pływackie na miejscowym basenie, wreszcie szereg innych imprez rozrywkowych. Nie zależnie od codziennych transmisji radiowych, nadawanych na całą Polskę, na wystawie funkcjonować będzie stale kino, wyświetlające najnowsze kroniki filmowe oraz szereg specjalnych filmów, nie oglądanych dotychczas w stolicy.

W związku z wystawą zorganizowane będą ponadto dwie wielkie imprezy dla świata radioamatorów. Pierwszą z nich będzie konkurs wynalazków, którego wyróżnione prace zostaną wystawione na D. W. R. Poza tym po raz pierwszy w Polsce odbędą się wielkie zawody o mistrzostwo w nadawaniu i odbiorze znaków Morse'a.

Jednocześnie na D. W. R. ujrzymy po raz pierwszy w Polsce szklane skrzypce radiowe i specjalne przyrządy elektro-muzyczne wynalazku profesora Teremina.

Specjalne ulgi kolejowe dla zwiedzających wystawę oraz szereg pociągów popularnych umożliwi zwiedzenie dorocznej wystawy radiowej mieszkańcom najodleglejszych zakątków naszego kraju.

Gmach Polskiego Radia w Warszawie.

Plan inwestycyjny Polskiego Radia przewiduje nie tylko wzmocnienie większości stacji regionalnych, ale również zaopatrzenie wszystkich miast, posiadających stacje nadawcze, w specjalne gmachy, przeznaczone dla celów radiofonii.

Dotychczas nowy piękny gmach uzyskały Katowice, powiększony został również gmach stacji nadawczej w Krakowie, a własne gmachy Rozgłośni Łódzkiej i Baranowickiej są już na ukończeniu. Obecnie rozpocznie się budowa nowych siedzib rozgłośni w Łucku, Lwowie i Poznaniu, oraz zatwierdzono plan nowego gmachu Centrali Polskiego Radia w Warszawie.

Już w roku 1936 opracowano plan ideowy gmachu, mający na celu wytyczenie warunków i wymagań technicznych, programowych i ogólno-organizacyjnych, które Polskie Radio uważało za konieczne postawić architektom, biorącym udział w konkursie na gmach Polskiego Radia w Warszawie. Do warunków tych dołączono również wymagania urbanistyczne, obowiązujące nową dzielnicę Marszałka Piłsudskiego, gdyż Centrala P. R. mieścić się będzie przy zbiegu ulicy Puławskiej i projektowanej ulicy Batorego, w bliskości Placu Unii Lubelskiej.

Po zakończeniu prac wstępnych Polskie Radio za pośrednictwem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Architektów R. P. ogłosiło w roku ubiegłym konkurs ograniczony na gmach Polskiego Radia w Warszawie.

Nadesłane do konkursu w liczbie pięciu projekty, stały na ogół na bardzo wysokim poziomie i świadczyły o wielkim wysiłku twórczym architektów. W myśl uchwały jury, a następnie uchwały Komitetu Budowy, Polskie Radio postanowiło po odpowiednim przepracowaniu realizować projekt prof. B. Pniewskiego.

Ogólna powierzchnia zabudowy wyniesie ca 5.000 m², ogólna kubatura projektowanego gmachu ca 133.000 m³. Najwyższą częścią gmachu będzie wieża o 22 piętrach, która obejmie pomieszczenia telewizyjne, biura Dyrekcji Naczelnej i Sekretariatu Generalnego, Głównej Dyrekcji Programowej, Dyrekcji Administracyjnej, oraz Warszawskiej Dyrekcji Programowej. Wieża ta sytuowana będzie na osi ul. Puławskiej oraz na osi jezdni ul. Batorego.

Blok studiów, którego poziomy układ z tarasowym rozwinięciem schodów po obu stronach ściany sali koncertowej, kontrastuje z pionem wieży — znajduje się na osi zieleńca ulicy Batorego, przy czym architektura schodów pomyślana jest jako zakończenie zieleńca.

Od ulicy nowoprojektowanej, równolegle do wieży wznosi się blok techniczny.

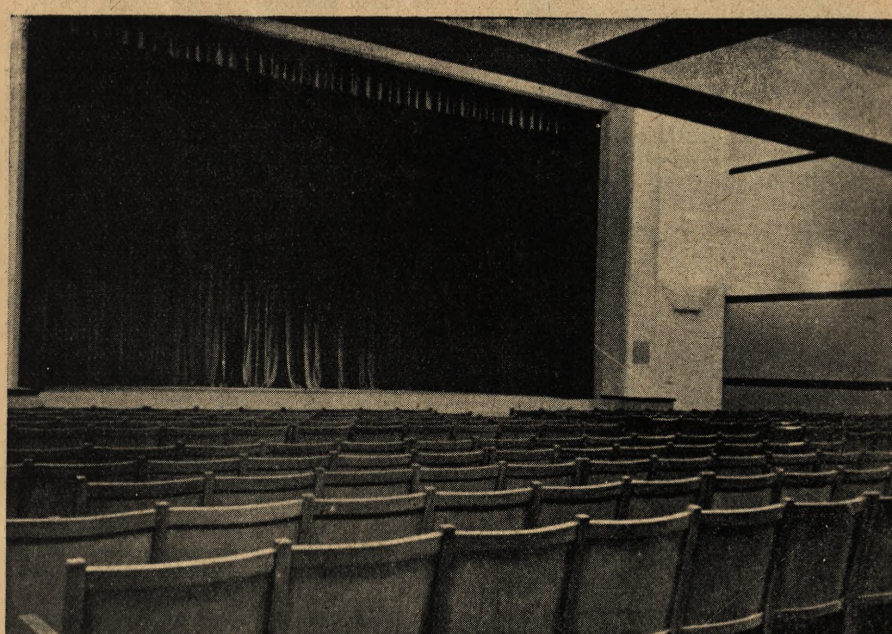
Te trzy bloki: biur, studiów i lokalów technicznych połączone są blokiem poprzecznym.

Blok studiów otacza w odległości 4 metrów od budynku fosa głębokości 1,5 metra; fosa otoczona jest balustradą kamienną, stanowiącą ogrodzenie studiów. W projekcie przewiduje się, że na tarasowych dachach budynku studiów założone będą ogrody, stanowiące całość z ogrodem, położonym wokół budynku. Najwyższe dachy mogłyby być zużytkowane na koncerty na otwartym powietrzu. Równocześnie ogrody tarasowe mogą być momentem atrakcyjnym dla kawiarni, znajdującej się w gmachu studiów przy wejściu od zieleńca ulicy Batorego. Przewiduje się transmitowanie z kawiarni koncertów muzyki lekkiej.

W nowym gmachu przewidziane są 24 studia: duża sala koncertowa, przeznaczona dla koncertów symfonicznych, wielkiej orkiestry, dla chórów, uroczystości radiowych itd. Może ono pomieścić jednocześnie 120 osób orkiestry symfonicznej, 100 osób chóru i 500 osób publiczności; poza tym przewidziane są 2 studia muzyczne dla średnich zespołów koncertowych do 80 osób; trzy studia dla zespołów kameralnych; studia literackie, jedno duże i 6 mniejszych; oddzielne studio dla audycji dziecięcych oraz 10 studiów małych dla wygłaszania odczytów i nadawania płyt gramofonowych.

Przy studiach muzycznych i literackich mieszczą się pokoje reżyserskie.

Studia zaprojektowano na dwóch poziomach. Są one podzielone pomieszczeniami pomocniczymi, jak pomieszczenia techniczne, poczekalnie, halle, korytarze, przechowalnie instrumentów, biblioteka nut, płytoteka, pokoje solistów itd. W studiach, jako zasadę konstrukcyjną przeprowadzono



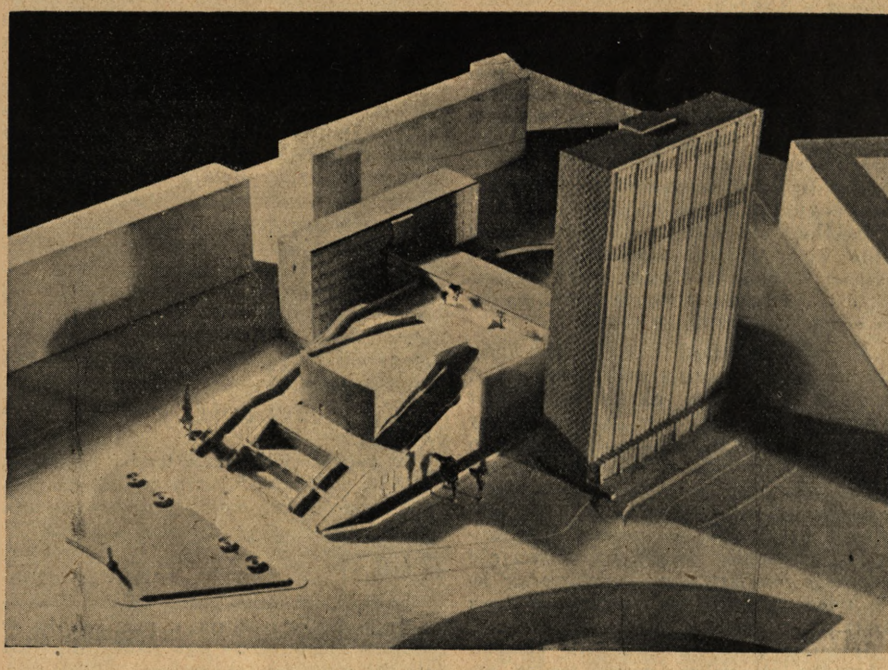
Studio radiowe Polskiego Radia na Wystawie D. W. R. w stanie przygotowawczym.

podtrzymanie środkowe, stropy grzybkowe; w ten sposób ściany studiów okalające, izolowane, stoją na płycie stropowej, która jest rozcięta dylatacją między studiami. W miejscu rozcięcia stoją samodzielne słupy, podtrzymujące dach nad studiami, który z kolei nie łączy się ze ścianami i konstrukcją samych studiów.

W gmachu studiów, mniej więcej po środku, mieści się kontrola centralna, mająca za zadanie wymodulowanie programu przed daniem go na linię wyjściową; mieści się ona w dużej sali, gdzie znajdują się wzmacniacze do każdego zespołu mikrofonowego (studia). Przy sali kontroli znajduje się sześć małych pokoi kontrolnych, oddzielonych od niej szklaną ścianą. Pokoje te służą do kontroli programów, wychodzących na zewnątrz i kontroli transmisji zewnętrznych. Obok kontroli centralnej, w przejściu do bloku technicznego, mieści się centralna rozdzielnia, gdzie na podstawie meldunków, napływających ze studiów i linii miejskich, międzymiastowych i międzynarodowych odbywa się rozdział programów.

Pięciopiętrowy blok techniczny zawiera biura dyrekcji technicznej, laboratoria, pomieszczenia do nagrywań itd. Poza tym lokal klubowy pracowników Polskiego Radia z oddzielnym wejściem oraz mieszkania służbowe. W podziemiach przewidziano pomieszczenie dla zespołu energetycznego, w skład którego wchodzą urządzenia zasilające: instalacja świetlna, zespoły wzmiankowe studiów, napędowe silniki elektryczne, oraz oddzielne maszyny, przeznaczone do zasilania nadajnika telewizyjnego; dla instalacji klimatyzacyjnej i ogrzewniczej; dla archiwum, schronów, szatni, składów, garaży itp.

Konstrukcja wieży i podziemi zaprojektowana jest w żelbecie na palach Franki. Blok studiów, blok techniczny zaprojektowane są również w żelbecie, przy czym ściany studiów i ściany izolacyjne, opalające — z cegły, a wyłożenia ścian z materiałów izolacyjnych. Podcienia okalające blok studiów przy poczekalniach i holach oddzielone są ściankami ażurowymi, kamiennymi o dużych prześwitach. Utworzone galerie w porze letniej są przedłużeniem poczekalni, zabezpieczają jednocześnie budynek studiów od hałasów ulicznych.



Ogólny widok projektu prof. B. Pniewskiego na gmach Polskiego Radia. Zdjęcie z lotu ptaka. Na pierwszy plan wybija się środkowa część gmachu przeznaczona na studia.

LAMPY I ODBIORNIKI RADIOWE MUSZĄ BYĆ TAŃSZE

oświadcza dyrektor naczelny Polskiego Radia.

Na ostatniej konferencji prasowej, jaka miała miejsce w Polskim Radio, naczelny dyrektor, informując zebranych o ostatnich poczynaniach naszej radiofonii poruszył między innymi nader ważne zagadnienie drożyzny sprzętu rodiotechnicznego w Polsce.

„...Przejmując Polskie Radio przed trzema laty z jego 400.000 abonentów, jako pierwsze zadanie postawiliśmy sobie radiofonizację kraju, przez jak najszybsze udostępnienie tego coraz potężniejszego środka rozpowszechniania nauki, sztuki i kultury narodowej wszystkim warstwom społeczeństwa polskiego. W pracy tej, doznając licznych dowodów współdziałania ze strony władz, czynników społecznych i prasy, napotykaliśmy również na wiele przeszkód i trudności, zwłaszcza ze strony tych, którzy radiofonii nie znają, lub jej nie rozumieją, czy też nie chcą zrozumieć celów przyświecających naszym poczynaniom. Mimo to osiągnęliśmy poważne rezultaty, jeśli liczba abonentów w dniu 1 maja br. przekroczyła cyfrę 930.000.

„Dziś znajdujemy się w Europie na ósmym miejscu, za Niemcami, Anglią, Francją — a niestety — także za Belgią, Holandią, Szwecją i Czechosłowacją, ale przed Włochami, Danią, Austrią, która nas nie tak dawno jeszcze wyprzedzały. Krok tylko dzieli nas od tej grupy radiofonii, które swych słuchaczy liczą już nie na tysiące, lecz na miliony. Wobec znacznie większego przyrostu abonentów u nas niż w innych krajach, prawdopodobnie jednak w najbliższych 2—3 latach wysuniemy się na czwarte miejsce po Niemczech, Anglii i Francji.

„Jeśli chodzi o miasta, to Polskie Radio ze swymi 570.000 słuchaczami miejskimi niedaleko odbiega od innych państw Europy. Gorzej przedstawia się sprawa radiofonizacji wsi, gdzie kryzys w rolnictwie z jednej strony, a słaby stan elektryfikacji kraju z drugiej, poważnie opóźnił proces przyrostu radiosłuchaczy. Jednakże i pod tym względem postęp jest znaczny. W roku 1935 mieliśmy niewiele więcej ponad 50.000 abonentów wiejskich — dziś jest ich z górą 350.000.

„Przystępując do powszechnej radiofonizacji kraju zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w pierwszej linii zależy ona od masowej produkcji taniego odbiornika popularnego. Weszliśmy w kontakt z przemysłem i użyliśmy wszelkich argumentów, by rozwiązać pozytywnie to ważne zagadnienie. Na tym polu — niestety — nie możemy poszczycić się większymi sukcesami. Mimo pewnej nieznacznej obniżki ceny odbiorników, popularnego aparatu dotąd nie mamy. Przyczyną jest tu drożyzna lamp katodowych, które produkowane u nas przez jedną z firm zagranicznych, należącą do kartelu międzynarodowego, a więc bezkonkurencyjną, nie mają tendencji zniżkowej.

„W ten sposób powstała ślepa uliczka, która nie pozwala zagadnieniu powszechnej radiofonizacji kraju wypłynąć na wolną od wszelkich zapór, szeroką i jasno wytkniętą drogę. Ten anormalny i szkodliwy dla najwyższych interesów państwowych, narodowych i społecznych stan, musi być zlikwidowany i to już w najbliższej przyszłości. Skartelizowane przedsiębiorstwa produkujące lampy radiowe muszą zrozumieć, że utrzymanie dotychczasowego poziomu cen za lampy jest niemożliwe i że spotka się ze zdecydowaną akcją tych czynników, które w tych sprawach mają do powiedzenia ostatnie słowo.

„Problem potanienia lamp radiowych wyszedł już z fazy rozmów prywatnych i stał się sprawą, o której się mówi publicznie. Pamiętamy interpelację sejmową w tej sprawie, oraz odpowiedź p. ministra poczt i telegrafów, który stwierdził, że *„docenia wagę zagadnienia i pozostaje w tym kierunku w ścisłym kontakcie w p. ministrem przemysłu i handlu"*.

„Jest rzeczą charakterystyczną, że wbrew nieustępliwemu stanowisku wielkich firm, małe wytwórnie radiotechniczne zwracają się same do Polskiego Radia z gotowością produkcji tanich odbiorników ludowych, warunkując to jednak koniecznością obniżki ceny lamp.

„Radio jest zbyt ważnym instrumentem w organizacji współczesnego państwa, by mogło w swoim rozwoju natrafiać na przeszkody ze strony przemysłu prywatnego, nie liczącego się, jak widać z dotychczasowej praktyki, z postulatami o podkładzie społecznym, a broniącego wytrwale swoich nadmiernych zysków".

FILM

„Patrol na pustyni”, wyświetlany w Stylowym, jest filmem stanowczo nie przeciętnym. Nie ma on nic wspólnego z filmami w rodzaju słynnego „Szeika” czy „Marokko”, w których pustynia stanowiła raczej tło efektowne dla mniej więcej zręcznej anegdoty romantycznej. Przypomina raczej takie filmy, jak „Braterstwo broni” lub „Bengali”, będące apoteozą żołnierskiego bohaterstwa. Pustynię pokazano nam tu autentyczną z jej bezbrzeżnością piaszczystych przestrzeni, z jej tajemniczą grozą — owocem dzikości przyrody i ludzi. Patrol angielski, broniący do upadłego małej oazy wśród piasków Mezopotamii, to ciekawy zespół ludzi, mimo munduru, świetnie zindywidualizowanych, w których jednak dominuje karność i zuchowatość żołnierska. Najdzielniejszy jest sierżant, dowodzący patrolem — Mc Laglen. Ale i inne sylwetki tchną prawdą życiową — żeby tylko wskazać fanatyka religijnego w odtworzeniu Borysa Karloffa czy lekkomyślnego obieżyświata w kreacji Reginalda Denny.

Niebanalną treść ma również film „Paramatta” — przedstawiający kolonię karną, kobiecą w Australii.

Dostaje się do niej słynna aktorka za sfałszowanie czeku. W Sidney spotyka się ze swym ukochanym, który odbywa tam służbę oficerską. Jest to właściwy sprawca jej nieszczęścia, ponieważ to on dopuścił się fałszerstwa. Aktorka kocha jednak tak niegodziwca, iż nie wydaje go, mimo że okazuje się on niewdzięcznikiem i poślubia inną, bogatszą i bardziej wpływową.

Naczelną rolę kreuje wybijająca się na czoło kinematografii niemieckiej Isarach Leander — aktorka o nieprzeciętnej aparacji, dziś już swoim talentem zbliżająca się do wyżyn kunsztu Grety Garbo.

„Kapitan Mollenard” jest filmem, który stoi na naczelnej postaci w odtworzeniu Harry Baura, jednego z najtęższych tragików ekranu. Wkłada on cały swój znakomity talent w narysowanie bajecznie charakterystycznej postaci wilka morskiego, który nie może wytrzymać w dusznej atmosferze szczurów lądowych. Konflikt tych dwu moralności początkowo ma posmak kryminalny, by następnie przejść na płaszczyznę ciekawego rozwiązania psychologicznego, jakie tylko potrafi dać mistrzowska gra Baura.

Robinson należy do kategorii aktorów z brzydką, ale ciekawą maską twarzy, podobnie, jak wspomniany wyżej Baur, jak amerykańscy aktorzy Mc Laglen, Wallace Beary. Twarze ich wyrażają charakterystyczną i sympatyczną pospolitość, są żywe, ruchliwe, potrafią oddawać szeroką skalę wrażeń i wzruszeń ludzkich i reprezentują typowego szarego człowieka. Ostatnio na warszawskich ekranach mieliśmy sposobność oglądać dwa obrazy z Robinsonem. Jeden i drugi osnute na tle tego samego środowiska powiedzmy przezornie sportowo-gangsterskiego. W pierwszym filmie pt. „Kid Galahad” przedstawiony został, jako menażer bokserski. Człowiek twardy bardzo, a przecież o czułym sercu, kochający matkę, dbały o dobre wychowanie i reputację siostry. Śmierć jego w walce o słuszną sprawę jest dramatyczna i Robinson umiał to pokazać.

W drugim filmie — stuprocentowej komedii — pt. „Nawrócony grzesznik” Robinson ukazał nam znów w dość sympatycznej sytuacji gangstera, który zrywa ze swą przeszłością. Wynikają z tego liczne powikłania, które amerykańscy twórcy „dowcipów filmowych” tzw. gagmani sypią rzeczywiście jak z rękawa.

Robinson znów występuje tu, jako człowiek z sercem. Jego powrót na drogę uczciwości podyktowany jest miłością do córki.

Poprzednio, wyświetlany w „Paladium” film „Milioner na tydzień” jest jeszcze jedną i to świetnie udałą próbą powiązania na filmie komedii z rewią. Zadziwia w tego rodzaju utworach filmowych zręczność w układaniu anegdoty, zawsze błyskotliwie dowcipnej.

W „Romie” pokazano nam 2 interesujące filmy. Jeden pt. „Chłopcy z Tyrolu”, jako główną atrakcję miał chór młodych rorantystów wiedeńskich, niezwykle harmonijny zespół śpiewaczy, chłopięcy, zachwycający nas zarówno doborem repertuaru, jak i szlachetnością wykonania. Anegdotka o miłości nauczyciela do młodej dziewczyny, okraszona mocnymi i wzruszającymi scenami, dobrze wiąże się z całością filmu, pełnego pogody i optymizmu.

Drugi film w „Romie” pt. „Maski dra Blakenville”, osnuty został na nieśmiertelnym zaiste temacie rewolucji francuskiej, temacie pozwalającym zademonstrować wszystkie okropności owych przełomowych czasów, potworności ludzkiej natury i na tym tle nakreślić parę pastelowych słodkich sylwetek. Nad całością utworu dominuje styl romantyczny Dumasa, bez którego jednak nie potrafimy sobie wyobrazić tamtych czasów, kiedy śpiewano karmaniolę i atakowano Bastylię. Była w tym groza. Groza zręcznie zresztą wykorzystana dla najrozmaitszych ciemnych, a korzystnych afer. Powiadają historycy, że głównym podżegaczem zburzenia Bastylii był pewien przedsiębiorca budowlany, który chciał na tej aferze dobrze zarobić, no i rzeczywiście „gniew ludu” świetnie zdyskontował, dostając materiał z rozbiórki tej rzekomej twierdzy ucisku — po prostu za bezcen.

Taką to bywa prawda o różnych rewolucjach.

W każdym bądź razie trzeba stwierdzić, że film w „Romie” jest naprawdę interesujący i daje szereg mocnych przeżyć. *cki.*

TEATR

Bałucki, schodzący ongiś ze sceny świata w desperackim nastroju, w przekonaniu, że nikomu niepotrzebna jego sztuka, doczekał się jej renesansu za grobem.

Co prawda jeszcze za życia zdania o jego twórczości były podzielone. Obok krytycznych i wprost napastliwych uwag Chmielowski uważał, że Bałucki jest „jednym z najlepszych współczesnych powieściopisarzy i komediopisarzy naszych”. Tarnowski zaliczał „Grube ryby” do prób w „rozmiarach wyższych i w założeniach trudniejszych”, a Feldman uważał, że utwór ten posiada „swój styl, który w odpowiedniej reżyserii... może być historycznym”.

Niewątpliwie takiego awansu nie są godne „Gęsi i gąski” niedawno wystawione na scenie T. Narodowego. W każdym bądź razie dają ciekawą perspektywę na twórczość Bałuckiego, z jej naczelną dominantą podśmiewywaniem się z inteligenckiego snobizmu. Głównym celem ataków jest tu w tej komedii gęś, przyprawiona po parysku, ciocia Belcia, snobizująca się zdobyczami francuskiej kultury świata, a trochę i półświatka. Świetne wcielenie tej postaci dała Ćwiklińska. Doskonałym jej szwagrem, hreczkosiejem, okazał się Zelwerowicz, jednocześnie reżyser widowiska, a od jesieni dyrektor T. Narodowego.

„Cyganeria” Murgerowska należy do jednego z tych dzieł sztuki scenicznej, które zawsze budzą żywy oddźwiek wśród szerokiej publiczności, widowiskowej. Los Minii, ginącej w nędzy, ale i w blasku wielkiej, romantycznej miłości nieodmiennie budzi wzruszenie wśród wielbicieli murgerowskiego stylu. Nie dziwmy się temu żywemu oddźwiękowi, gdyż Murger całe swe serce ulokował właśnie w świecie cyganerii artystycznej, stał się jego epikiem i chwalcą.

Świat zresztą tej cyganerii wyłonił się dopiero od niedawna wraz z powstającą demokracją. Świat nędzy materialnej, ale jednocześnie bogactwa duchowego. Ta cyganeria zachowała przy tym swój styl życia i doprowadziła go nieomal do perfekcji. Życie na kredyt, ale w atmosferze chmurnej i górnej Helikonu — oto co okazało się wieczne. Przykładem tego „kredytowania” może służyć przygoda pewnego utalentowanego muzyka warszawskiego, który ongiś ofiarowawszy się odprowadzić z rautu obecnego Papieża, wówczas nuncjusza apostolskiego, zdołał go w ciągu krótkiej drogi do domu naciągnąć na 5 złociszów. Cóż by powiedział Murger na taki popis cygańskiej przedsiębiorczości? Na pewno nie byłby zasmucony.

Tę atmosferę artyzmu i wesołego „cygaństwa” pokazał nam T. Polski w całym blasku „mise en scene”.

Amerykańska sztuka „By rozum był przy młodości”, wystawiona w T. Kameralnym, ma kilka interesujących komediowych point.

Ciekawe jest przede wszystkim jej założenie, że mężczyzna nawet sześćdziesięcioletni potrafi wzbudzić miłość w kobiecie, o ile zdobi go rozum, i że ta jego mądrość odniesie zwycięstwo nad bezmyślną, choć zdrową i urodziwą młodością.

Zdrowie i urok młodości ma również pewien w sobie cynizm, który razi wrażliwsze dusze. I dlatego nie dziwimy się, że pani Linda, doskonale zarysowana psychologicznie przez Grzywińską, zrywa z wysportowanym Dickiem, by pozostać już na zawsze przy bogato wyposażonym umysłowo komediopisarzu panu G. (Adwentowicz przedziwnie uchwycił komediowy ton tej postaci).

W T. Nowym prześwietny „Dar poranka” zluzował na krótko scenę dla „Serca” Bernsteina.

W T. Malickiej pokazano nam miłosny karambol „W perfumerii”, gdzie jako narzędzia do wyrównywania porachunków służą pomadki do ust i fontanny perfumów z pulweryzatora. Autor pokazał nam zabawną parę kłótliwych kochanków, którzy do zapamiętania spierają się, gdy są razem, a wymieniają czułą korespondencję, drukowaną obok siebie na łamach pewnego dziennika i oczywiście zachwycają się nią w cichości ducha.

Dobry to pomysł, budzący salwy śmiechu na widowni, doskonale bawiącej się na tej zabawnej sztuce.

„Kochanek to ja” Niewiarowicza, wystawiony w T. Nowym, jest wcale zreczną komediofarsą. Jej podstawę stanowi klasyczna dla tego rodzaju utworów mistyfikacja, którą krótko da się wyrazić: — mąż udaje kochanka własnej żony. Dlaczego, po co?

Przyczyna prosta: — Przed pięciu miesiącami małżonkowie, których kulisy pożycia odsłania nam sztuka — pokłócili się. Nie gadają ze sobą, nie jadają i co tam

dalej. Obie strony mają dosyć tego postu, ale ambicja nie pozwala żadnej przyznać się do tego i wyciągnąć pierwsza rękę do zgody.

Szanowny pan małżonek, uprzykrzywszy sobie zupełnie ten stan rzeczy, udaje, że wyjeżdża, lecz w nocy potajemnie zakrada się do buduaru swej żony, by nad ranem, jak cień, uciec. Następnie wraca „oficjalnie” z podróży i robi minę jakby nigdy nic. Wynikają jednak powikłania. Trzeba niedowierzającej żonie „pokazać” tego tajemniczego kochanka. Do podjęcia tej roli namawia mąż swego przyjaciela, Romcia, dość niezręcznego w sprawach serca, po cichu jednak uwielbiającego żonę swego kolegi. Ile stąd powstaje nieprawdopodobnie komicznych spięć, to już niech zobaczą i ocenią sami czytelnicy. Komedia w świetnym tercecie Lindorfówna — żona, przemile przekorna, Białoszczyński — mąż, chytrzec przechytrzony i Wesołowski — przyjaciel-gamajda — tętni życiem i naturalną „vis comica”.

„On i jego sobowtór” Hennequina w przeróbce K. Schuberta opiera się na podobnym w gruncie rzeczy założeniu co „Kochanek to ja” i tytuł jej mógłby brzmieć „Sobowtór — to ja!”

Tym razem jest mąż trzpiotowaty — delikatnie mówiąc, żeby nie powiedzieć wiarołomny — który chce stworzyć alibi dla swych eskapad. Zabrnął jednak biedaczek tak daleko, że musi się zjawić we własnym domu jako sobowtór, aby utrzymać wersję o jego istnieniu.

Śliwiński, trzeba przyznać, z inż. Kręckiego stworzył tak kapitalnego sobowtóra-Ogórkiewicza, że „rodzona żona” nie byłaby w stanie poznać. Ale farsa nie byłaby farsą, gdyby ta mistyfikacja nie została zdemaskowana. Przyczynia się do tego znów przyjaciel męża, wcielony fajtłapa — dr Hilary, odtworzony przez K. Schuberta.

Tyranizowany przez swą żonę chce na gwałt używać genialnych recept inż. Kręckiego i popełnia gaffę za gaffą, wsypując nie tylko siebie, ale i swego mistrza. Dlatego kawał z sobowtórem się nie udał. Farsa ma szereg przekomicznych scen, których kluczem jest chwila, gdy na scenie zjawia się sobowtór.

W Teatrze Kameralnym pokazano nam sztukę Birabeau „Zbyt liczna rodzina”, opartą na paradoksalnym, ale szczerze komediowym pomyśle. Autor zgromadził nam na scenie trzy damy, rozwiedzione żony jednego pacjenta, które niby kwoczki zaczynają rywalizować dokoła syna „swego” męża, pochodzącego z małżeństwa z nieżyjącą pierwszą żoną.

Reakcje młodego człowieka na te zabiegi trzech kobiet wcale młodych, które — podobno — były „żonami” jego ojca, dają moc materiału komicznego i poza tym ciekawy, wcale nawet głęboki przekrój przez obyczaje pewnych środowisk, o swoistej nieco moralności.

Główną rolę gra Z. Bilewicz, oraz Miedzińska, Relewicz-Ziembińska, Łopuszańska, Gozdecka, W. Ziembińska, Gliński i inni. Reżyseria spoczywa w młodych, ale już wytrawnych rękach Kr. Severin-Zelwerowiczowej. *cki.*

PIŚMIENNICTWO

Za granicą.

Latem zmniejsza się ruch na półkach księgarskich. Rzesze czytelników, wyjeżdżających na urlopy, zajęte są raczej myślą, w jaki sposób zażyć jak najwięcej ruchu i podnieść kondycję fizyczną swego ciała, aniżeli śledzeniem nowości literackich. Jeśli pomiędzy wysiłkiem sportu, czy podróży, pomiędzy bridżem, zwiedzaniem, posiłkami i czasem, przeznaczonym wyłącznie na spoczynek, znajdzie się jaka wolna chwila na lekturę — chwilę tę pragnie się najczęściej wypełnić lekturą lekką w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego wyrazu. Kierując się tym jednym życzeniem, wybiera się nierzadko książkę bez najmniejszego zastanowienia. Bo po głębszym namyśle mogłoby się okazać, że chwile takie potrafi bodaj najlepiej wypełnić powrót do jakiejś książki już raz przeczytanej, bliskiej nam z tych czy innych względów — której fragment najistotniej da się skojarzyć z pełnią przeżywanych wakacji. Poezja, w niezbyt wielkim będąca obecnie w Polsce poważaniu, może tu oddać nieocenione usługi. Krótki wiersz, stanowiący zamkniętą całość, łatwiej wsunąć w taką chwilę pomiędzy obsorbującymi czynnościami, niż urywek obszernej powieści. — Teraz jednak, kiedy z pewnością dla większości czytelników wakacje wraz z lekturą wakacyjną należą do przeszłości, warto sobie uprzytomnić, że okres letni nie był w dziedzinie piśmiennictwa zagranicznego zupełnym zastojem i przyniósł pewne wydawnictwa czy wydarzenia, o których wypada wspomnieć.



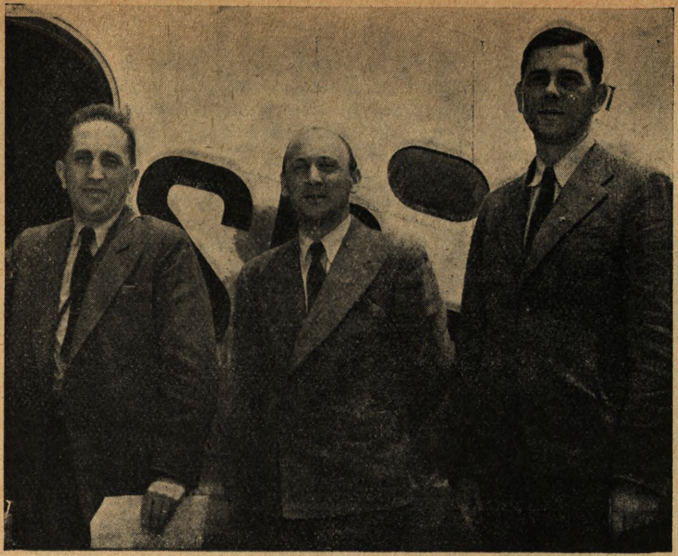
W ramach corocznych uroczystości jasnogórskich, w drugą rocznicę ogólnopolskich ślubowań, dnia 29 maja rb., o godz. 12 odbyło się poświęcenie figury Bogarodzicy, którą dla uczczenia faktu obioru Matki Bożej na Patronkę polskiej młodzieży akademickiej artystka-rzeźbiarka p. Zofia Trzcińska-Kamińska ofiarowała Politechnice Warszawskiej. — Ostatnio figura ta została odznaczona na wystawie dzieł religijnych w Budapeszcie zakupem do Zbiorów Galerii Miejskiej mniejszej reprodukcji tej samej kompozycji. — Figurę umieszczono w podwórzu Wydziału Architektury P. W. (wejście od ul. Lwowskiej) i tam też odbyła się uroczystość jej poświęcenia.

We *Francji* w początkach lipca powieściopisarz André Thérive i krytyk Yves Gandon obchodzili w gronie wspólnych przyjaciół podwójną uroczystość: jeden otrzymał rozetkę Legii Honorowej, a drugi wielką nagrodę krytyki za swą pracę, zatytułowaną *Demon stylu,* (ed. Plon). W książce tej analizuje on szczegółowo styl około dwudziestu pisarzy współczesnych. Przez analizę stylu dociera do tajników osobistości autorów, do wewnętrznej treści ich dzieła i wreszcie do samej istoty ich natchnienia. Można nie zawsze podzielać jego sądy, lecz na niektórych pisarzy, jak Claudel czy Francis Carco, rzuca on nowe i prawdziwie rozjaśniające światło. Książka jest owocem dużej pracy i w sposób ciekawy poucza o sztuce dobrego pisania, której posiadania przez Francuzów nie da się zaprzeczyć.

Nagrodę Akademii Francuskiej za najlepsze tłumaczenie *(Prix Langlois 1938)* otrzymała księżna Sixte de Bourbon za książkę Roberta Hichensa *Na ekranie (Sur l'Ecran,* Editions de France). Przykro mi doprawdy zbyt często z mych felietonów o nowościach literackich za granicą wyciągać nauki moralne. Nie jest szlachetnie wobec czytelników, którym co innego się obiecywało, i udaremnia mój własny cel — bo zniechęca zamiast zachęcać do zagłębiania się w literaturę zagraniczną. Ale czy to nie ciekawe, że we Francji, zjadanej przez komunizm i wpływy żydowskie, najautentyczniejsza katolicka księżna nie powstydzi się książek tłumaczyć, podczas gdy w katolickiej Polsce gros tłumaczeń spoczywa w rękach żydowskich. Wiadoma rzecz, że na francuski łatwiej z angielskiego tłumaczyć niż na polski (— ja też wolę, wcale się z tym nie kryję —) ale czy tylko łatwe rzeczy robić warto? —

* * *

Specjalnie może z nadchodzącym rokiem szkolnym nabiera wartości dla rodziców i wychowawców niewielka książeczka Abbé G. Courtoisa, która ukazała się w lecie. Tytuł jej brzmi: *Pour réussir auprès des enfantes.* Autor odegrał niepośledną rolę w ruchach młodzieży katolickiej we Francji i książeczka ta zamyka w sobie jego długotrwałe doświadczenia. Wystarczy przytoczyć urywek, cytowany przez *Gringoire'a* (w lipcu br.), aby stwierdzić subtelność i wartość życiową uwag Abbé Courtois. „Zamiast mówić:

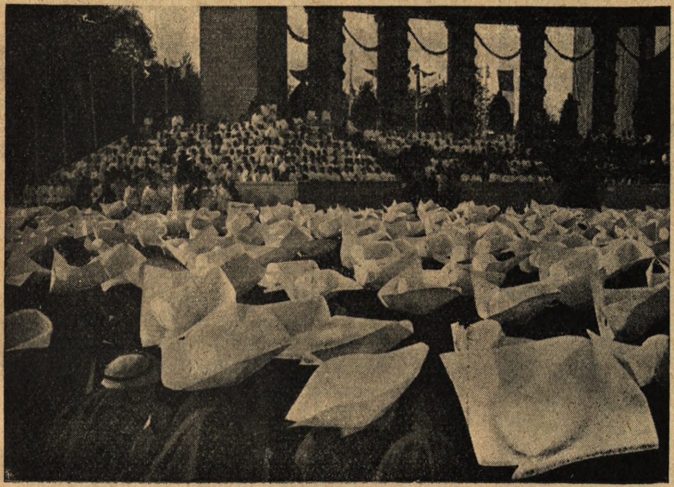


Major Makowski, Kazimierz Wysiekowski i W. Rzeczkowski, bohaterska załoga lotu przez Atlantyk.

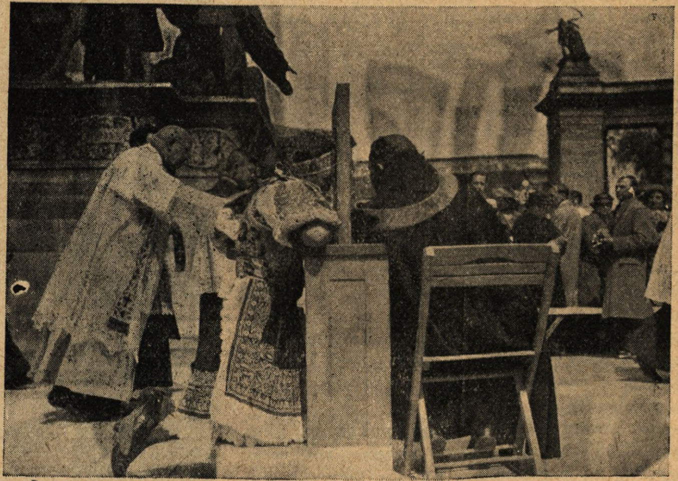


Uroczystości jubileuszowe indyjskiego maharadży.

Udział SS. Szarytek w nabożeństwie na Placu Bohaterów



W czasie kongresu eucharystycznego w Budapeszcie natłok do św. spowiedzi był tak wielki, że słuchano penitentów pod gołym niebem.



Z lewej strony: *Zmarła w lipcu br. królowa-matka rumuńska Maria.*

Z prawej strony: *Uroczysty orszak angielskiej pary królewskiej w pochodzie przez Most Zgody w Paryżu.*

Środkowa: *Samolot Hughesa po reparacji w Moskwie.*









Latawiec polski „Lockhed 14" przed startem z Los Angelos.



Mussolini rozpoczyna młockę z nowych zbiorów.

Statek polski „Iskra".



Hr. Roger Raczyński, ambasador polski w Rumunii składa wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza w Bukareszcie.



Z lewej strony: *Słynny lotnik amerykański Hughes, który dokonał niedawno rekordowego lotu naokoło świata.*

Z prawej strony: *Mussolini wita na dworcu rzymskim premiera węgierskiego p. Imredy'ego.*

Środkowa: *Ludność tubylcza wita króla Włoch i cesarza Abisynii na ziemi afrykańskiej.*







nie oszukujcie, powiedzcie: grajcie uczciwie. Zamiast mówić: bądźcie cicho, powiedzcie: bądźmy cicho, moi drodzy. W głębi duszy każdego dziecka tkwi ukryty heroizm, do którego trzeba się odwołać, aby mu dopomóc przejść samego siebie. Nie należy nigdy upokarzać dziecko, które było posłuszne; trzeba czynić dziecko swym współpracownikiem. Dziecko nie powinno robić wszystkiego, co zechce, postępujcie tak, aby chciało wszystkiego, co robi... itd., itd.".

Jedną z odwiecznych i nierozwikłanych tragedii duszy ludzkiej jest niewątpliwie tragedia Judasza. Ostatni żywot Judasza ukazał się we Francji tego lata, a napisał go Lanza del Vasto. (*Judas*, ed. Bernard Grasset). René Lalou (na łamach *Les Nouvelles Littéraires)* przeprowadza ciekawe porównanie pomiędzy tą książką, a przedstawieniem Judasza przez François Mauriaca w jego *Vie de Jésus* i monologiem, który w usta judaszowe wkłada Paul Claudel w swych *Figures et Paraboles.* Judasz Mauriaca jest „inteligentny, lecz krótkowzroczny" — Judasz Claudela jest wyrazem prymitywnego zdrowego rozsądku. Lanza del Vasto uczynił swego Judasza ośrodkiem kompletnej biografii — i genialnym dyletantem. Chciał on przedstawić Judasza jako człowieka o duszy nie jednego, lecz wielu ludzi. Jednakże w jego interpretacji uwypuklają się przede wszystkim dwa sprzeczne dążenia w osobowości Judaszowej. Z jednej strony widzimy sceptyka intelektualnego, który w nic nie wierzy i wyprzedza wszelkie herezje. Z drugiej — Judasz w działaniu kieruje się wyłącznie uczuciem. Lanza del Vasto opowiada dzieje Judasza pięknym, trochę archaizującym językiem i umiejętnie wiąże liryzm, tragizm i ironię.

Z Anglii warto zanotować, że duchowny anglikański, dr James Moffatt, poświęcił ostatnio całą książkę na komentowanie I-go listu św. Pawła do Koryntian. Książka ta spotkała się z dużym zainteresowaniem w prasie i wśród publiczności.
Niestrudzony Sir Hugh Walpole wydał w lipcu nową powieść, zatytułowaną *The Joyful Delaneys*, wyd. Macmillan.), którą sam jeszcze przed jej ukazaniem się określił, jako „najszczęśliwszą" ze swych powieści.

Tych, którzy pamiętają swe młodzieńcze zamiłowanie do książek podróżniczych i przejmujący dreszcz na zetknięcie się z opisem tajemniczych niezbadanych zakątków kuli ziemskiej, powinna zaciekawić wiadomość, że wyszła w lecie spod pióra Galbraith Welcha opowieść o pierwszym, Europejczyku, który dotarł do Timbuktu, serca Afryki. Był nim René Caillié. Przez długie lata nikomu nie udało się pójść w jego ślady. W roku bieżącym upływa sto lat od jego śmierci.

Oryginalną książką jest *Czerwonoskóre Interludium* Mrs Clare Sheridan. Autorka jest rzeźbiarką. Pojechała do Ameryki, dowiedziawszy się o przebywającej w Rocky Mountains kolonii artystów, którym czerwonoskórzy służą za modele. Clare Sheridan udało się nie tylko przywieźć ze sobą z powrotem sporo cennych rzeźb. Udało się jej prawdziwie poznać życie Indian — korzystała bowiem nawet z gościnności naczelnika jednego ze szczepów. Wróciła do Europy z godnością członka szczepu czerwonoskórych! Zresztą ma ona szczególny sposób podejścia, który ułatwia jej życie się z egzotycznymi plemionami, czego dowodem choćby jej dawniejszy pobyt na Saharze wśród Arabów. Tym razem jednak odniosła jeszcze większy sukces.

G. Bernard Shaw ciężko zachorował parę miesięcy temu, dzięki czemu był zmuszony przerwać pisanie swej nowej sztuki o Lidze Narodów, mającej zwać się po prostu *Genewa.* Podczas powrotu do zdrowia z początkiem lata oświadczył, że musi się śpieszyć, aby ukończyć sztukę przed 15-tym lipca. Jest to bowiem dzień jego urodzin, w którym skończy 82 lata. Ponieważ zaś wszystkie swe najlepsze sztuki napisał w nieparzystych latach swego życia, nieukończenie *Genewy* przed tą datą byłoby dla niej złym prognostykiem. Odkładanie zaś ukończenia sztuki na cały rok — może być, zważywszy na wiek autora, niebezpieczne. Czy ostatecznie G. B. S. dotrzymał swego postanowienia, niestety, nie mam jeszcze wiadomości...

M. Buyno.

W Polsce.

Młodość w niewoli Zuzanny Rabskiej (Państw. Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie) jest książką dla młodzieży, ale myślę, że właśnie czytelnikom starszego pokolenia nasunie ta opowieść wiele wspomnień z własnej młodości. Gehenna przymusowego nauczania w języku obcym może być zrozumiana i odczuta tylko przez tych, którzy pamiętają owe „zamierzchłe" czasy. Ostatnie dwudziestopięciolecie upłynęło pod znakiem wielkiej wojny, która zmieniła mapę Europy, a ze szkół naszych usunęła na zawsze mękę tajnego nauczania. Dzisiejsza młodzież w wieku szkolnym zbyt mało ceni sobie *szczęście*, za które jej dziadowie płacili często stratą wolności. „Kartki z pamiętnika uczennicy tajnej pensji za czasów Apuchtina — pisze Z. Rabska w krótkiej przedmowie — stanowią treść tej książki"...

„Młodość w niewoli" składa się z 14 obrazków o charakterystycznych tytułach: „Jak pierwsi chrześcijanie"..., „Tatiana Strogow"..., „Trzeciego Maja"..., „Rewizja"... Wystarczy przymknąć oczy i przypomnieć sobie własne dzieciństwo, lub sięgnąć myślą do opowiadań matki, czy babki: niejedna Tatiana Strogow, słodko uśmiechnięta, usiłowała nawiązać serdeczną nić sympatii z pensjonarkami, aby zajrzeć w głąb młodych duszyczek i wyciągnąć z nich tajemnicę, dotyczącą zakazanych zebrań, obchodów narodowych, albo tylko prywatnej lektury.

Bezpretensjonalna opowieść wznosi się niekiedy do wyżyn kunsztu pisarskiego, na przykład w rozdziale zatytułowanym „Panna Sabina". Opis starej nauczycielki, sybiraczki, której w końcu „pomieszał się rozum", jest naprawdę głęboko wzruszający.

Postać tę, kilku sztrychami narysowaną mocno i przekonywująco widzimy tak wyraźnie, że można sobie jeszcze dziś, przechodząc przez Saski Ogród, odtworzyć wstrząsającą scenę potajemnego nauczania.

Obraz czarno ubranej, obłąkanej staruszki, rysującej parasolką na piasku zdania z elementarza — jej przejmujący szept: „Czy ja ci robię co złego? Chcę cię nauczyć czytać..." pozostaje nam na długo w pamięci już po zamknięciu książki, w którą autorka umiała zakląć wierne odbicie lat niewoli, lat szczęściem już minionych.

Powieść ma jeszcze jedną dużą zaletę: pisana jest niewyszukaną, ale dobrą polszczyzną. Nie można tego powiedzieć, niestety, o bardzo wielu utworach beletrystycznych, od których aż uginają się „półki" księgarskie. Biorę pierwszy z brzegu tom, ciekawą skądinąd powieść E. Jędrkiewicza pt. *Droga z Martynowic* (Wyd. F. Hoesick). Dobrze nakreślone postacie, na przykład typy nauczycielek prowincjonalnych (Staniszewska i Chwacikowa) ciekawe konflikty psychologiczne, ale styl, niestety, pozostawia tu wiele do życzenia. Na str. 11 czytamy: ...„Zdecydował się i obszedł dom na stronę, skąd dolatywały gospodarskie brzęki i stukoty". „Aptekarz *dochodził* (sic!) już do niego, gdy nagle zwolnił kroku...". Zwłaszcza charakterystyczną jest ta ostatnia „forma" językowa: Jest to typowy judaizm, a raczej „żargonizm", przeflancowany do polskiej literatury wprost z kawiarni, gdzie żydki *dochodzą* do siebie, lub do telefonu, zamiast, jak Polacy, *podchodzić.* Należałoby dzwonić na alarm, nieustannie zwracając uwagę polskich powieściopisarzy, że beletrystyka jest najpopularniejszym rodzajem literackim, docierającym wszędzie, że jest ona w wielu wypadkach jedynym — po szkole — łącznikiem czytelników z mową polską. Zaśmiecenie stylu w gazetach codziennych i powieściach, które wszyscy wszędzie czytają — to wprowadzanie do mowy potocznej błędów językowych i ortograficznych, to niejako uprawomocnienie się takich zwrotów, jak: „wątpię w to" (zamiast: *o tym!)* lub: „widzieli wczoraj *tą* kobietę" (!). Nawet nowa pisownia, odznaczająca się często brakiem logiki i wybitną *niemuzykalnością*, na podobne *horrenda* nie pozwala.

Uwagi te dotyczą wielu książek, jakie ukazały się w ostatnich czasach. Zwłaszcza wydawnictwa „Roju" i F. Hoesicka odznaczają się niedbalstwem stylu, korekty, jak również karygodną niekiedy stroną graficzną. (Np. trafiają się na stronicach całe wiersze, drukowane innemi czcionkami. Trudno mieć pretensję do linotypu. To już sprawa wewnętrzna pomiędzy korektorem, a zecerem).

Tym radośniej powinniśmy powitać pojawienie się powieści p. Zofii Bohdanowiczowej. Jak już wiadomo Czytelnikom „Rodziny Polskiej", jest ona jedną z laureatek Jubileuszowego Konkursu wydawnictw św. Wojciecha. Obecnie ukazała się w wydaniu książkowym *„Droga do Daugiel"*. Świetny ten debiut pisarski stawia od razu p. Bohdanowiczową w rzędzie najcelniejszych piór regionalnych. Tak bowiem, jak przed laty bodaj dziesięciu Gustaw Morcinek dał nam poznać w beletrystyce Śląsk współczesny, tak *współcześnie* ujęła Bohdanowiczowa temat z innej rubieży Polski. Droga do Daugiel — to ten odcinek ziemi naszej, gdzie dwa plemiona, od wieków zbratane, żyły w zgodzie sąsiedzkiej, i gdzie od wielkiej wojny życie przybrało absurdalne formy nienawistnej obcości...

Dziwnie się składa, że nagrodzona opowieść znad granicy polsko-litewskiej wychodzi z druku w chwili, gdy ta granica, dzie-

łąca bratnie chaty sztucznie stworzonym „murem chińskim" — zaczyna znów ożywać. Może Bóg da, że dramatyczne dzieje kilku rodzin, zamieszkałych przy drodze do Daugiel — staną się wkrótce legendą minionych, złych lat, obcą ręką w historię tamtej ziemi wplecionych...

Można powiedzieć bez przesady, że książkę p. Bohdanowiczowej czyta się *jednym tchem*. Określenie takie nie zawsze świadczy o wysokim poziomie artystycznym utworu. Tutaj wszakże zespoliły się nader szczęśliwie różne cechy dodatnie. Powieść — mimo pozornie dosyć nikłej fabuły, jest interesująca od pierwszej kartki do ostatniej, *pomimo* że zawiera taką ilość opisów przyrody, iż można by ją nazwać *mówionym pejzażem*... Ale to jest właśnie najistotniejszą cechą talentu młodej laureatki. Umie ona *widzieć* krajobraz ukochanej przez siebie ziemi. Dla opisania go wynajduje słowa najdźwięczniejsze, połyskujące, pachnące i szumiące całym bogactwem borów, pól, łąk i wiatru nad wodami. Niekiedy autorka, rozkochana w pięknie ziemi litewskiej, zbyt już może misternie dobiera barw i spiętrza przymiotniki z uszczerbkiem dla najszlachetniejszej cechy dobrego stylu — dla prostoty. Myślę jednak, że gdy minie pierwszy okres upojenia słowem pisanym — uwidocznią się wszystkie walory pióra nowozaciężnej literatki. Talent bucha z każdej stronicy jej pierwszej pracy. Można by oczywiście doszukać się drobnych usterek w konstrukcji, jakichś — rażących zbyt wyrafinowane znawstwo — uproszczeń psychologicznych — ale po co? Pisząc o tej książce, chciałoby się wyciągnąć rękę z pozdrowieniem siostrzanym i zawołać: „Szczęść, Panie Boże, w pracy, niech wydaje stokrotny plon!"

Błogosławionym współpracownikiem rdzennie polskich pisarzy młodego pokolenia stał się ostatnimi czasy Jan Bułhak. Artysta w przecudnych obrazkach uzupełnia to, czego słowo nie zdołało już dopowiedzieć, lub unaocznić czytelnikowi. Ilustracje jego w powieści Bohdanowiczowej — to drugi tom „Drogi do Daugiel", skomponowany, wykończony ręką niebylejakiego artysty.

Artystą-fotografikiem obwołano go w Polsce dawno, ale mogę być dumna z odkrycia, które uczyniliśmy z kochanym panem Janem blisko 10 lat temu. Oto pewnego dnia doszliśmy oboje do wniosku, że niejedna powieść mogłaby zyskać na wartości dzięki odpowiednim, artystycznie z całością związanym ilustracjom *fotograficznym*... W ten sposób powstała „Czarna Hańcza". Eksperyment się udał ku zadowoleniu zarówno eksperymentów, jak czytelników. Teraz mamy nowy przykład literacko-malarskiej symbiozy. Piękna szata zewnętrzna „Drogi do Daugiel", dzięki starannemu wydaniu (Księg. Św. Wojciecha) i przepięknym Bułhakowskim obrazkom, będzie po przeczytaniu ozdobą biblioteki w polskim domu. *W. Miłaszewska.*

ERYK M. R. v. KÜHNELT-LEDDIHN: Jezuici, Burżuje, Bolszewicy. Tłum. dr. J. Brossowa. Nakładem „Kultury", Poznań 1937 (cena 7.50 zł, str. 480).

Dzieło to, które uzyskało drugą nagrodę w międzynarodowym konkursie na powieść o bolszewizmie, ogłoszonym przez Francuską Akademię Wychowania Społecznego, jest istotnie wydarzeniem na naszym rynku księgarskim. Nie ze względu na same walory literackie, które są niewątpliwie poważne, ale nie we wszystkim przekonywujące. Impresyjny sposób pisania nie każdemu trafi do gustu. Najgłębsza problematyka poruszonych zagadnień nie została wpleciona w akcję, lecz stanowi temat rozmów. Temperament młodego pisarza wyładowuje się tu w stylu stenogramów. Słowa są jakby wyrąbane. Czuć tu nerwowe tempo maszyny do pisania. Cierpi na tym wycyzelowanie wizji a niewątpliwie i harmonia konstrukcji. Charaktery są też raczej ciosane niż rozwijane konsekwetnie z raz przyjętych przesłanek. Nie są to jednak braki, które kazałyby nam uznać dzieło za artystycznie chybione. Konstrukcja stanowi jednak zwartą całość. Charaktery są oryginalne. W ujęciu przejawia się duża bardzo świeżość myśli i formy. Lecz istotna wartość książki, która każe ją nam uznać za wydarzenie na tak jakościowo wciąż jeszcze słabym rynku powieści katolickiej, to *ogrom problematyki*, a przede wszystkim *nowoczesność* i *dynamika* katolicyzmu tu przedstawionego. Jest to ogrom wiary, tej wiary widzącej, dla której pewne zasadnicze rzeczy są już oczywistością. Autor jest jakby oszołomiony potęgą myślową konstrukcji światopoglądu katolickiego. Pożera go gorączka czynu. Nie jest to już ten dawny katolicyzm statyczny, obronny. Nie ma w nim też tego spokoju, który charakteryzuje jednak zawsze Kościół jako tę Instytucję Boską, która plany swe mierzy miarą stuleci i nigdy się nie gorączkuje, nawet w chwili grozy. Jest to katolicyzm czynu, żądny na zimno wybranego, ale obliczonego co do celowości męczeństwa, katolicyzm rozumu i woli. Jest wprawdzie i przedstawiciel uczuciowości, ks. Sonnenschein — nazwa może symboliczna — apostoł miłosierdzia, który rozdaje nawet nie swoje rzeczy i nie cofa się przed robieniem długów, byleby ludziom pomóc. Sonnenschein spala się jak pochodnia, nie osiągnąwszy swych celów. Jego antytezą jest zimny jezuita, Scapinelli. Opanował on swoje osobiste uczucia i nauczył się sztuki panowania nad otoczeniem. Jego wola nie zna oporu. Jego tempo pracy jest amerykańskie. Jest tu jakaś wspaniała postawa konsekwentnego personalizmu, który rozumie wartość nieskończoną duszy ludzkiej i o każdą duszę, która mu w drogę wejdzie, nie zawaha się rozpocząć pojedynek z szatanem, choćby to był i jego funkcjonariusz. Ten jezuita nie zatrzyma się nawet u bramy ambasady sowieckiej. Dopiero akt wolnej woli, którego wymusić nie podobno, stanowi granicę jego potęgi. Nie szanując siebie nie waha się też przed poświęceniem innych. Wysyła on bohatera powieści, Eugeniusza Düringa, na pewną prawie śmierć do Sowietów, choć nie zaniedba on przy tym nawet tak daleko idących środków przezorności, jak wycięcie ślepej kiszki, celem zmniejszenia szans choroby, w ciągu której emisariusz mógłby się w stanie gorączkowym zdradzić. Inna rzecz, że ta ziemska przezorność zawodzi, bo nie uodporniono wysłannika na tyfus. Zrobiwszy swoje, Scapinelli nie martwi się stratą najcenniejszego choćby człowieka. Uważa on, że katolicyzm, to „przedsiębiorstwo, które potrzebuje pogrzebów" — oczywiście w tym sensie, że ofiary są siłą twórczą, a życie doczesne jest wartością bardzo podrzędną.

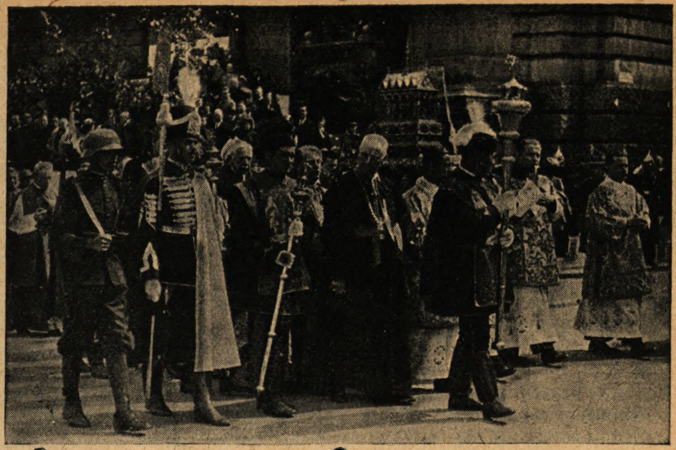
Tezy zasadnicze autora nie wydają nam się jednak przekonywujące, choć są one cenne właśnie dzięki swej śmiałości.

Pomińmy już obraz Sowietów. Ma się wrażenie, że w imię tej tak zresztą cennej dążności do obiektywizmu, która — rzecz dziwna może, a jednak zrozumiała — zaczyna się u nas katolików tym silniej rozwijać, im bardziej ona zanika w obozie przeciwnym — autor dał zbyt optymistyczny obraz Rosji. Szczególnie dziwne musi się wydać idylliczne wprost przedstawienie więziennictwa sowieckiego. Za to wypadł obraz ten niesłychanie przygnębiająco jakąś straszliwą beznadziejnością. Jest to świat, w którym zatraciła się świadomość Boga i nawet pełni entuzjazmu emisariusze muszą tu walczyć rozpaczliwie, by i ich te ciemności nie ogarnęły. Bolszewizm, to dla autora jakaś straszliwie smutna herezja, zawierająca jednak pewne pierwiastki Dobra i Prawdy. Może aż za symetrycznie rozkłada autor i winy, i cienie moralne, i na drugą stronę zdemoralizowanej lub zatyłej w tym snobizmie burżuazji. I tu zaczyna się właściwy problemat powieści. Autorowi wydaje się, że dla rozbrojenia nienawiści klasowej katolicyzm musi również *przeprowadzić powszechną niwelację ekonomiczną*, pozbawić świat jego blasków, utopić go w tej ponurej szarzyźnie, w której utonęły już Sowiety. Pobieranie procentów uważa on za niesłuszne. Jest to niewątpliwie wpływ radykalnej grupy katolickich socjologów wiedeńskich, która wydała swego czasu znany „Katholisch Soziales Manifest". Wpływ ten jest o tyle oczywisty, że autor sam jest wiedeńczykiem. Wizja ta, która tak przeraża Gertrudę, niedoszłą narzeczoną bohatera, i może decyduje o tym, iż nie dotrzymała ona wierności i wyszła za mąż w okresie, gdy od Eugeniusza zabrakło wieści, wydaje się i nam ujęciem zupełnie błędnym. Błędne jest to samo założenie, że pobierając procent krzywdzimy innych (str. 9), bo *wartości gospodarcze powstają nie przez samą pracę, lecz przez współdziałanie kapitału i pracy*. Krzywdą jest pozbawiać pracę należnej jej części, ale kapitał ma *też prawo* do swego udziału. Zniesienie procentu, to uniemożliwienie kapitalizacji i zabicie życia gospodarczego. Pełna niwelacja jest niemożliwa, jak pokazał już ostatecznie eksperyment bolszewicki, który skończył się tym, że rozpiętość stopy życiowej jest tam dziś większa może niż na Zachodzie (skala poborów od jednego do stu!). Istotne jest *przezwyciężenie postawy duchowej*, z której rodzi się i chciwość, i zazdrość.

Autor ma wspaniałą wiarę w potęgę katolicyzmu i jego ostateczne zwycięstwo i potężny, życiodajny zapał apostolski. Aktywność katolicka w jego ujęciu może jednak za mało wykazuje zrozumienia wartości i skuteczności *sił nadprzyrodzo-*



Studenci polscy w procesji w czasie kongresu eucharystycznego w Budapeszcie.



Procesja z relikwiami św. Stefana na ulicach Budapesztu.



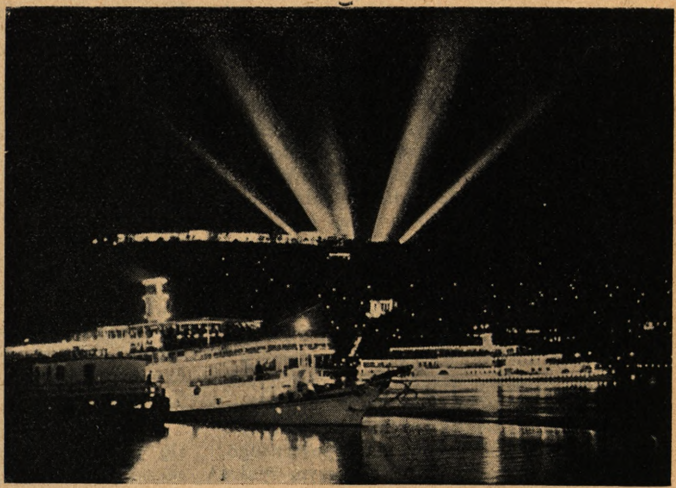
Regent Horthy z małżonką biorą udział w procesji ku czci św. Stefana w Budapeszcie.



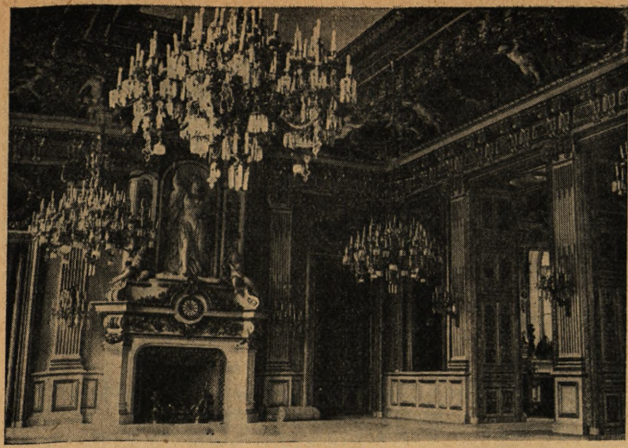
Wielka procesja na zakończenie kongresu eucharystycznego w Budapeszcie.



W czasie kongresu eucharystycznego w Budapeszcie odprawiona została Msza św. dla mężczyzn w nocy na Placu Bohaterów.



Widok procesji z Najśw. Sakramentem na Dunaju w czasie kongresu eucharystycznego.



Apartamenty królewskie w pałacu d'Orsay.



Przedstawienie w parku paryskim dla angielskiej pary królewskiej.



Król angielski Jerzy VI składa wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza w Paryżu.



Przejażdżka królewskiej pary angielskiej na Sekwanie.



Król angielski Jerzy VI w obecności królowej Elżbiety i prezydenta Lebruna wpisuje się do złotej księgi miasta Paryża.



Królewska para angielska i prez. Lebrun biorą udział w odsłonięciu pomnika ku czci 11.000 poległych we Francji Australijczyków.

nych. Jego aktywność jest zanadto *zewnętrzna.* Są w niej jednak momenty wspaniałe: czystość moralna, konsekwencja, nieustraszoność w obliczu śmierci. Porywającym jest ten *nastrój frontu,* który tę całą książkę przenika. Ten nastrój nadaje jej też piętno tragizmu. Przełamuje go jedynie świadomość, że ze stanowiska konsekwentnego chrześcijaństwa utrata ziemskiego szczęścia i życia, poświęconego dla innych, w żaden sposób nie może być uznana za jakiś „unhappy end".

Można się nie na wszystko godzić. Niemniej jest to książka, z którą rozprawić się musi każdy myślący katolik, a szczególnie nasze młode pokolenie, które szuka jeszcze swojej drogi i tęskni coraz silniej do apostolstwa i bohaterstwa. *A. N.*

O. K. PARRA T. J.: Przyjaźń Chrystusowa. Wydawnictwo Księży Jezuitów. Warszawa — ul. Rakowiecka nr 61.

Nabożeństwo do Serca Jezusowego stało się ożywczym strumieniem w życiu Kościoła, pod którego naporem pękły i stopniały lody jansenizmu. Przed ludzkością stanął Chrystus pełen dobroci i miłości, Chrystus z przypowieści o dobrym pasterzu, miłosiernym Samarytaninie, marnotrawnym synu. *Pójdźcie do mnie wszyscy...* Od dobrej i szlachetnej woli człowieka zależy jednak skorzystanie z tych Bożych zaprosin, uchwycenie przyjaźnie wyciągniętej prawicy, ogrzanie się przy płonącym miłością Sercu. Przekonanie rozumu, wzmocnienie woli i rozgrzanie uczucia, by człowiek uwierzył w Chrystusową przyjaźń i jej się powierzył — oto cel tej pięknej w swej prostocie i wzruszającej książki. Wzrusza ona nie ckliwością sentymentalizmu, ale subtelną analizą przyjaźni, jaka łączyła Boga-Człowieka z rodziną w Betanii. Historia tej przyjaźni, kulminująca w skrzeszeniu Łazarza stanowi przepiękną kanwę dziewięciu rozmyślań, w których doświadczony autor zamknął syntetyczne studium o przyjaźni między Bogiem a człowiekiem. Książka pełna optymizmu i zdrowej ascezy, krzepi, umacnia, porywa. Odpowie bezwzględnie każdemu a już specjalnie duszom dążącym do doskonałości. Doskonały to również materiał do trzydniówek oraz do nowenny przed uroczystością Najśw. Serca Jezusa.

Str. 106. — Cena brosz. zł 1.40, kartonaż zł 1.90.

KORNEL MAKUSZYŃSKI: Szatan z siódmej klasy. Str. 320, 8 ilustracji i barwna okładka St. Bobińskiego. Wyd. Gebethner i Wolff.

W „Szatanie z siódmej klasy" Makuszyński znów olśnił czytelnika arcydziełem przemyślności, werwy i fantazji pisarskiej. Zdaje się, że po raz pierwszy podjął akcję sensacyjną, a nawet detektywistyczną. Odwaga godna najwyższej pochwały. Wydając bowiem powieść tego rodzaju, Makuszyński daje zdrowy pokarm dla tych naturalnych zainteresowań młodzieży, które dotąd musiały szukać zaspokojenia w książkach moralnie zatrutych. „Szatan z siódmej klasy" mieni się wszytkimi blaskami humoru i grozy, dowcipu i sentymentu. Jego akcja jest szybka, pełna niespodzianek i tajemnic, których początek tkwi aż w mrokach wyprawy napoleońskiej. Bohater powieści, fenomen przenikliwości, wdaje się w niezwykłą awanturę, w której przygoda przygodę pogania, a jedna jest dziwniejsza od drugiej.

„Szatan z siódmej klasy" — to lektura dla wszystkich. Przygody ucznia Adama Cisowskiego niewątpliwie zainteresują młodzież od lat 12 do 92. *I. H.*

KORNEL MAKUSZYŃSKI: Smok wawelski. Wyd. Gebethner i Wolff.

Bajka ta w 120 wierszach i 120 wielobarwnych obrazach opowiada o smoku wawelskim, o sprytnym szewczyku Kubie, o kłopotach króla Kraka i utrapieniu jego poddanych.

Wszystko to na wesoło z werwą i polotem. Kolorowa wizja naszej przeszłości z pewnością utrwali się na zawsze w dziecięcych główkach, budząc w nich ciekawość dziejów ojczystych. „Smok wawelski" w arcywesołych rymach i bajecznie kolorowych obrazkach ożywia skarbnicę legend narodowych. *I. H.*

Antologia 120 poetów. Zebrał Adam Galiński. Wyd. Księgarnia S. Seipelt. Łódź. 1938 r.

Antologia ta liczy 321 wierszy i ma za zadanie dostarczyć nauczycielstwu, kierownikom świetlic i kursów, odpowiedniego materiału na wszelkie uroczystości w ciągu 12 miesięcy — od rozpoczęcia roku szkolnego do końca.

Książka „Antologia 120 poetów" niezmiernie ułatwi dobór odpowiedniego materiału, zastępuje bowiem ona kilkadziesiąt prac poświęconych obchodom i uroczystościom. Autor „Antologii" zadał sobie trud przejrzenia 1186 tomów i tomików poezji. Wśród 40 cykli znajdujemy i takie jak: Moi bohaterowie, Cześć pracy, Nasze zwierzęta, Skrzydła Polski itd.

Wiersze te są zastosowane do różnego wieku i nadają się zarówno dla ucznia szkoły powszechnej, jak również dla gimnazjum i liceum.

Adam Galiński dał się już poznać jako autor „Antologii Odrodzonej Polski" oraz „Młodej Polski", które na terenie szkolnym spotkały się z pełnym uznaniem. *I. H.*

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: Pasje błędomierskie. Wyd. Gebethner i Wolff. Str. 323.

W miasteczku Błędomierzu odbywają się z dawien dawna raz do roku widowiska pasyjne na schodach Fary. Leopold Kanicki, poeta z Warszawy, przy pomocy właściciela biura podróży Krobowskiego, zamierza skomercjalizować te chłoskie przedstawienia na podobieństwo głośnego Oberammergau.

W powieści tej krzyżują się linie życia wielkiego pisarza, hrabiego Zamoyłły, jego rodziny, poety Kanickiego, braci Krobowskich i ich żon. Losy tragiczne, epickie, sielankowe, proste i zawiłe, pełne ludzi i zdarzeń. W „Pasjach" Iwaszkiewicz dokazał trudnej sztuki nobilitacji powieści fabularnej, takiej jaką się czyta jednym tchem.

„Pasje" są jakby bryłą wielograniastą i jak każde dzieło prawdziwego talentu może być oglądane i rozumiane z wielu stron, z każdej prezentuje się w pełnej harmonijnej i przekonywującej całości. Gdy dla jednych podstawowym zagadnieniem „Pasji" będzie bezbronność człowieka wobec życia, czy tragiczność przezwyciężania życia twórczością, dla innych będzie ona przede wszystkim przypowieścią o trzech pokoleniach Polski dzisiejszej: tego, które już odchodzi, pokolenia skażonego, którego reprezentantem jest Leopold Kanicki, i tych, którzy już nadchodzą.

Najpiękniejszą głębię osiąga Iwaszkiewicz w partiach hrabiego Zamoyłły. Dojrzewanie do śmierci tego wielkiego starca, pobyt w Paryżu, ucieczka z domu i śmierć, należą do najpiękniejszych stron współczesnej beletrystyki polskiej.

„Pasje błędomierskie", to wyraz dojrzałego i skrystalizowanego talentu Jarosława Iwaszkiewicza. *I. H.*

Zdrowa matka i zdrowe dziecko. Bibl. Wykładowa Katolickiego Związku Kobiet nr 6. Poznań, 1937. Ostoja, str. 34, cena 0.55 zł.

Na broszurkę niniejszą składają się 2 wykłady: „Higiena kobiety-matki", dr Zofii Wojciechowskiej i „Higiena niemowlęcia" Antoniny Zakrzewskiej.

Broszurka pisana jest przystępnie, uwzględnia różne warunki życiowe i może skutecznie przyczynić się do podniesienia poziomu wiedzy higienicznej, niestety, jeszcze bardzo u nas niedostatecznej zarówno wśród środowisk wiejskich jak miejskich.

KS. JÓZEF KACZMARCZYK, profesor U. J.: Wykład Modlitwy Pańskiej. Wyd. Apostolstwa Modlitwy — Kraków. Cena broszury 1.50 zł, oprawna 2.25 zł.

Miliony chrześcijan składa ręce dnia każdego i podnosi je ku Bogu, odmawiając modlitwę, której nauczył nas nie kto inny — jeno sam Zbawiciel. Tą modlitwą najwznioślejszą ze względu na swego Twórcę, nieporównaną co do swej treści — to „Ojcze nasz". Powiedziano, że siedem jej próśb stanowi program życia dla dzieci Bożych.

Toteż należyte jej zrozumienie musi nam głęboko leżeć na sercu. Wybornie pomoże nam do tego „Wykład Modlitwy Pańskiej" ks. prof. Kaczmarczyka. Każdą jej prośbę poddaje autor analizie w podwójnym celu, najpierw, by treść prośby stała się dla umysłu bardziej zrozumiałą, a powtóre dla serca bliższą. Wydobywa z każdej prośby praktyczne zastosowania, zmierzające do osobistego uświęcenia.

Ale Modlitwa Pańska jest przede wszystkim społeczną.

Słowo „mój" ani razu w niej się nie znajduje, za to słowo „nasz", „nam", „naszego" aż siedem razy. Toteż na ten społeczny charakter wskazuje autor raz po razu i przynagla czytelnika do wyciągnięcia odpowiednich konsekwencji. Czyni to zwłaszcza przy analizie prośby „Chleba naszego"...

Dziełko ks. Kaczmarczyka przez swój gruntowny wykład i konkretne zastosowania odda znaczne usługi kaznodziejom i katechetom.

Wierni również z wielkim pożytkiem je przeczytają. Będą potem odmawiali Modlitwę Pańską z o wiele pełniejszym zrozumieniem i gorętszym sercem.

MARIA SZAFRANÓWNA T. S. A.: Marta de Noaillart. Apostołka Chrystusa-Króla. Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej. Katowice 1937. Cena 50 gr.

GABRIELA ŁAŃCUCKA. Maurycy Retour. Młody przemysłowiec apostoł. Nakł. Księg. i Druk. Kat. Katowice 1937. 50 gr.

S. BARBARA Żulińska C. R.: Dr Józef Żuliński. Budowniczy Boży. Nakł. Księg. i Druk. Kat. Katowice 1938. Cena 50 gr.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Gdybyś raz doskonale wszedł w serce Chrystusa i choć cokolwiek zakosztował Jego wielkiej miłości; wtedy byś nie dbał wcale o dogadzanie upodobaniu swojemu, lecz raczej cieszyłbyś się ze wszelkiej odniesionej krzywdy; albowiem miłość Jezusa uczy człowieka gardzić samym sobą.

Człowiek prawdziwie wewnętrzny i wolny od nieporządnych skłonności, może swobodnie zwrócić myśl do Boga, a wzniósłszy się w duchu nad siebie samego, radością świętych w Bogu odpoczywać.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

„PRZESTROGI DLA PRZECHODNIÓW"

Pod tym tytułem „Kurier Warszawski dał szereg „przestróg", które gdyby chciała publiczność nie tylko przeczytać, ale zanotować je w pamięci, przystosować w obyczaju i niejednemu jeszcze zwrócić uwagę na to, jak należy na ulicy strzec się wypadku, to niezawodnie zmniejszyłaby się liczba nieszczęść, o jakich ciągle mówi nam prasa codzienna, w mieście, miasteczku i na gościńcach.

Miasto każde rośnie. Dzielnice stare mają ulice zbyt wąskie na to, aby zmieścić swobodnie: tramwaj, samochód, autobus wielki rozmiarami, dorożkę, jeszcze często wóz ładowny, platformę objuczoną. Trzeba istotnie wielkiej uwagi, wielkiego skupienia kierowcy, aby w tej ciasnocie ruszać się swobodnie.

Pozwalamy więc sobie powtórzyć za „Kurierem Warszawskim", szereg świetnie zestawionych uwag, dbałego obywatela wielkiego miasta, z myślą o uchronieniu bliźnich, o ile zechcą z nich skorzystać, od wypadków, grożących kalectwem, nawet utratą życia, jeśli są zaniedbane.

Brzmią one jak następuje:

Wychodząc na ulicę pamiętajcie, że należy iść prawą stroną chodnika. Unikniecie w ten sposób wpadania na innych przechodniów, śmiesznego tańca na ulicy i zbędnych zahamowań w ruchu pieszym.

Piesi! Jezdnia jest przeznaczona dla pojazdów, nie narażajcie się na niebezpieczeństwo wchodząc niepotrzebnie na jezdnię lub przekraczając ją w miejscach niedozwolonych.

Mając zamiar przejść na drugą stronę ulicy, wybierajcie z góry najdogodniejsze dla siebie skrzyżowanie lub przejście dla pieszych, a unikniecie wchodzenia na jezdnię w miejscach niebezpiecznych, gdzie was może spotkać nieszczęście.

Przed wejściem na jezdnię nie zapominać spojrzeć na lewo, a dochodząc do środka jezdni na prawo. Ostrożność ta uchroni was od wielu niebezpiecznych sytuacji.

Przechodniu! Pamiętaj, że bezpieczeństwo twoje w chwili wejścia na jezdnię uzależnione jest od twojego zachowania się.

Przechodź przez jezdnię krokiem pewnym. Wobec nadjeżdżających pojazdów bądź zdecydowany — zatrzymaj się lub zdecydowanie przejdź, jeżeli odległość pojazdu jeszcze na to pozwala, nigdy nie cofaj się.

Nie wchodźcie na jezdnię nagle, ani zza wozów, samochodów lub innych przedmiotów zasłaniających jezdnię i jadące pojazdy.

Podczas prowadzenia pojazdu mechanicznego zachowajcie jak największą ostrożność, uważając na inne pojazdy i pieszych znajdujących się na jezdni.

Prowadzący pojazdy niech pamiętają zwalniać bieg pojazdów na skrzyżowaniach ulic, w miejscach przeznaczonych na pieszych i koło przystanków tramwajowych. Konieczny ruch pieszy winien odbywać się w warunkach całkowitego bezpieczeństwa.

Kierowcy pojazdów, rowerzyści i powożący! Nie zapominajcie przed każdym skrzyżowaniem ulic dać znak, w którym kierunku macie zamiar jechać. Uprzedzając o kierunku jazdy policjanta, kierowców innych pojazdów i pieszych ułatwiacie niezbędną dla bezpieczeństwa orientację publiczności i regulowania ruchu.

Kierowcy pojazdów! Nie zatrzymujcie się w miejscach niedozwolonych, gdzie zatrzymanie pojazdu może spowodować tamowanie ruchu.

Powożąc pojazdem konnym, trzymaj się prawej strony jezdni, pozostawiając środek jej dla pojazdów posuwających się z większą szybkością.

Rowerzyści! Pamiętajcie, że miejscem najbardziej dla nas bezpiecznym jest prawa strona jezdni przy krawędniku chodnika.

Jadąc na rowerze, nie czepiajcie się innych pojazdów i nie ścigajcie się z pojazdami mechanicznymi. Pamiętajcie, że nieostrożną jazdę na rowerze wielu już przypłaciło śmiercią lub kalectwem.

Rowerzyści! Pamietajcie, że wyjeżdżając na środek jezdni, hamujecie ruch pojazdów posuwających się szybciej od was i narażacie się na niebezpieczeństwo.

Rowerzyści! Chodnik przeznaczony jest tylko dla pieszych. Nie wolno wam jest zagrażać ich bezpieczeństwu jazdą po chodnikach.

Rowerzyści! Zwalniajcie szybkość jazdy na skrzyżowaniach, przejściach dla pieszych i przed przystankami tramwajowymi. Nie wywołujcie wśród pieszych na jezdni popłochu, który łatwo może się stać przyczyną nieszczęśliwych wypadków.

OGRÓD SASKI i... DZIECI

„Ulotka", rozrzucona przez „Polskie Tow. Higieniczne", na pierwszej karcie nawołuje: „Dbaj, by dziecko miało świeże powietrze", dalej następują przepisy i przestrogi, które podamy w całości w innej rubryce, w tej chwili pod świeżym wrażeniem notujemy to, na co się co dzień patrzy i co wymaga jakiegoś uporządkowania,

jakiejś kontroli. — Saski Ogród — to nie ślicznie utrzymany, mający fragmenty godne wielkiego parku, ale już raczej skwer przechodni, nie mający nic wspólnego z cichym ustroniem, jakim był kiedyś — przed laty.

Takim jak dziś jest, potokami słońca ogarnia setki wózków z najdroższym naszym skarbem — z dziećmi!

I... nie zdarzyło mi się przejść przez ogród, żeby wyjść zeń spokojnie, że dzieciom tam dobrze.

Czuwają nad wózkami z maleństwem bony zawodowe z angielska ubrane w czapeczki i czarne sukienki, inne zwykłe niańki, kumy, zagadane jedna z drugą, ale nie widziałam prawie wózka spokojnie stojącego, czy dziecko śpi, czy się bawi.

Wózki — ciągle kołyszą. Różnym systemem, w tył i naprzód je ruszając, lub trzęsąc, co widoczne zależne jest od konstrukcji wózka, a co żadnemu dziecku nie może wyjść na zdrowie, bo nabywa zbędnego zgoła nałogu i będzie chciało tego samego trzęsienia w domu — w nocy...

Z całą dobrą wolą wtedy zaczynam robić uwagę, że możeby ten system zmienić... I, najczęściej, albo lekceważąca, dana opiekunka, nie przestaje manipulować wózkiem, albo mnie gromi:

— A pani czego? Czy to pani dziecko...

Aż, wczoraj, przystanęłam, aby przyjrzeć się kąpieli dzieci, a koło mnie stanęła dziewczyna z wózkiem. Jeździła nim tam i nazad — naraz słyszę:

— Śpij, mówię ci zamknij oczy — i wysuwa wózek tak, aby słońce dziecko miało wprost i musiało oczęta mrużyć. A po chwili:

— Widzisz go — i już potrząsnęła dzieckiem, i z całą pasją obróciła je na bok mówiąc:

— Śpij, zamknij oczy, bo zobaczysz, że cię zbiję!

Tu już wyczerpała się moja cierpliwość. Chciałam ją zaprowadzić do policjanta, ale zaczęła tak szybko wózek pchać i uciekać, że gonić jej nie mogłam.

Panie matki, ustanówcie jakąś opiekę nad tą, której powierzacie najdroższe swe kochania!

Niejedna z Was ma zajęcia w domu, często zawodową pracę, ale może zawiążecie jakieś Koło, którego członkinie kolejno miałyby obowiązek kontroli nad zachowaniem się tych często wiernych i dobrych opiekunek Waszych „skarbów", ale jakże często nie umiejących pełnić swych obowiązków kobiet, może nawet i nie złych, ale niewyszkolonych.

Polecam tę sprawę — jako jedną z ważnych i mających znaczenie ogólnego dobra naszego dziecka.

L. K.

WYDAWNICTWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Umiejętna gospodarka domowa, to wzmożenie dobrobytu własnego, a co za tym idzie i ogólnego. Instytut Gospodarstwa Domowego, to odrodzenie naszych racjonalnych warunków życia codziennego, podtrzymanie sił i zdrowia, spokoju moralnego, a więc i szczęścia. Ten brak ustalonych godzin pożywienia, nieumiejętne układanie potraw, brak także dbania o stosowaniu diet, brak świadomości jak, co i kiedy jeść należy — to wszystko wskażą nam ci, którzy zdobytą w tym zakresie wiedzą specjalną a gruntowną, objęli kierownictwo nad tą ważną dziedziną umiejętności, w której jesteśmy bardzo zacofani.

Szereg wydawnictw w zakresie gospodarstwa domowego jest źródłem, w którym każda kobieta stojąca na czele rodziny i prowadząca dom, winna czerpać udoskonalenie swej pracy.

Świetne są „Tablice pomocnicze do nauki gospodarstwa domowego", opracowane przez p. Marię Karczewską, co gwarantuje ich praktyczność i doskonałość. Cztery „Tablice" kosztują 2 zł, a pożytku za sto. Do nabycia w „Instytucie Gospodarstwa Domowego", Nowy Świat 9, m. 8, oraz w księgarni W. Michalskiej, Nowy Świat 59.

Postaramy się w każdym numerze przypomnieć Sz. Czytelnikom program wydawnictw Instytutu, aby z nich korzystać zechciały dla własnego dobra.

R.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

„TYDZIEŃ WARSZAWY". — ZNIŻKI TOWARÓW MĄCZNO-KOLONIALNYCH. — OPIEKA NAD KALEKAMI. — KOLONIE LETNIE. — BADANIE LEKARSKIE SZOFERÓW. — ZWYŻKA EKSPORTU Z POLSKI. — NAUKA PŁYWANIA. — JEŹDZIĆ DO GDAŃSKA I GDYNI.

Wiedzieć trzeba, że w połowie września rb., podobnie jak w roku ubiegłym, będziemy w stolicy przez cały tydzień oglądali „Wystawy", świadczące o rozwoju miasta.

Będzie pierwsza polska wystawa szpitalnictwa, połączona z ogólnopolskim kongresem lekarzy, zjazdem higienistów, działaczy samorządowych itd.

Sportowcy będą mieli popisy piłkarskie w dniach 8 i 25 września z współzawodnikami z Bułgarii i Jugosławii.

Turyści, przybywający w okresie „Tygodnia Warszawy", korzystać będą ze zniżek kolejowych. Wiadomość tę notujemy dla naszych licznych prenumeratorów z prowincji, dla których rozrost stolicy jest zawsze interesujący.

Wiedzieć pożytecznie, że w „Stowarzyszeniu Kupców Polskich" odnośna komisja obradowała nad cennikiem towarów mączno-kolonialnych", których cena ulegnie znacznym obniżkom.

Bardzo ważne i nikomu nie obojętne odbyły się narady w klinice chirurgicznej Uniwersytetu J. P. w Warszawie nad otoczeniem opieką kalectwa ludzkiego.

„Tow. zwalczania kalectwa i opieki nad kalekami" ma na celu zorganizowanie i niesienie pomocy lekarskiej, a w przyszłości tworzenie oddziałów o równych celach. Oczywiście pierwsi będą korzystać z dobrodziejstw takiej opieki ludzie niezamożni.

Wiedzieć trzeba, że „Tow. Kolonii Letnich im. Markiewicza" zawsze otacza swą opieką biedne dzieci stolicy. Niestrudzona, a tak wielce zasłużona w tej dziedzinie p. dr Pawińska, która od wielu lat poświęca trud czuwania nad dziećmi, poświęcając im czas i otaczając je macierzyńskim sercem, w tegorocznym sprawozdaniu wykazała ogromny wzrost kolonii. Liczba dzieci doszła do 2.140. Z tego utrzymanych dzieci przez Zarząd Towarzystwa było 1.740, zaś 400 dzieci otoczył swą opieką p. M. Broniewski, umieszczając dzieci na koloniach cukrowni w Garbowie, Milajowie, Cichem i Zakrzówku.

Za chętną i wielkoduszną pomoc w organizowaniu pomocy dla dzieci, Towarzystwo K. L. na walnym zebraniu uchwaliło nadać godność członka honorowego p. prezesowi Broniewskiemu.

Wiedzieć trzeba, że Ministerstwo Opieki Społecznej ogłosiło okólnik w sprawie lekarskiego badania zawodowych szoferów. Ta słuszna sprawa będzie miała nieobliczalnej doniosłości skutki, bo niezawodnie zdrowie i normalny stan nerwów kierowców samochodowych przyczynią się do zmniejszenia wypadków, tak częstych dzisiaj.

Wiedzieć na otuchę trzeba, że eksport z Polski za granicę zwiększa się i że po raz szósty z rzędu polsko-amerykański obrót handlowy uległ wydatnej zwyżce. —

Wiedzieć trzeba, że dziś nauka pływania jest tak potrzebna, jak nauka chodzenia. Kąpiele rzeczne, jeżdżenie łódkami i kajakami, zbratanie się z morzem, wymaga koniecznej umiejętności pływania. Iluż by ludzi uniknęło strasznej katastrofy utonięcia, gdyby umiejętność doskonałego pływania była koniecznym warunkiem do wzięcia w rękę wiosła. Każda staranna matka musi o tym pamiętać i jak najwcześniej uczyć dzieci pływać, aby wtedy, kiedy chłopcy jadą do obozów nadmorskich, ze spokojem myśleć o zetknięciu się ich z morzem, które jest piękne, ale bywa i okrutne. Bez umiejętności pływania nie można puszczać się nawet na rzeczne wyprawy, a cóż dopiero na morskie fale.

Wiedzieć trzeba, że dziś jeżdżenie do Gdyni i Gdańska, to nasz program obronny — bez użycia innej broni nad ten wyraz: *jestem!* Im więcej nas tam będzie, im częściej mowa nasza tam głośno rozbrzmiewać będzie, tym śmielej będą się czuli ci, którzy na różne ciężkie szykany są narażeni ze strony wrogów pokoju. Pisano kiedyś o tym, że 60-letnia kobieta, Franciszka Kyszowa przebyła pieszo 400 kilometrów, aby zobaczyć Gdynię i nasze polskie wybrzeże. Szła ona ze wsi Kadzidło pod Ostrołęką. Niechże będzie nam przykładem i niech znajdzie tysiące naśladowczyń!

ZE ZWIĄZKÓW I STOWARZYSZEŃ

Związek Pań Domu zawiadamia, że biuro Związku będzie nieczynne od dn. 15 lipca do 15 sierpnia. A pierwsze zebranie po przerwie wakacyjnej odbędzie się dnia 7 października.

Poradnik Związku Pań Domu, który jest nieodzownym w każdym rodzinnym dobrze zorganizowanym domu, jest zawsze do nabycia w Związku, Nowy Świat 9, za cenę 2 zł 50 gr.

Związek Pań Domu, Nowy Świat 9, w godz. od 10 — 14 przyjmuje zapisy na kursy gospodarstwa domowego dla pań domu i pomocnic domowych, oraz kurs przetworów owocowych i jarzynowych.

Oddział Kobiet L. M. K. od dnia 1 lipca do dnia 1 sierpnia zawiesił zebrania Zarządu oraz zebrania ogólne. Biuro czynne bez przerwy, przy ul. Marszałkowskiej 151, II piętro, w siedzibie Okręgu stołecznego. Wszystkie jednak członkinie proszone są przez Zarząd, aby ani na chwilę nie zapominały o swym obowiązku propagowania sprawy morza i jednania członków nowych. Niech to będą członkowie opłacający 10 groszy, byle ich były miliony!

Polskie Tow. Higieniczne, niezależnie od wydawnictwa popularnego „Na straży zdrowia", rozpowszechnia wśród szerokich warstw społeczeństwa, szczególnie na wsi, ulotki, zawierające cenne uwagi z dziedziny dziecka. Ulotka pt. „Dbaj o świeże powietrze dla dziecka" zawiera następujące wskazania:

1) dbaj, by dziecko miało zawsze świeże powietrze. Dziecko, chowane w zaduchu, często zaziębia się i zapada na różne choroby.

2) Przewietrzaj mieszkanie przynajmniej dwa razy dziennie, rano i wieczorem przed udaniem się na spoczynek. Wietrz zawsze izbę po gotowaniu i po praniu.

3) W lecie trzymaj okna otwarte stale, jeśli można, nawet w nocy.

4) Nie susz bielizny i pieluch dziecka w izbie.

5) Nie trzymaj w izbie znoszonego, brudnego ubrania, ani żadnych szmat. Nie przetrzymuj również żadnych odpadków, rzeczy gnijących i wydzielających przykrą woń. Myj naczynia kuchenne natychmiast po jedzeniu.

6) Nie trzymaj w izbie zwierząt i drobiu, które zanieczyszczają powietrze i roznoszą różne choroby.

7) Niemowlę można wynieść, nawet w chłodnej porze roku, po raz pierwszy na powietrze już w drugim miesiącu życia, w lecie z końcem pierwszego miesiąca.

8) Na pierwszy spacer dziecka wybiera się pogodny, słoneczny, bez wiatru dzień i pobądź z dzieckiem na powietrzu nie dłużej nad 10 do 15 minut. W następne dni wyprowadzaj dziecko stopniowo na coraz dłużej.

9) W lecie dziecko może być stale na powietrzu. I w zimie należy je również wynosić, o ile nie ma dużego mrozu i wiatru; trzeba je tylko ciepło ubrać.

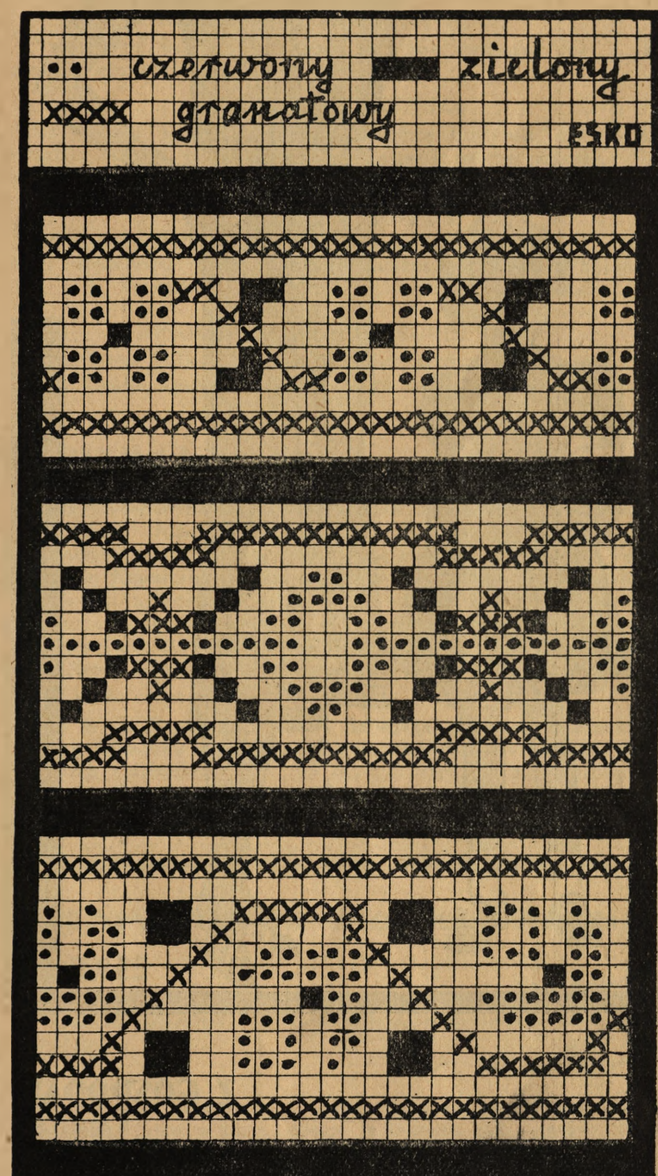
10) Wynosząc dziecko na powietrze, nie przykrywaj dziecku twarzyczki.

HAFT KRZYŻYKAMI

Podane wzory haftu wykonane trzema kolorami. Naturalnie kolory można do woli zmieniać w zależności od koloru sukni. Każda kratka odpowiada jednemu krzyżykowi. Wielkość krzyżyków zachować według wzoru. Haftować cotou perlé 8 c. albo muliną.

Desenie te można również zastosować jako szlaki do serwetek.

E. Kotwicz-Onichimowska.



Piękne myśli.

Nie ten jest mądry, kto wiele spraw umie,
Lecz kto złe od dobrego rozróżnić rozumie.

Mikołaj Rej.

SUKNIA OZDOBIONA HAFTEM

Tę letnią sukienkę szyjemy z szarego albo kolorowego płótna, a ozdabiamy krzyżykowym haftem. Osobno podane wzory, dwa szersze do wyboru, a węższy do dziecinnej sukienki. Suknia powinna mieć króciutkie wąskie rękawy, figaro dłuższe i trochę bufiaste.

Dla dziewczynki można na sukienkę użyć cienkiego płócienka albo batystu.





STROJNA LETNIA SUKNIA

Wzorzyste materiały w drobny deseń królują w letnim sezonie. Podany model wykonać z wzorzystej georgetty, szarfę z błyszczącego jedwabiu w jednym z kolorów deseniu, a drugim kolorem dać odwrotną stronę szarfy. Kwiaty różnych kształtów używane są do włosów, staników, kapeluszy.

E. K.-Onichimowska.

Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

NAJMILSZY WYPOCZYNEK

Praca codzienna nuży i wywołuje potrzebę odpoczynku.

Temu znużeniu fizycznemu i psychicznemu najskuteczniej przeciwdziała sport, uprawiany co najmniej przez godzinkę dziennie. Najłatwiejszą formą — jest sport pieszy. Tego rodzaju turystyka ma olbrzymie znaczenie zdrowotne — fizyczne i psychiczne. W ogóle należy korzystać z każdej wolnej chwili, by zwiedzać kraj, zabytki, obcować z ludźmi i obserwować różne formy ich życia, a choćby to były wycieczki krótkie dadzą one niezliczone wartości poznawcze i estetyczne — są źródłem radości i energii na długie miesiące ciężkiej częstokroć pracy. Do najważniejszych zalet wycieczek pieszych należy wyrabianie cennych zalet charakteru: odwagi, zaradności, wytrzymałości i szybkiej orientacji. Są one przy tym tanie, co w warunkach obecnych jest zaletą bardzo ważną.

Aby uzyskać jak największą korzyść z wycieczek, należy jednak unikać wszelkiej przesady: ruch, słońce, woda użyte w miarę — to czynniki zdrowia, nadużywane — prowadzą do przemęczenia, przegrzania, wyczerpania, o czym pamiętać trzeba.

W organizowaniu wycieczki bardzo ważną rolę odgrywa odżywianie. Jeżeli jest to wycieczka dalsza, sprawa ta jest zwykle załatwiana na ostatnim punkcie aprowizacyjnym. Pamiętajmy, że odżywianie na wycieczkach musi być lekkostrawne, a pożywne. —

Zapasy żywności zabierane na „majówki", choćby w sierpniu czy wrześniu, wymagają dużo staranności. Trzeba przewidzieć wszystko, niczego nie zapomnieć, ale nie brać niczego zbędnego.

Najlepiej ułożyć żywność do plecaków, by uczestnicy wycieczki byli równomiernie nimi obarczeni. Naturalnie, że przy wycieczce koleją, końmi lub samochodem używać należy specjalnie przeznaczonego na to koszyczka, w którym pożywienie będzie odpowiednio izolowane. Są w handlu przeznaczone na wycieczki specjalne walizeczki „aprowizacyjne", nadzwyczaj wygodne.

Pamiętać należy, że wszystkie zapasy muszą być owinięte w czysty papier. Gazety zupełnie muszą być odrzucone. Estetyka w podawaniu najskromniejszego dania jest obowiązkiem każdej pani domu, na wycieczce przepisy te są także konieczne. —

Serwetki papierowe, ostry nóż, widelec, łyżka, choć jeden talerz (może być papierowy), szklanka (też papierowa) są to najskromniejsze przyrządy przy spożywaniu posiłków na „majówce", w lesie lub nad brzegiem rzeki!...

Podajemy kilka odpowiednich na zakąski — krajanek, które mogą zastąpić „nieśmiertelne" kanapki, które uproszczą i urozmaicą jadłospisy wycieczkowe.

KRAJANKI Z SARDYNKAMI

Z długiej bułki tzw. angielki wyjąć ośrodek i odciąć oba końce. Przygotować forsz: 3 żółtka na twardo utrzeć z $1/8$ kg masła, dodać posiekany grubo ośrodek z bułki, puszkę sardynek tzw. szwedzkich (85 groszy puszka) dosypać kilka łyżek ostrego sera i wrzucić posiekane grubo białka i kilka posiekanych korniszonów.

Nadziać masą tą bułkę i przyłożyć oba końce, trzymać na zimnie, o ile możności, choć krótko na lodzie. Krajać cienko.

Krajanki te przygotować można w wigilię podania. —

KRAJANKI ZE ŚLEDZIOWĄ MASĄ

Przygotować bułkę, jak wyżej, a zamiast sardynek dać 2 wymoczone, posiekane śledzie.

KRAJANKI Z WĘDZONĄ RYBĄ

Przygotować bułkę, jak wyżej, zamiast sardynek dać $1/8$ kg szprotek obranych, łososia, flondry itd.

KRAJANKI Z BRYNDZĄ

Przygotować bułkę, jak wyżej, zamiast sardynek dać $1/4$ kg bryndzy, 2 łyżki gęstej masy pomidorowej, trochę papryki. Nie sypać ostrego sera.

KRAJANKI Z SZYNKĄ

Przygotować bułkę, jak wyżej, zamiast sardynek, dodać gotową pastę śledziową, której dostać można w sklepach kolonialnych, i $1/8$ kg chudych skrawków szynki, osobno posiekanej.

KRAJANKI Z MIĘSA DROBIU ITD.

Przygotować bułkę, jak wyżej, zamiast sardynek, dodać utartych resztek klopsa, kotletów, drobiu, sporo ostrego sera. *Wład.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Wandzie z Wilczej. Aż się lżej w domu zrobiło, kiedy wory niepożytecznych rzeczy zabrał „Caritas". Niech Pani zaraz, ale to zaraz otworzy z kolei wszystkie szuflady, wszystkie półki w szafach przepatrzy, a zobaczy Pani ile tam jest zgoła zbędnych rzeczy, które leżą nie wiadomo po co. Choćby same pisma codzienne ile to kurzu chłoną! Więc zbierać w jedno miejsce wszystko i telefonować do Caritasu na ul. Nowogrodzkiej 49, tel. 7.23.17. Przyjadą, wezmą, zużytkują, u Pani zostanie zadowolenie, że do zbiorowej oszczędności dołożyła Pani rękę. 80.000.000, wyraźnie osiemdziesiąt milionów, złotych marnujemy w Polsce przez niezbieranie i nie wyzyskania odpadków.

„Samotnej" radzimy, aby się zgłosiła na Nowogrodzką 37, m. 15 o wiadomości w sprawie domu dla samotnych kobiet, którym się zajmuje I Koło im. Wandy Malczewskiej w Warszawie. —

P. Z. L. w Brwinowie. Każda uczennica, która dostaje świadectwo ze skończonego kursu zawodowego bieliźniarstwa przy Chrz. Zw. Rękodz. „Dźwignia", zapisana jest w biurze pośrednictwa pracy Związku, zameldowana jest w odnośnym dziale R. G. Op. oraz podane jest jej nazwisko w Związkach, mogących potrzebować jej pracy, jak np. w Stowarzyszeniu Ziemianek. —

P. Zofii z Filtrowej. Polecamy Pani malarza-tapeciarza p. Jana Gawrysia, Polna 64, m. 99, tel. 10.35.75. Dwaj bracia — pracują wspólnie i ceny mają bardzo przystępne.

Pannie Mili Z. Słusznie Pani czyni. Język, to skarb narodowy, a tak mało go cenimy. Trzeba dużo głośno czytać i uważać na wymowę. A z początkiem roku pracy wziąć kilka lekcji od dobrego artysty, tym więcej o to dbać należy, żeby mówić pięknie, skoro się przemawia publicznie.

Pannie M. K. Dbałość o siebie bez przesadnego malowania się jest niezbędną nawet do późnej starości, więc nic dziwnego, że Pani chce utrzymać dobrą cerę. Radzimy zasięgnąć rady w firmie Dewa przy ul. Widok 5, tel. 6.68.61, słynnej z własnych wyrobów, opartych na znajomości chemii i nie szkodliwych przy stałym ich użyciu. —

Dobrej Gospodyni radzimy przejrzeć „Wydawnictwa Instytutu Gospodarstwa Domowego". Znajdzie tam Pani właśnie: „Mleko i jego użytkowanie w gospodarstwie domowym", opracowane przez inż. Marię Kapuścińską. Cena 1 zł 40 gr. Książeczki, których są całe szeregi z treścią do stosowania w racjonalnie prowadzonej gospodarce, nabywać można w Instytucie Gospodarstwa Domowego, Nowy Świat 9, m. 8, oraz w Księgarni Wł. Michalskiej: Warszawa, Nowy Świat 59.

Ceny małe — pożytek duży.

P. L. W. w Przemyślu. Co to dziwnego, przecież trybunał sowiecki w Witebsku skazał na 5 lat ciężkich robót na Syberii dwoje zacnych małżonków za to, że słuchali przy głośniku radiowym audycji religijnej, nadawanej z Warszawy. — Szał niewiary, to też straszna choroba.

Nie żałuj grosza na F. O. M.!!!

Aforyzmy H. Sienkiewicza

Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi.

„Quo Vadis".

W głodzie znaleziony kawałek chleba znalezionym szczęściem się wydaje.

„Za chlebem".

Jak rozpalone żelazo, gdy upadnie nań kropla zimnej wody, syknie tylko i wnet w parę i nicość ją zamieni, tak i gorąca dusza ludzka pod wpływem pierwszego dotknięcia zimnej dłoni rzeczywistości, syknie wprawdzie z bólu, lecz wnet i samą rzeczywistość własnym żarem ogrzewa.

„Hania".

Kobiety ubierają się często w rezygnację, tak jak w kapelusz, dlatego, że im z tym do twarzy. Kapelusz z rezygnacji, woalka z lekkiej melancholii, albożto brzydkie?

„Rodzina Połanieckich".

KOŚBA

Pojechały dzieci w tym roku na prawdziwą wieś, były już nad morzem i w górach, w Zakopanem i w Rabce, ale na prawdziwej wsi nigdy nie były. Ogromnie im się tam podobało. Wujek Jurka i Krysi zaprosił ich do siebie na lato do swego folwarczku. Całą zimę nasłuchały się dzieci ciągłych opowiadań jak ślicznie w Zadrowie od Ewki, ciotecznej ich siostry, która u nich przez zimę mieszkała i do szkoły chodziła. Ewka całkiem była zadowolona ze swego pobytu w mieście, bo w domu nudziła się trochę, dwóch jej braciszków dużo młodszych od niej nie mogło jej dostarczyć towarzystwa, a przy tym uczyła się sama, a tu u wujostwa miała w Jurku i Krysi rówieśników do nauki i zabawy. Razem chodziły z Krysią do szkoły, a choć tam Jurek czasem się drażnił z nimi, uważając się za coś lepszego od dziewcząt, ale na ogół bawiono się i pracowano zgodnie. Wszystko to dobre było przez zimę. Ale jak się zaczęła wiosna, dręczyć poczęła Ewkę tęsknota za wsią. Pytała w listach do matki, czy dużo już pola zaorano, jak się miewają konie i krowy, szczególniej jej ulubieni faworyci. Czy dużo jest kurcząt, czy prosiątka są tak jak zawsze okrągłe i różowe, czy jej ogródek nie będzie zaniedbany w tym roku, skutkiem nieobecności właścicielki? itp. A nie mogąc się doczekać odpowiedzi, snuła głośno swe wspomnienia i marzenia, wtajemniczając w swój własny świat wsiowy cioteczne rodzeństwo. Toteż gdy przyszedł list od wujostwa zapraszający dzieci na wakacje, Jurek i Krysia nie mogli się dość nacieszyć z tego powodu i błagali rodziców, by nigdzie indziej nie jechać, tylko na całe lato do Zadrowa. Gdy wreszcie dowiedzieli się, że rodzice przychylają się do ich prośby, radości nie było końca. Snuli rozkoszne projekty, a Ewka uszczęśliwiona że będzie mieć miłe rodzeństwo i przez lato, nie mogła nadążyć w odpowiedziach na rozliczne pytania.

Nareszcie lekcje się skończyły i nasza trójka dostała się na swobodę. Już sama jazda końmi ze stacji dała masę przyjemności i emocji. Co prawda Ewka usiadła na koźle i pomimo dopominań się Jurka nie chciała go puścić początkowo, ale widać potem przypomniała sobie o prawach gościnności, bo w pół drogi przesiadła się do środka i Jurka puściła na kozioł. Trochę nijako było Jurkowi tak w biegu przechodzić na kozioł, ale skoro Ewka dziewczyna, to potrafiła... więc nic nie pokazując po sobie zamienił się z nią na miejsca, grzecznie podziękowawszy, a że był wygimnastykowany, więc nieźle mu to poszło. — A może panicz chce powozić trochę, droga tu równa, a konie spokojne? — spytał stary stangret. Jurkowi serce zabiło, obejrzał się, rodzice wypytywali o coś Ewkę, a Krysia też pilnie słuchała. Odetchnął więc głęboko i wziął lejce z rąk stangreta, starając się naśladować jego ruchy. — Nie trzeba ściągać lićów — dodał stangret — bo konie miękie dosyć w pysku. Dziwnym się to powiedzenie wydało Jurkowi, ale bojąc się przyznać do nieświadomości i na śmiech narazić, wziął w ręce lejce z miną doświadczonego furmana. Coś nie coś wiedział o powożeniu, ale teoria i praktyka to dwie bardzo różne rzeczy. Jurek pociągnął lejce według wszystkich zasad, ale jakoś konie nie bardzo się z tym godziły i powóz zaczął jeździć w zakosy. — Co się dzieje? — krzyknęła mama. A Ewka obróciła się, spojrzała na kozioł i wykrzyknęła: — Patrzcie! patrzcie! To Jurek powozi! — Coo! Jurek? — zawołała mama i dodała, że woli, żeby Jurek robił te eksperymenta jak będzie sam jechał a nie narażał innych ludzi. Zaczerwienił się biedny Jurek, ale stary Walenty uratował sytuację, bo biorąc lejce z rąk chłopca mrugnął na niego porozumiewawczo i szepnął: — Kiedy to my sami pojedziem z paniczem na powożenie, a teraz lepiej już ja powiozę, bo młodość to prędkość, a starość roztropność, a kobiety, wiadomo, strachliwe, to już lepiej stary niech wiezie.

Ile to było powitań, okrzyków, opowiadań po przyjeździe! Ewka wybiegła zaraz do ogrodu pooglądać stare kąty i ciągnęła z sobą wszędzie cioteczne rodzeństwo, że już w końcu nóg nie czuli, odurzeni powietrzem wiejskim, znużeni drogą i masą nowych wrażeń. Jurek ziewał tak przy kolacji, że nie zdążył ust zakrywać i tatuś powiedział, że mu wrona do buzi wleci, a Krysia ułożyła policzek na pulchnym ciastku drożdżowym i nie czekając końca wieczerzy usnęła w najlepsze i nawet nie wiedziała, kiedy ją do łóżka przeniesiono.

Wczesnym rankiem zbudził dzieci jakiś okropny hałas, oboje wyskoczyli równymi nogami z łóżek. — Co to? Co to? — pytała Krysia mrugając zaspanymi oczkami jak mała sówka. — O jej, coś się stało, co tak krzyczy? Chyba koniec świata! — Ah! uspokój się — odezwał się lekceważąco Jurek — to jakieś pewno zwierzę. W tej chwili okropny głos rozległ się tuż pod oknem. Jurek odważnie skoczył do okna, Krysia złapała go za ubranie: — Nie puszczę cię, może to coś cię zje! — Ależ dajże spokój — udawał bohatera Jurek, choć głos mu trochę drżał — to przecież tylko.... — mówiąc to wychylił się przez okno i ujrzał małego brunatnego osiołka imieniem Salomo, ulubieńca Ewki, z którym wczoraj zawarli znajomość. — Salomo! — dokończył niepewnym głosem, bo mu samemu dziwne się zdawało, by ten miły i łagodny zwierzaczek taki niesamowity głos mógł wydawać.

— Osioł! — wykrzyknęła Krysia — całkiem nie rozumiem dlaczego wobec tego królem zwierząt został lew, przecież on ani w połowie tak strasznie nie ryczy... ale Jurku nie mówmy nic Ewce o naszym przestrachu, bo się będzie z nas śmiała! — Przestraszyłaś się? — spytał Jurek patrząc na nią z pobłażaniem. — Dobrze, nie powiem Ewce, po cóż ma się z ciebie śmiać. — Ja sama się przestraszyłam — oburzyła się Krysia — a ty niby nie? — Pewnie, że nie! — A czegoś tak z łóżka skoczył na równe nogi? — Jak człowieka coś wyrwie ze snu nagle to naturalnie w pierwszej chwli się przerazi... ale już nie mówmy o tym i Ewce ani słowa. — Tu Jurek wyciągnął rękę, a Krysia, choć przybiła na zgodę, ale pod nosem bardzo coś mruczała o zarozumiałych chłopakach. W tej chwili wpadła Ewka, roześmiana, zaróżowiona od słońca: — Wstaliście już, śpiochy! — wołała. — Ja już obleciałam pół świata, nie mogłam się was doczekać, aż nareszcie posłałam wam Salomo, bo wiedziałam, że dostawszy się pod okno. będzie ryczał dopominając się o jakiś przysmak. Jurek i Krysia spojrzeli na siebie: — Rzeczywiście cudowny budzik — roześmiali się wesoło. a Jurek prędko zagadał: — A co teraz będziemy robili?

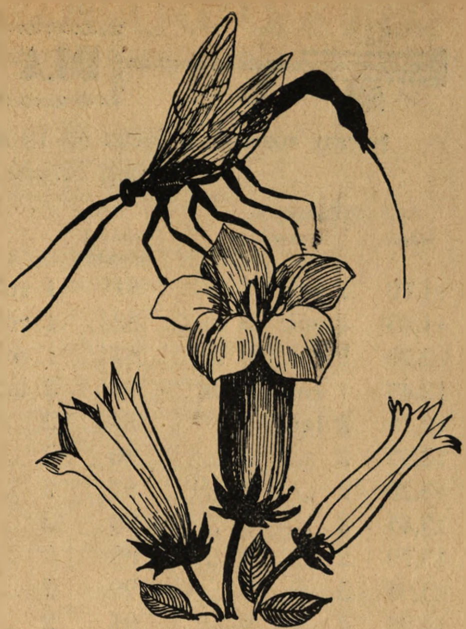


Zaczęły się cudowne dni. Od wczesnego rana do zmroku uganiały dzieci po dworze, to chowały się na drzewa w cienistym sadzie w południową spiekę, to biegły do pobliskiego lasku zbierać jagody lub — przed podwieczorkiem — do kąpieli w stawie, gdzie woda wygrzana słonkiem taka była ciepła, że się wychodzić nie chciało; tu Jurek wetował sobie wszelkie niepowodzenia na obcym wiejskim terenie, co, choć się nie przyznawał, bolało go bardzo. Był to chłopiec odważny, wygimnastykowany, ale trochę zarozumiały i chełpliwy, zdawało mu się, że pojadł wszystkie rozumy i boleśnie znosił wszelkie upokorzenia miłości własnej. Za to na stawie nie było mu równego, pływał jak ryba, a różnymi sztukami wywoływał podziw widzów. Krysia też pływała dobrze i oboje wytrwale uczyli Ewkę, z dobrym zresztą rezultatem. Krysia nie przejmowała się zbytnio ani swą umiejętnością pływacką, ani niepowodzeniami w innych dziedzinach, śmiała się razem z wszystkimi z swych błędów, a nie będąc zbyt dufna w sobie, nie wpadała też tak jak Jurek. Najbardziej śmiali się z niej wszyscy, gdy wpadła raz z krzykiem do mieszkania: — Pantera mnie goni! — Wszyscy zerwali się na nogi, nie mogąc pojąć skądby się tu wziął ten egzotyczny zwierz, ale widząc wystraszoną minę Krysi, widzieli, że coś jej grozi, ale co? Może jaki kot rozwścieczony?... Tymczasem cóż się okazało, że Krysia wystrojona w niebieską sukienkę poszła na podwórze i tam spotkała się ze stadem perlic, które nie bardzo lubią niebieskiego koloru, coś się widocznie bardzo nie spodobało panu perlinkowi, podskoczył i dziobnął Krysię w nogę, a gdy ta przestraszona zaczęła uciekać,

począł ją gonić, początkowo pieszo, a potem leciał za nią krzycząc przeraźliwie, jak to pantarki zawsze robią. Biedna Krysia pomyliła sobie pantarkę (bo tak też zowią perlicę) z panterą i ostatkiem sił dopadłszy domu przestraszyła wszystkich nie na żarty. Długo też ją nazywano „niebieską panterą".

— Wiecie! — zawołała pewnego dnia Ewka — jutro będą kosić tę dużą łąkę za ogrodem, weźmiemy grabie i pójdziemy pomagać, a mamusia obiecała, że nam przyśle drugie śniadanie na pole! — Hurra! — wykrzyknęli Jurek i Krysia i cała gromadka pobiegła przygotować się do wyprawy.

Wczesny ranek operlony rosą zoczył wesołą gromadkę, gdy z grabiami na ramieniu wędrowała sadem, podśpiewując, w kierunku koszonej łąki. O drogę nie trzeba było pytać, z daleka słychać było podźwięk klepanych i ostrzonych kos. Stanęły dzieci nad łąką. Równym rzędem szli kosiarze w sporym od siebie oddaleniu, równym okrągłym ruchem zabierali kosą rząd traw, która z cichym szelestem kładła się na ziemi; zaraz za nimi szły dziewczęta z grabiami, zagrabywały, rozgarniały siano i rozrzucały je końcem grabi. — Żeby prędko i równo schło — objaśniła dzieci Ewka, pracująca tak gorliwie, aż zaczepiła zębami grabi czapkę Jurka i zrzuciła ją na ziemię. — Nie potrzebujesz mnie czesać — powiedział śmiejąc się Jurek, odpychając grabie od głowy — zrobiłem to już rano. Ale Jurkowi znudziła się ta babska praca. — Ah, jakbym ja chciał spróbować kosić. — A właśnie spróbuj, zobaczysz, jakie to łatwe — roześmiała się urągliwie Ewka. — Nie święci garnki lepią! — odciął się Jurek. W tej chwili jeden z parobków stanął, by poostrzyć kosę, a usłyszawszy spór dzieci, podał kosę Jurkowi. — Niech panicz spróbuje — powiedział — ino trza brać płasko, to się nic nie stanie. Jurek pokiwał głową z miną pewną siebie, choć całkiem nie wiedział o co chodzi. W tej chwili Krysia zobaczywszy kosę w ręku Jurka, wykrzyknęła: — Jurku daj spokój, nogi sobie obetniesz! — Żeby tylko sobie — pokiwała Ewka głową. Podniecony i oburzony Jurek chwycił kosę, rozstawił nogi szeroko, jak to widział kosiarze robią, zamachnął się w powietrzu kosą jak mu się zdawało na płask i... od razu wpakował ją do połowy w ziemię a sam straciwszy równowagę kiwnął się kilka razy w tył i naprzód. — Kosa cała — rozległ się nad nim głos parobka — to bardzo pięknie, bo zwykle to pierwszy raz kosę się łamie. — Jurek oprzytomniał trochę, ale miał bardzo głupią minę, z czego obie dziewczynki pokładały się ze śmiechu. Żal się widać młodemu parobkowi zrobiło Jurka, bo zabrał go z sobą na przeciwległy koniec łąki i po jakiejś godzinie mógł się już Jurek przed dziewczynkami pochwalić swą umiejętnością koszenia. Że tam pokosy wyglądały trochę jak przez psy wygryzione, to mniejsza, ale już umiał obracać kosę i nawet Ewka powiedziała: — Ale wiesz, Jurek, ty jesteś zdolny, tu taki jeden był chłopak starszy od ciebie, co dwie kosy urwał i nauczyć się nie mógł. — Po powrocie do domu dziewczynki bardzo chwaliły Jurka, że tak ładnie kosił, jakby mu chciały wynagrodzić przyśmieszki poprzednie, ale Jurek ścichł jakoś, choć przez resztę pobytu brał udział chętnie we wszystkich przyjemnościach wsi. Nauczył się nieźle powozić, nawet kiedyś powierzono mu cały wóz pełen snopów zboża z obiema dziewczynkami na szczycie. Czas biegł szybko i ani się dzieci opatrzyły jak skończyły się wakacje i trzeba było wracać do szkoły. — Żeby to na przyszły rok znowu do Zadrowa pojechać — marzyli oboje. — Bo wie tatuś — tłumaczyła Krysia — tyle się można nauczyć i łazić po drzewach, i doić krowy, i rozróżniać zboże, i grabić siano, o... i... zająknęła się. — Tak — podchwycił Jurek — dużo się można nauczyć, a przede wszystkim tego, że wiedzieć jak się coś robi, to jeszcze nie umieć.



H. Rostafińska - Choynowska.



Wesoły kącik.

W SZKOLE

Nauczyciel podchodzi z kijem do ostatniej ławki i widzi, jak dwu uczniów gra w karty. Chłopaki nie wiedząc o tym, grają dalej. Nauczyciel patrzy na nich, zagapił się, stoi chwilę, zapomniał, że to podczas lekcji i krzyczy:

— Zabijże, ośle, asem!

ARYTMOGRAF

4, 11, 3, 1, 10, 5, 2, 6, 11, 7, 8, 9, 2.

Klucz:

6, 2, 4, 2 — woda w stanie gazowym.
3, 1, 10, 9 — dziki zwierz.
7, 10, 8 — zwierzę drapieżne z rodziny psów.
2, 5, 5, 2 — imię żeńskie.
11, 7, 2 — zdrobniale Aleksandra.

Rozwiązanie ma dać nazwę znanego czytelnikom pisma.

Rozwiązanie arytmografu z numeru majowego: Władysław Bełza, „Katechizm polskiego dziecka".

KSIĘŻYC I SOWY

Na tym drzewie, na wysokim,
Siadły rzędem cztery sowy,
Błyszczą się im złote ślepki,
Schylają ku sobie głowy.
I tak prawią: moja kumo!
Znów w łowach księżyc przeszkadza,
W oczy blaskiem swoim razi,
Cienie rzuca i tym zdradza.
Racja, kumciu, gdy noc ciemna,
— Bezszelestne nasze loty —
Nie dostrzeże nas zwierzyna —
Wszystko psuje miesiąc złoty.
Nie rozumiem też dlaczego
Ludzi blask jego zachwyca!
Taki wiecznie uśmiechnięty!...
Oj! nie lubię ja księżyca.
A miesiączek im odpowie:
— Gdybym wszystkim chciał dogodzić,
To bym musiał bez przestanku,
Wschodzić i znowu zachodzić.
Ale że wszystkim dogodzić
Miesiączek biedny nie zdoli,
Wtedy świecę lub nie świecę,
Gdy to leży w Bożej woli! *H. R. Ch.*

NIESPODZIANKA

Mój braciszku, pi, pi, pi,
Proszę pięknie powiedz mi,
Co to za biały domeczek,
Nie ma drzwi ni okieneczek.
Coś tam stuka, stuk, stuk, stuk,
Kto by tam być wewnątrz mógł.
A wtem pękła skorupeczka,
Dwie połówki już z jajeczka.
— Patrzaj, patrzaj! — pi, pi, pi,
Tak żółciutkie jak i my
Stoi tam kurczątko trzecie
I rozgląda się po świecie. *H. R. Ch.*

PIOSENKA

Na glinianym dzbanku
Sześć kółeczek w rzędzie!
Do czegóż ten dzbanek
Zdolny służyć będzie.
Oj! będzie ten dzbanek
Nosił świeżą wodę
Żniwiarzom przy pracy
Znojnej na ochłodę.
Prosto ze źródełka
Woda naczerpana —
W glinianym dzbanuszku
Chłodna aż do rana.

H. R. Ch.

BRACISZKOWE ZAPROSZENIE

Chodź, siostrzyczko, do łódeczki,
Popłyniemy w świat daleczki —
Drogą nurtu wiślanego,
Aż do morza, do polskiego.
Nad tym morzem Gdynia stoi
W okręty się pięknie stroi,
Wszystko tam jest śliczne, nowe,
Kupim pióro bursztynowe,
By opisać pięknie, składnie,
Co też nam tam w oczy wpadnie.

H. R. Ch.

DLA MATEK I WYCHOWAWCZYŃ

Normy rozwoju dziecka od 18 mies. do 3 lat.

(Według Pizqueta).

waga	Chłopcy wiek	wzrost w cntm.	Dziewczynki wiek	waga
11.70	1 rok 7 m.	81	1 rok 8 m.	11,45
11,95	1 rok 8 m.	82	1 rok 10 m.	11,70
12.20	1 rok 10 m.	83	1 rok 11 m.	11,95
12,45	1 rok 11 m.	84	2 lata	12,20
12,70	2 lata	85	2 „ 2 „	12,45
12,95	2 „ 2 „	86	2 „ 3 „	12,70
13,20	2 „ 3 „	87	2 „ 5 „	12,95
13,45	2 „ 5 „	88	2 „ 6 „	13,20
13,70	2 „ 6 „	89	2 „ 8 „	13,45
13,95	2 „ 8 „	90	2 „ 9 „	13,70
14,20	2 „ 9 „	91	2 „ 11 „	13,95
14,45	2 „ 11 „	92	3 lata	14,20
14,70	3 lata	93	3 „ 2 „	14,45

Normy rozwoju dziecka od lat 3 do 6.

(Według Pizqueta).

waga	Chłopcy wiek	wzrost w cntm.	Dziewczynki wiek	waga
21,0	6 lat 2 m.	110	6 lat 6 m.	20,0
21,4	6 „ 4 „	111	6 „ 8 „	20,3
21,8	6 „ 6 „	112	6 „ 10 „	20,7
22,2	6 „ 8 „	113	7 „	21,0
22,6	6 „ 10 „	114	7 „ 2 „	21,4
23,0	7 „	115	7 „ 5 „	21,8
23,4	7 „ 2 „	116	7 „ 7 „	22,2
23,8	7 „ 5 „	117	7 „ 10 „	22,6
24,2	7 „ 7 „	118	8 „	23,0
24,6	7 „ 10 „	119	8 „ 2 „	23,4
25,0	8 „	120	8 „ 5 „	23,8
25,2	8 „ 2 „	121	8 „ 7 „	24,2
26,0	8 „ 5 „	122	8 „ 10 „	24,6
26,5	8 „ 7 „	123	9 „	25,0
27,0	8 „ 10 „	124	9 „ 2 „	25,4
27,5	9 „	125	9 „ 5 „	25,8

Normy rozwoju dziecka od lat 6 do 9.

(Według Pizqueta).

waga	Chłopcy wiek	wzrost w cntm.	Dziewczynki wiek	waga
15,0	3 lata 2 m.	94	3 lata 4 m.	14,0
15,3	3 „ 4 „	95	3 „ 6 „	14,0
15,6	3 „ 6 „	96	3 „ 8 „	15,0
15,9	3 „ 8 „	97	3 „ 10 „	15,0
16,2	3 „ 10 „	98	4 lata	15,0
16,5	4 lata	99	4 „ 2 „	15,9
16,8	4 „ 2 „	100	4 „ 5 „	16,2
17,1	4 „ 5 „	101	4 „ 7 „	16,4
17,4	4 „ 7 „	102	4 „ 10 „	16,7
17,7	4 „ 10 „	103	5 lat	17,0
18,5	5 lat	104	5 „ 3 „	17,5
18,5	5 „ 2 „	105	5 „ 6 „	18,0
19,0	5 „ 5 „	106	5 „ 9 „	18,5
19,5	5 „ 7 „	107	6 lat	19,0
20,0	5 „ 10 „	108	6 „ 2 „	19,3
20.5	6 lat	109	6 „ 4 „	19,7

Jak postępować z dzieckiem, które wymiotuje.

1. Uważać za chore i zwrócić się jak najwcześniej o poradę do lekarza.
2. Na własną rękę nie stosować żadnych środków czyszczących.
3. Zapewnić dziecku spokój i najlepiej położyć do łóżka.
4. Nie dawać żadnych pokarmów przynajmniej w ciągu 24 godzin.
5. Najlepiej dawać do picia czystą gotowaną wodę z sokiem cytrynowym, dodając trochę cukru.
6. Przy uporczywych wymiotach lepiej dawać do picia chłodną wodę łyżką lub łyżeczką.
7. Po wstrzymaniu się wymiotów jeszcze w ciągu tygodnia należy dziecko pozostawić w łóżku i na diecie płynnej.

Pierwsza pomoc w wypadku udławienia lub zakrztuszenia się.

Zakrztuszenie się lub zachłyśnięcie polega na przedostaniu się odrobinek pokarmu lub płynu do krtani. W tych wypadkach gwałtowny kaszel zwykle wystarcza do ich usunięcia.

Zdarzają się wypadki, kiedy do dróg oddechowych trafiają obce ciała, np. kulki, groch i inne drobne przedmioty, którymi dziecko się bawiło.

Wtedy należy wziąć dziecko za nogi i unieść do góry; przez potrząsanie czasem udaje się wytrząść obce ciało, jeżeli niezbyt mocno utkwiło, w przeciwnym razie potrzebna jest natychmiastowa pomoc lekarza.

W razie udławienia się, kiedy kęs pokarmu utkwi w gardle można próbować usunąć go zapomocą palca.

Redaktor: Dr Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.

Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

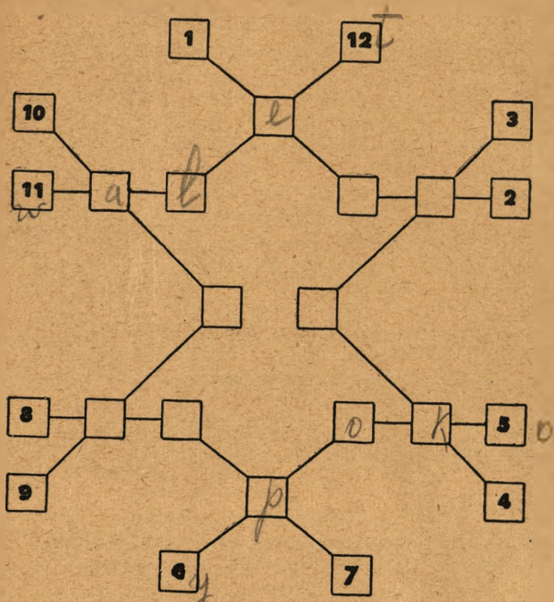
DO CELU!...

SZARADA

Nic mnie dzisiaj nie bawi — nic nawet
nie potrafi mnie wyrwać z martwoty.
Czy to wszystko jest dla mnie ciekawe?
Czy to wszystko ma posmak tęsknoty?
Raz-dwa dzień, w którym pójdę jak dawniej —
czwarte-trzecie porzucę wyniosłe —
zejdę z drogi utartej niesławnie —
samochodem nie pomknę, lecz... osłem...
Przez pustynie, jałowe bezdroża,
bo tam **szóscy** i **drudzy** nie goszczą —
przez lodowce, przez puszcze **raz** morza
drogą trudną — lecz drogą najprostszą...
I choć nie wiem, czy przyjdzie mi wrócić,
czy na wieki zagrzebać swe cele —
ja tej drogi nie mogę porzucić,
choć złość ludzka przede mną się ścieli...
Pierwszych-szóstych już padło!... Lecz po nich
poszli inni uparci, zawzięci —
wspomnień echo po tamtych wciąż dzwoni —
cześć ich cieniom, ich pracy, pamięci!...
Wszyscy kędyś przez życie **raz-dwa-trzy**
czwór świątyni wygasłych już zniczy.
Trudno **piąty-półszósty** wypatrzyć,
trudno drogę **czwór** niego obliczyć!...
A iść trzeba i choćby przez wieki,
brnąć wśród przeszkód — nie słyszeć słów miłych.
Cel jest jasny — lecz jakże daleki —
ponad życie, nad wiarę, nad siły...

„Tońko" (Kl. Sz.).

KRZYŻÓWKA



Litery wstawione do kratek i odczytane w kierunku wskazanym liczbami, dadzą wyrazy pięcioliterowe o następujących znaczeniach:

1 — 2 Wzgórza lesiste u podnóża Tatr.
3 — 4 Wybraniec (nowoobrany).
5 — 6 Umocnienia ziemne (szańce).
7 — 8 Stan Wenezueli (Ameryka Południowa).
9 — 10 Gwałtowna burza (cyklon).
11 — 12 Figura w kartach.

„Jurand" (Kl. Sz.).

SZLAKIEM PUSTYNI...

SZARADA

Wiezie dla emira Achmed-Ali dary:
wielkie worki — w nich **raz-trzecia** wonna,
w butlach rum i **wspakdwa-wspak-pierwszy**,
(część towaru sprzeda chytry emir stary),
wschodnie pachnidła — ładunku korona...
Tak od **dwa-czwartego** cała dzisiaj śpieszy.

„Ar" (Kl. Sz.).

ŚPIEWAM...

SZARADA

Cóż ci mogę wyśpiewać
w mej smutnej **pierwszej** i **wtórej**,
gdy wkrąg śpiewają już drzewa
wiosennym, czarownym chórem?...
Wszędzie tak **czwór-pięć**, radośnie —
pole upite drzew chlustem.
Serce tak **dwa-pięć** o wiośnie
i o **czwór-piątej** i **szóstej**.
Trzy tych szumiących ruczajach,
gdzie **raz-sześć** serce szmer wody —
o tych polanach i gajach,
gdzie się zbierało jagody.
I serce **dwa** o dziewczynie,
trzy makach i o bławatach,
i o słowiku w leszczynie,
i o jaśminach przy chatach.
Dziś już nie mogę ci śpiewać,
nie chcę i — trochę się boję —
pieśnią wkrąg wszystko rozbrzmiewa:
słońce, słowiki — my dwoje.

„Tońko" (Kl. Sz.).

„POWÓD DO ZMARTWIENIA..."

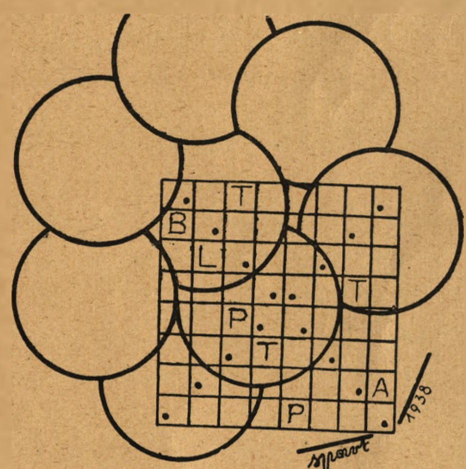
SZARADA

Dla kogoś może wiosna ma uroku wiele:
trawka, wietrzyk, fiołki oraz ptasząt trele,
dla wielu jednak wiosna — powód do zmartwienia,
co im życie spokojne w stan udręki zmienia.
Bo chyba zrozumie mnie każda **część-szósta**,
każda **półczwór-druga** ma podobne gusta.
Czy to będzie **sześć-pięć-pierwsza** oraz druga,
czy też zwykła **szósta-piąta-druga** sługa,
każda z nich ma kogoś, na kim jej zależy,
i którego olśnić pragnie jak najszczerzej.
Jakiś **wspakczwór-trzeci** szlachetny i wzniosły,
czy **półcztery-wspaktrzy** i **wpakpierwszy** rosły,
pięćwspak-cztery-pięć-dwa brać to czy szaraki,
każdy dla swej lubej jest niebylejaki, —
dla niego chce ona ujść za doskonałość,
więc problemem wiosny będzie dla niej **całość**.

(Rozwiązanie składa się ze sylab następującej „Esperanto-wizytówki": **„Bawaro de Nogaro"**. Należy je tylko odpowiednio przerzucić).

„Be—Ce—Ha" (Kl. Sz.).

LOGOGRYF



Wpisując po literze w każdej kratce, należy wstawić w rzędach poziomych figury ośm wyrazów 8-literowych o znaczeniach: 1. Maszyna do wydrążania ziemi pod wodą. 2. Pogardliwa nazwa mahometan. 3. Botanik. 4. Odszczepieniec. 5. Zniweczenie. 6. Najdrobniejsza moneta bułgarska. 7. Kraj rodzinny. 8. Załogi okrętowe.

Litery na oznaczonych przekątniach dadzą rozwiązanie, które podać wystarczy bez wyrazów pomocniczych. Dla ułatwienia podajemy niektóre litery na miejscu właściwym.

„Spart" (Kl. Sz.).

MINIATURY SZARADOWE

1.
Gdy **termin szachowy** z **literą** weźmiecie,
otrzymacie **imię najdroższe na świecie.**

2.
Bożka egipskiego z przystanią, kochanie,
gdy złączysz ze sobą, będzie **sprawozdanie**.

3.
Nuta i żałoba — co da spółka taka?
Mahometańskiego **mnicha** nieboraka.

4.
Zabawa taneczna i skrzynia kasowa:
Liryczno-epiczna **poezja** gotowa.

5.
Niewolnik z literą połączony ładnie,
stworzy **uzdrowisko**. Jakie — każdy zgadnie.

6.
Zaś **miara powierzchni** oraz **gruby zwierz**,
dadzą tobie **imię**, jakie? chyba wiesz!

K. Harasymow.

Za rozwiązanie zadań (nawet jednego) przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe**. Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU MAJOWEGO:

Szarada: **Królowa Korony Polskiej.**
Szarada: **Na pola i w lasy.**
Rebusik: **Starosta.** (Sta - ro - sta).
Anagram: **Karol Szymanowski.**
Krzyżówka: **Fortuna bardzo jest płocha: dziś matka, jutro macocha.**

Nagrody książkowe otrzymują: p. **Nieć Jan** ze Lwowa i p. **Lilpopowa Mira** z Włoch k. Warszawy.

M. Sł. (Kl. Sz.).

HUMOR

NIE UMIE PATRZEĆ

Pan Knotek niespodziewanie odwiedził pana Kociołka.

— No wiesz, to jest ciekawe — mówi — dopiero jesteś miesiąc po ślubie, a już sam musisz sobie przyszywać guziki do płaszcza!

— Czy ty nie umiesz patrzeć? — odpowiada Kociołek — przecież to jest płaszcz mojej żony!

NIE SZKODZI

— Ja sobie z tego nic nie robię, jak mój mąż oglądnie się czasem za jakąś ładną kobietą. Jest przecież zwariowany z miłości ku mnie!

— Hm! Możliwe, ale z tego widać, że ma czasem przebłyski świadomości!

NIE BAŁ SIĘ

Ojciec podstarzałej panny dziękuje młodemu człowiekowi, który wyciągnął z wody jego córkę.

— Pan naprawdę naraził się na wielkie niebezpieczeństwo!

— O, wcale nie! Ja już od roku jestem żonaty!

KODEKS

Dwóch prawników sprzeczało się, siedząc w restauracji, o pewien artykuł kodeksu karnego. Wreszcie jeden z nich polecił kelnerowi zapytać się gospodarza, czy przypadkiem nie ma ustawy karnej.

Ten wraca po chwili i mówi:

— Gospodarz kazał panom powiedzieć, że, niestety, nie ma kodeksu karnego, ale za to wino, które panowie wypili, musicie zapłacić!

CO MU DA?

— Panie doktorze! Panie doktorze! Ja mam odrę! Co mi pan da, jak będę się bawił z innymi dziećmi?

MILIONER

— Słyszał pan, że umarł milioner Stone?

— Właśnie jestem z tego powodu strasznie zmartwiony!

— Czy pan był jego krewnym?

— Właśnie, że nie!

ON JĄ ZNA

Kociołkowi zginęły z kieszeni pieniądze. Knotek go pociesza:

— Zastanów się, może ci je żona wyjęła z kieszeni?

— Nie, to nie była moja żona! Przecież jeszcze parę złotych zostało!

BLIŹNIĘTA

— Niech mi pan powie, doktorze, czy pan i pańska siostra, jesteście bliźniakami?

— Byliśmy jako dzieci. Teraz ona jest o pięć lat młodsza ode mnie!

AMERYKAŃSKI DIALOG

Dwaj szefowie rozmawiają o swoich urzędnikach.

— Tak, tak, stary Johnson posiwiał w mojej służbie!

— Phi! Ja miałem urzędniczkę, która w mojej służbie była kolejno blondynką, brunetką i rudą.

NIECH ZOBACZY

Nauczyciel pisze Ewie w zeszycie: „Ewa gada całą godzinę” i każe to pokazać ojcu.

Na drugi dzień czyta w zeszycie Ewy: „Powinien pan usłyszeć raz jej matkę”.

REALNE

— Jak się panu podobała moja ostatnia sztuka?

— Wspaniała! Szczególnie obaj złodzieje. Nawet słowa, które mówią w swej roli, są kradzione.

PO TRZY MINUTY NA KAŻDE

— Kasiu! A wyjmijże ty te jaja z wrzątku! Mówiłam ci przecież wyraźnie, że jaje nie powinno się dłużej gotować, jak trzy minuty!

— Tak, proszę pani... alem ja włożyła do garnka od razu dziesięć jaj.

NASZE DZIECI

Mały Janek leży w łóżeczku, mama zaś siedzi przy nim i śpiewa kołysankę.

Po chwili Janek odzywa się:

— Mamo, czy ja mogę już spać, czy ty chcesz jeszcze śpiewać?

ARYTMETYKA

Agent ubezpieczeniowy: — Przepraszam, ale ile pani ma lat?

Dama: — Przeżyłam 23 wiosny!

Agent ubezpieczeniowy: — Ile razy?

JEJ MARZENIE

On: — Wiesz kochanie, jak się pobierzemy, będę harował, jak dziki koń, ażebyśmy mogli za parę lat zamieszkać w własnym domku.

— Ona: — Tak, to będzie cudownie, skarbie! Potem go wynajmiemy i będziemy mogli zwinąć nudne gospodarstwo i zamieszkać w hotelu...

DOBRE DZIECKO

Matka: — Przysięgam, że moja noga nie przekroczy twego progu, jak wyjdziesz za tego człowieka!

Córka: — Proszę cię, mamo, daj mi to na piśmie. Emil jest zawsze taki dobry dla mnie, chciałabym więc i jemu zrobić raz przyjemność!

PODATEK

Do pewnego ministra skarbu zgłasza się jegomość i podaje nowy sposób dostarczenia państwu dochodów.

— Niech pan, panie ministrze, nałoży podatek na rozum — mówi — każdy będzie chciał na pewno jak najwięcej zapłacić, aby wszyscy myśleli, że jest najmądrzejszy!

— Dobrze — odparł minister — zastanowię się nad tym projektem. W każdym razie mogę obiecać, że pan będziesz od tego podatku uwolniony.

ROZMOWA

Izaak wybiera się z pierwszą wizytą do Sary, którą ma poślubić. Izaak jest bardzo nieśmiały wobec kobiet, więc ojciec daje mu ostatnie wskazówki:

— Najpierw mów trochę o miłości, potem coś o rodzinie, a potem pokaż, że jesteś inteligentny i mów coś o filozofii!

Po przyjęciu rodzice zostawili młodych samych.

— Czy lubisz cukierki? — pyta Izaak.

— Nie! — odpowiada Sara.

Myśląc o rodzinie pyta Izaak:

— Czy masz brata?

— Nie!

No to trzeba coś z filozofii — myśli Izaak i pyta:

— A gdybyś miała brata, to byś lubiła cukierki?

NA WOJENCE

Kalasanty Kopytko brał udział w wojnie światowej i jeszcze dziś przy każdej sposobności lubi opowiadać o swych przeżyciach na froncie.

— Okropnie było! — opowiadał pewnego razu. — Wyobraźcie sobie, wieczorem człowiek kładł się spać zdrów i cały, a nazajutrz budził się zabity i ranny.

ENFANT TERRIBLE

— Mamusiu — pyta mała Ala — jak kiedyś będę duża, to dostanę też takiego męża, jak tatuś?

— Tak, kochanie — odpowiada matka.

— O Boże, to są dopiero ładne perspektywy — mruczy dziecko do siebie.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł. 40.
Za 1 mm rozm. 6 cm — zł 1.60; za 1 mm rozm. 4,5 cm zł 1.20. Miejsca zastrzeżone 50% drożej.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk.	Ameryka	2 dolary
Francja	50 frank.	Inne kraje	6 fr.szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71 — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna, Warszawa - Śródmieście, Krak. Przedmieście 71.